



AGNIESZKA
ZAKRZEWSKA



Rok
na końcu
świata

W tej opowieści życie ma smak *czekolady...*

FILIA

Table of Contents

[Karta tytułowa](#)

[Cytaty](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1. Kłątwa Karolci](#)

[ROZDZIAŁ 2. Rodzinne wsparcie to podstawa](#)

[ROZDZIAŁ 3. Wyrodek i zapasy na czarną godzinę](#)

[ROZDZIAŁ 4. Przyjaźń aż po grób](#)

[ROZDZIAŁ 5. Smutki w czekoladowej polewie](#)

[ROZDZIAŁ 6. Dobra energia czyni cuda](#)

[ROZDZIAŁ 7. Co się polepszy, to się...](#)

[ROZDZIAŁ 8. Ślepy zaułek](#)

[ROZDZIAŁ 9. Rodzinne tajemnice mocniejsze niż kiepskie wino](#)

[ROZDZIAŁ 10. Nowa królowa zacofanego kraju](#)

[ROZDZIAŁ 11. Niedoszła zbrodnia i nieoczekiwana pomoc](#)

[ROZDZIAŁ 12. Papryka i nowe znajomości](#)

[ROZDZIAŁ 13. Nieplanowany przystanek w drodze ku przeznaczeniu](#)

[ROZDZIAŁ 14. Światelko w tunelu](#)

[ROZDZIAŁ 15. Kobiety na traktory](#)

[ROZDZIAŁ 16. Po burzy wstaje nowy dzień](#)

[ROZDZIAŁ 17. Nocne harce białej damy](#)

[ROZDZIAŁ 18. Cukiernik bez wyboru](#)

[ROZDZIAŁ 19. Niespodzianka zza grobu](#)

[ROZDZIAŁ 20. Wesołe kumoszki z Deventer](#)

[ROZDZIAŁ 21. Wóz albo przewóz](#)

[ROZDZIAŁ 22. Braterskie potyczki](#)

[ROZDZIAŁ 23. Zaczynijmy od pudełka czekoladek](#)

[ROZDZIAŁ 24. Za późno na żal](#)

[ROZDZIAŁ 25. Rękawy zakasane, pora do pracy!](#)

[ROZDZIAŁ 26. Plan prawie idealny](#)

[ROZDZIAŁ 27. Tyranozaur w składzie porcelany](#)

[ROZDZIAŁ 28. Złość matką kreatywności](#)

[ROZDZIAŁ 29. Sakramencka sierota i Pan Tadeusz](#)

[ROZDZIAŁ 30. Lifting, krewetki i Amsterdam](#)
[ROZDZIAŁ 31. Pierwsze kłody pod nogami](#)
[ROZDZIAŁ 32. Braterskie knowania](#)
[ROZDZIAŁ 33. Miasto odurzonych kamienic](#)
[ROZDZIAŁ 34. Góra z górą](#)
[ROZDZIAŁ 35. Zguba na ulicy](#)
[ROZDZIAŁ 36. Duchy z przeszłości](#)
[ROZDZIAŁ 37. Biesiady i obietnice](#)
[ROZDZIAŁ 38. Wielkie otwarcie i jeszcze większa kłótnia](#)
[ROZDZIAŁ 39. Gorycz sukcesu](#)
[ROZDZIAŁ 40. Kiedy rozum śpi...](#)
[ROZDZIAŁ 41. Duchy ze starej szafy](#)
[ROZDZIAŁ 42. Afera szpiegowska](#)
[ROZDZIAŁ 43. Śledztwo i kolejne kłamstwa](#)
[ROZDZIAŁ 44. Niezwykłe odkrycie](#)
[ROZDZIAŁ 45. Sexy, libido i piri-piri](#)
[ROZDZIAŁ 46. Przeszłość lubi deptać po piętach](#)
[ROZDZIAŁ 47. Oliwa nie zawsze sprawiedliwa](#)
[ROZDZIAŁ 48. Żuraw i czapla](#)
[ROZDZIAŁ 49. Dary losu](#)
[ROZDZIAŁ 50. Impertynent i kalambury](#)
[ROZDZIAŁ 51. Kolejna łamigłówka](#)
[ROZDZIAŁ 52. Skrzypce i awantura](#)
[ROZDZIAŁ 53. Prawnicze zgryzoty i rowerowa marmoladka](#)
[ROZDZIAŁ 54. Jak kamfora](#)
[ROZDZIAŁ 55. Klaun i skrzypce](#)
[PODZIĘKOWANIA](#)
[SPIS TREŚCI](#)
[Karta redakcyjna](#)

AGNIESZKA
ZAKRZEWSKA

Rok
na końcu
świata

FILIA

Życie jest jak pudełko czekoladek – nigdy nie wiesz, co ci się trafi.

Winston Groom, *Forrest Gump*

Nie odkrywaj nigdy siebie dla zasady,

Miej odwagę śmiało wyjść i zamknąć drzwi.

Coś swojego –

Choćby kostki czekolady

Na osłodę przesolonych mocno chwil.

Michał Matejczuk, *Kostki czekolady*

PROLOG



Nina Kostrzewska nigdy nie podejmowała nieprzemyślanych decyzji. Do każdego, nawet z pozoru błahego problemu podchodziła poważnie i analitycznie. Od dziecka była święcie przekonana, że rozłożenie zmartwienia na czynniki pierwsze automatycznie sprowokuje umysł do działania na najwyższych obrotach. To właśnie wtedy łatwiej znaleźć optymalne rozwiązanie kryzysowej sytuacji.

Już od wczesnych klas szkoły podstawowej łagodziła spory rówieśników, próbując znaleźć sensowny konsensus. W związku z tą zataczającą coraz szersze kręgi działalnością społeczną *pro publico bono* do ponadstuletniej willi Kostrzewskich waliły drzwiami i oknami tłumy nastolatków z ważkimi problemami, dotyczącymi głównie pierwszej miłości. A raczej pierwszego odrzucenia. Ojciec Niny, Witold Kostrzewski, widząc snujące się pod oknami ofiary młodzieńczych hormonów, podkręcał z lubością sumiasty wąs, w duchu planując z rozmachem zawrotną karierę swojej uzdolnionej jedynaczki. Widział ją już, a jakże, w todze, w poważanej społecznie roli sędziny lub adwokatki, z grubą teczką akt pod pachą. Skoro tak dobrze radziła sobie z ludźmi, cóż innego mogłaby robić, jak nie pomagać im profesjonalnie, na niwie zawodowej, zdecydowanie bardziej intratnej niż gratisowe porady w jego własnym ogrodzie. Jak to dumnie i prestiżowo brzmiało – pani mecenas Nina Kostrzewska! W końcu paragrafy płynęły w jej krwi już bez mała od czterech pokoleń. Wprawdzie pradziadek Ninki nigdy nie ukończył studiów na wydziale prawa, gdyż naukę przerwała mu wojna, ale już jego syn, a ojciec Witolda, bardzo aktywnie działał w branży. Co prawda nie jako członek adwokatury, tylko zwykły komornik, ale kto by tam wchodził w te prawnicze szczegóły.

Kiedy więc Ninka po zdanej celująco maturze pewnego parnego czerwcowego wieczoru, gdy cała rodzina przy kieliszeczku zacnego trunku świętowała sukces naukowy najmłodszej członkini rodziny, oznajmiła jak gdyby nigdy nic, że zamierza studiować kulturoznawstwo, jej ojciec, mówiąc kolokwialnie, wpadł w szal.

– Nie ma mowy! Będziesz adwokatem. Sędzią! W najgorszym wypadku notariuszką! Na żadne kultury się nie zgadzam! – wrzasnął i gwałtownie poczerwieniał na twarzy.

Nina spokojnie przełknęła ostatni łyk pinot noir. Dominująca w trunku nuta czereśni i malin rozpląnęła się na jej języku.

– Doskonałe wino, tatku – powiedziała i odstawiła pusty kieliszek na stół.

Kilka ciężkich rubinowych kropeł spłynęło po szkle, plamiąc wykrochmalony śnieżnobiały obrus. Aurelia Kostrzewska, matka niedosłej zbuntowanej prawniczki, udała, że tego nie widzi. Jak zwykle nie wtrącała się do dyskusji, a raczej do monologu swojego męża, który nerwowo krążył po pokoju.

– Nie wyłożę na te studia ani złotówki, rozumiesz? Ani grosika! – odgrażał się Witold. – Popatrz na mnie, na matkę popatrz! Czy ty myślisz, że nas ktoś pytał o zdanie? Czy brał pod uwagę nasze preferencje co do wyboru kierunku studiów?! Nie! Kto płaci, ten wymaga!

– Dlatego też nie zamierzam o nic cię prosić – odparła ze stoickim spokojem Nina. – Sama wszystkim się zajmę. Mam już sprecyzowane plany na najbliższe dwadzieścia lat.

Łagodny, wręcz flegmatyczny ton wypowiedzi dziewczyny wbrew pozorom podziałał na jej ojca jak płachta na byka. Przed oczami latały mu teraz mroczki i obawiał się, że jeżeli natychmiast się nie uspokoi, może skończyć na SOR-ze.

– Słuchamy cię zatem z zapartym tchem! – wyrzucił z siebie nieco sarkastycznym tonem i klapnął na krzesło. – Prawda, Aurelio?

Pani Kostrzewska pokiwała głową i zwróciła pytający wzrok w kierunku krnąbrnej córki.

– Przez pierwszy rok praca w Anglii. Ale nie nakręcaj się, tatku, nie w żadnej kancelarii ani nawet w biurze, tylko w zwykłej knajpie, przy zmywaku. Potem studia... – Nina zamilkła na moment, żeby nabrać oddechu, i tę chwilę w mig wykorzystał Witold.

– I ty myślisz, dziecko, że te funty wystarczą ci na cały pięcioletni czas nauki w stolicy?

Ha! Kostrzewski rozparł się wygodnie i założył nogę na nogę. Wszystko wskazywało na to, że odkrył właśnie rażące niedociągnięcia w pozornie idealnym planie jego córki. Jeden zero dla starego ojca!

– Oczywiście, że nie. Dlatego wymyśliłam dodatkowo wakacyjne wypady na winobranie do Francji – błyskawicznie zripostowała Nina. – Winnica w Château de Meursault. Burgundia.

Podszkolę język i zobaczę jeden z najpiękniejszych zakątków tego kraju. Potem będę mogła ci doradzać w wyborze alkoholi. Podobno jedna beczka wina potrafi działać więcej cudów niż kościół pełen świętych, jak mawiają Włosi...

– Dosyć tego mędrkowania! Odkąd zrobiłaś się taka międzynarodowa? – zakpił Witold, a w duchu westchnął ciężko.

Wszystko wskazywało na to, że tym razem przegrał bitwę. Losy wojny o przyszłość panny Kostrzewskiej zdawały się przesądzone.

– A co po studiach? – zapytał słabym głosem. – Kulturoznawstwo kształci, o ile mnie pamięć nie myli, producentów i agentów?

„Agentów... zaraz, zaraz... a czemu by nie gwiazd? Może to rzeczywiście nie jest aż taki zły pomysł?” – pomyślał i wstąpiła w niego nowa nadzieja. W końcu w showbiznesie też można uszczknąć niezłe pieniądze! Wyprostował się i spojrzał z błyskiem w oku na córkę. Chyba zbyt wcześnie storpedował to kulturoznawstwo.

– Jesteś bardzo dobrze poinformowany, tato – odparowała Nina. – Ale nie, żadne takie. Nie zamierzam się w to bawić. Tym bardziej że dokładnie wiem, co chcę robić. Po skończeniu nauki zostanę menedżerem i otworzę własną księgarnię.

ROZDZIAŁ 1

Klątwa Karolci



Gęstwina kłujących krzewów na najbardziej reprezentacyjnym placu w samym centrum miasta wyglądała niezwykle efektownie. Pod jednym warunkiem – spoglądało się na nią z wygiętych w fikuśne esy-floresy metalowych ławeczek rozstawionych symetrycznie po obu stronach zarośli. Sprawa miała się o wiele gorzej, jeżeli trafiło się w sam środek tych zarośli, w dodatku na własne życzenie i odziana w cienką bawełnianą sukienkę na ramiączkach.

Nina rozcierała niemiłosiernie pokłute ramiona i raz po raz klęła pod nosem, ale nie zamierzała opuścić stanowiska obserwacyjnego. Z tego miejsca miała bowiem najlepszy widok na otwartą zaledwie przed kilkoma tygodniami najnowocześniejszą księgarnię w mieście. Kiedy wyjeżdżała na studia, kilka lat temu, w tym miejscu mieścił się kultowy bar mleczny Kubuś. Odrapana elewacja, zachlapanie farbą szyby rodem z Peerelu i najlepsza pomidorówka z ryżem w całej dzielnicy. Za ladą Kubusia urzędowała od zawsze pani Krysia w falbaniastym poliestrowym fartuchu i przekrzywionym zawadiacko czepku na ufryzowanej w fale Dunaju trwałej ondulacji. Teraz nie było śladu po barze ani pani Krysi. Ogromny budynek z czerwonej cegły królował dumnie w miejscu niedawnej gastronomicznej legendy miasta. W lśniących czystością witrynach przeszkoli pośpiesznie pracownicy w błękitnych firmowych koszulkach wieszali ogromne plakaty informujące o promocjach tygodnia i planowanych spotkaniach autorskich. W centralnym oknie instalowano właśnie portret zamyślonego młodzieńca, w którym pasjonaci opowieści z dreszczykiem bez trudu mogli rozpoznać jednego z najpopularniejszych pisarzy trzymających w napięciu thrillerów, na punkcie których oszalała cała Polska.

– Cholera jasna! – rzuciła pod nosem Nina. – Tylko nie on! Błagam, tylko nie ON!

– A co szanowna paniusia tutaj robi? Ukryta w chaszczach, niczym jakiś zbieg?!

Z prawej strony krzaka jak grom z jasnego nieba dobiegł nagle piskliwy damski głos. Należał do drobnej staruszki w nasuniętym głęboko na czoło słomkowym kapeluszu. Spod jego ronda wystawał szpiczasty, przypominający bociani dziób, wścibski nos. Nina drgnęła. Ostry kawałek gałęzi wbił się boleśnie w jej obojczyk. Jęknęła głośno i żałośnie.

– Proszę mi tu nie biadolić! – Staruszka uderzyła laską w płyty chodnika. Przypominała czarownicę Filomenę, bohaterkę *Karolci*, ulubionej książki dla dzieci pokolenia Niny.

Dziewczyna czym prędzej wyskoczyła z krzaków i szybko obciągnęła pogniecioną niemiłosiernie sukienkę.

– Zgubiłam coś tutaj... – bąknęła i wskazała niepewnie na gęstwinię. – Łańcuszek... nie, nie, bransoletkę! Cieniutką, z czerwonym serduszkiem!

„Filomena” obrzuciła ją pełnym pogardy wzrokiem. Dziewucha łągała jak pies. Na jej dłoni jak *corpus delicti* dyndała srebrna bransoletka z czerwoną zawieszka! Co za ludzie dzisiaj, doprawdy szkoda słów!

– Kłamie paniusia, aż się jej z tego blond włosia kurzy! – „Filomena” wskazała czubkiem laski na przegub dziewczyny.

Nina poczerwieniała aż po samą nasadę włosów. Nigdy nie umiała kręcić! Nawet tego nie potrafiła!

– Codziennie tędy przechodzę i codziennie widzę ją czającą się w zaroślach! – zagrzmiała staruszka. – Żeby mi to było ostatni raz, ostrzegam, bo policję wezwę! Może jakieś handle pokątne tu uprawia albo co! Na szkodę mojego miasta! Prawie pół wieku tu mieszkam i na to nie pozwolę!

Mamrocząc coś pod nosem, „Filomena” szybkim krokiem udała się, a jakże, do wielkiej księgarni. Nawet ona, wiekowa zręczliwa matrona, kupowała tam książki. A podobno starsi ludzie woleli sklepiki z duszą. W tym królestwie komercji na pewno nie mieli starej poczciwej *Karolci*!

Nina poprawiła potargane włosy i przecięła po przekątnej kwadratowy plac. Tuż za nim, w jednej z maleńkich bocznych uliczek, Bukowej, znajdował się jej podupadający książkowy biznes.

To właśnie, *nomen omen*, literacka Karolcia przed laty zainspirowała Ninę do spełniania marzeń i otwarcia własnej księgarni. Mieli tu zaglądać wielbiciele rodzinnej atmosfery, aromatycznej herbatki i niebanalnych lektur. Na początku wszystko szło mniej lub bardziej zgodnie z planem, ale raczej z tendencją zniżkową. Gwoździem do trumny okazał się monopol

książkowego giganta. Taki moloch mógł organizować cotygodniowe promocje i kusić klientów sporymi rabatami. Kreatywna właścicielka robiła, co mogła. Dzięki katorżniczej pracy, nieprzespanym nocom, kłótniom z dystrybutorami i uporowi, żeby nie powiedzieć upierdliwości panny Kostrzewskiej, udało się w końcu zaplanować tydzień z książkami znanego pisarza kryminałów. I właśnie teraz, do jasnej cholery, w molochu organizowano z pompą spotkanie z nim! To oczywiste, że nikt nie kupi jego powieści u niej, tylko popędzi tam po egzemplarze z autografem! Co za pech! Co za cholerne, pieprzone fatum! Jak nie będzie musiała zamknąć księgarnię. I nic już nie powstrzyma ojca przed sakramentalnym „a nie mówiłem”. Mogła dać sobie uciąć rękę, aż po łokieć, że tak właśnie powie.

ROZDZIAŁ 2

Rodzinne wsparcie to podstawa



– A nie mówiłem! Doskonale wiedziałem, że tak właśnie skończy się kariera naszej córki w biznesie! – Witold Kostrzewski uderzył obiema dłońmi o blat stołu, tak że stojący na środku blaszany wazon pełen polnego kwiecia zadrżał. – I od razu cię informuję, że moja odpowiedź brzmi „NIE”.

– A mogę wiedzieć, jakie jest pytanie? – Aurelia Kostrzewska upiła łyk przestygłej herbaty i spojrzała zaintrygowana na męża. Znała go jak nikt inny, w końcu dokładnie za rok o tej porze zamierzali obchodzić perłowe gody, ale czasem i ją potrafił zaskoczyć.

– Jak to jakie? – zaperzył się Witold. – TO o pożyczkę! Nie ma mowy, nie dostanie ode mnie ani złotówki! Ostrzegałem, prosiłem, groziłem, a ona jak zwykle zrobiła po swojemu! Takie są konsekwencje nieprzemyślanych decyzji! Gdyby została prawnikiem...

– Na litość boską, Witek! – Aurelia przewróciła oczami. – Nina nie przychodzi do nas po pieniądze.

– Nie bądź naiwna! – prychnął Kostrzewski. – W jakim to innym celu budziłaby nas grubo po północy, w dodatku w niedzielę, z nagłą zapowiedzią niecierpiącej zwłoki wizyty? Oczywiście, że o to chodzi. Jeżeli ktoś dzwoni do ciebie w środku nocy, to albo chodzi o pieniądze, albo o wódkę.

Aurelia machnęła ręką i pośpiesznie wstała od stołu. Dalsza dyskusja z mężem nie miała sensu. Był tak samo uparty i przekonany o słuszności swoich racji, jak ich córka. Ciekawe, co jej niepokorna jedynaczka wymyśliła tym razem? Aurelia była pewna, że nie chodziło o pożyczkę. Nina była na to zbyt dumna.

Tymczasem nieświadoma burzliwej rodzinnej dyskusji na własny temat panna Kostrzewska tkwiła przed taflą swojego miniaturowego lustra w łazience i bezskutecznie próbowała jakoś sensownie się pomalować. Wyglądała nieco dziwnie, tak jakby nałożyła na buzię zniekształcającą rysy maskę, ale nie miała już czasu na poprawki. W końcu nie szła na romantyczną randkę, tylko do swojego rodzinnego domu. Z randkami skończyła przed kilkoma miesiącami i nie zamierzała na razie tolerować w swojej kawalerce żadnego faceta. Wysuszone na amen włosie niebieskiej szczoteczki do zębów ostatniego kandydata do jej ręki cały czas straszło w porcelanowym kubeczku pod lustrem, tak jakby ciągle czekało na powrót swojego właściciela. Co to to nie! Nina bez namysłu chwyciła szczoteczkę (miała szaloną ochotę na nią splunąć, ale resztki kindersztuby zwyciężyły) i z satysfakcją wrzuciła dentystyczny relikw do metalowego kosza pod umywalką. W tym momencie przypomniała sobie, że niedoszły zięć Witolda i Aurelii Kostrzewskich nie zdążył zabrać wielu innych rzeczy z jej gniazdka, a znając jego wredny charakter, mogła być pewna, że po nie wróci.

Nina szybko zerknęła na siebie w lustrze, zachichotała jak urwis, przyknęła w końcu oko na maniery damy, po czym sięgnęła do kosza po szczoteczkę i przejechała nią dwa razy po wnętrzu wyszorowanej wczoraj domostosem muszli klozetowej.

– To i tak niewspółmiernie lekka kara w stosunku do twoich win, dupku – mruknęła pod nosem i w końcu wyszła z łazienki.

Jej ulubiona koronkowa spódnica i czarny T-shirt wisiały przygotowane zawczasu na oparciu fotela. Wystarczyło włożyć baleriny, przeczesać splątane włosy i można było udać się do paszczy lwa. Nina chwyciła jeszcze skoroszyt leżący na kuchennym blacie i wrzuciła go do przepastnej skórzanej torby. Na chwilę przystanąła na środku mieszkanek i zmarszczyła brwi. Ciekawe tylko, czy rodzice się zgodzą? Ale o to się będzie martwić później.

Na zewnątrz siąpił wiosenny deszcz. Nina podniosła wysoko głowę. Poczowała na skórze drobne ciepłe krople. W przeciwieństwie do większości normalnych ludzi uwielbiała moknąć na deszczu. Już jako mała dziewczynka wrywała się matce spod parasola i wbiegała z radosnym krzykiem w największe kałuże. Roześmiała się w głos na to wspomnienie i obrzuciła spojrzeniem zieloną karoserię swojego ukochanego garbusa. Wszyscy jej znajomi mówili na niego Shrek. Nina kochała ten samochód miłością czystą i całkowicie odwzajemnioną, bo autko nigdy się nie psuło.

ROZDZIAŁ 3

Wyrodek i zapasy na czarną godzinę



– Wykapana nieboszczka! Skóra zdjęta! I te przebarwienia na twarzy! Toczka w toczkę! – Ciotka Eugenia stała z otwartymi ramionami w ogrodzie rodziców i cierpliwie czekała, aż Nina upora się z zardzewiałym nieco zamkiem furtki broniącej dostępu do posesji Kostrzewskich.

– Yyy... Jaka znowu nieboszczka? – Zawiasy w końcu puściły i Nina znalazła się w ciepłych objęciach ciotki.

Ta przytrzymała ją przez kilka sekund w żelaznym uścisku pod słusznych rozmiarów pachą, po czym spojrzała na bratanicę z wyrzutem w wyblakłych i nieco wyłupiastych oczach.

– Jak to jaka? – sapnęła. – Twoja! Znaczy nasza. Rodzinna. Matka twojej matki, babcia Michalina, świeć Panie nad jej duszą. Całą urodę po niej wzięłaś, Nineczko. Tylko smaruj kremem te brzydkie plamy na buzi. Albo przecieraj je sokiem z cytryny, to zjaśnieją – poradziła z dobroci serca Eugenia i kichnęła siarczyście. Tuż przy furtce pylił właśnie rozrosły krzew czarnego bzu, a ciotka, podobnie jak reszta rodziny, była alergiczka.

Nina zdębiała. Na szczęście w drzwiach willi pojawiła się w końcu matka. Zbiegła po schodach, z maskującym zaskoczenie pełnym uśmiechem odsłaniającym jej piękne równe zęby.

– Gieniu, kochana, jaka niespodzianka! – Ucałowała trzykrotnie powietrze w pobliżu pomarszczonych już nieco policzków szwagierki i spojrzała przepaszająco na stojącą za plecami Eugonii córkę. – Niezapowiedziane wizyty w dzisiejszych czasach to rzadkość, ale na szczęście ugotowałam cały gar zupy szczawiowej.

Aurelia sporadycznie bywała złośliwa, ale nawet jej zdarzało się wbijać niewielkie szpile. Jednak Eugenia nie dostrzegła w słowach bratowej ukrytej ironii, ale nie była też na nią szczególnie wyczulona. Nie czekając na resztę kobiet, rączym kłusem pobiegła przywitać się z ukochanym bratem, którego błada facjata majaczyła już za kuchenną firaną.

– Co ty masz na twarzy, dziecko? – szepnęła tymczasem do ucha córki Aurelia.

– Wiem, wiem, nie kop leżącego. Przebarwienia nieboszczki. Już mi ciotka wykład zrobiła – westchnęła Nina.

– Co ty bredzisz? – Matka się roześmiała. – Źle rozsmarowałaś podkład. Marsz do łazienki zmywać z siebie tę dziwną maź. Przecież masz piękną młodą skórę. Moje geny! Ja tymczasem spróbuję ogarnąć pozostałą część rodziny. Mam nadzieję, że wizyta ciotki nie pokrzyżuje twoich planów? Miałaś nam o czymś powiedzieć? – Aurelia czułym gestem poprawiła opadający na czoło córki jasny kosmyk.

– Wręcz przeciwnie. – Nina zamaszycie pokręciła głową. – Ciotka spadła mi z nieba. To bardzo interesujący target, sześćdziesiąt plus!

Matka zbaraniała, ale nie zdążyła nawet otworzyć ust, gdyż okno w kuchni otworzyło się z traskiem i dobiegł z niego poirytowany głos seniora rodu:

– Chodźcie w końcu! Umieram z głodu, a poza tym zupa kipi na gazie! Pogadacie sobie przy stole!

Kilkanaście minut później całe towarzystwo rozsiadło się wygodnie nad parującą aromatycznie szczawiową. Przez chwilę słychać było wyłącznie szcęk sztućców (Nina i Aurelia), ciche (Witold) i nieco głośniejsze (Eugenia) odgłosy mlaskania i przełykania zupy, aż w końcu po zaspokojeniu pierwszych oznak głodu głos zabrał pan domu.

– Z czym do nas przychodzisz, córko?! – zagrzmiął sztucznie i rzucił znaczące spojrzenie na małżonkę.

– A to dziecko już nie może ot tak do swojego domu rodzinnego wpaść? Bez powodu? – zdumiała się Eugenia. – Zawsze musi być po coś? A może zwyczajnie stęskniła się za wami?! Doprawdy, Witku, skąd u ciebie ten irytujący pragmatyzm?

– Nie wtrącaj się, Gienia, nie o tobie mowa! – huknął Witold i zmierzył siostrę spojrzeniem bazyliuszka. – To są nasze rodzinne sprawy!

– A od kiedy ja to nie wasza rodzina, co? – Ciotka uniosła krzaczaste brwi i z impetem odłożyła łyżkę. – Zawsze miałeś wielkopańskie nawyki, ale nie zapominaj o jednym, mój drogi. To ja ci pieluchy zmieniałam i brudną dupę podcierałam! Ja, nikt inny!

– Błagam was, siedzimy przy obiedzie! – Aurelia uderzyła łyżką o porcelanowy talerz i spojrzała błagalnym wzrokiem na Ninę. Sądząc po czerwieniejącej coraz gwałtowniej twarzy jej męża, groźba wybuchu awantury wisiała na włosku. – Gieniu, nie gorączkuj się. Nina może do nas wpadać o każdej porze dnia i nocy, ale sama zapowiedziała, że ma do nas ważną sprawę...

– Od razu ostrzegam, że grosza na żadne nowe interesy nie dam! – nie wytrzymał Witold. – Nie dalej jak wczoraj przeszedłem się do tego twojego literackiego przybytku. Przez pół godziny nie zajął tam ani jeden klient! A tymczasem kilkadziesiąt metrów dalej, w tej nowej księgarni, drzwi się nie zamykają! Czy ten twój biznes w ogóle przynosi jakiegokolwiek dochody?!

– Ot ojciec, prawdziwa ostoja i wsparcie! Wyrodek z piekła rodem! – prychnęła Eugenia. – Na szczęście masz jeszcze ciotkę, Nineczko. A ciotka nie da ci zginąć i jeżeli będzie trzeba, solidny grosz z żelaznego zapasu gotówki na czarną godzinę wyciągnie. Ile ci potrzeba, dziecko? – Sięgnęła błyskawicznie do stojącej na krześle obok lakierowanej torebki. – Od razu wypiszę ci czek. Chrzestną twoją jestem i w kościele przysięgałam, że cię w potrzebie nie zostawię. A u mnie słowo droższe gotówki! Kostrzewska jestem! A ten ród, z nielicznymi wyjątkami – tu spojrzała spod byka na siedzącego u szczytu stołu wyrodka – danego słowa dotrzymuje!

– ALE JA NIE CHCĘ OD NIKOGO ŻADNYCH PIENIĘDZY! – wrzasnęła w końcu Nina i z impetem uderzyła pięścią w stół. Porcelanowe talerze zadrżały złowieszczo. – Skąd wam to w ogóle przyszło do głowy?!

– Nie?! – zawołali synchronicznie wszyscy Kostrzewscy, z tym że Aurelia wołała z satysfakcją (wiedziała, że nie chodzi o pieniądze), Eugenia z ulgą (tak po prawdzie to wołała jednak nie pozbywać się składanego latami majątku), a Witold z przerażeniem (jeżeli nie pieniądze, to tylko ciąża!).

– NIE! – W tym momencie Nina miała ochotę chwycić wazę z zupą i spektakularnie roztrzaskać naczynie o wypolerowany parkiet rodzinnego salonu. – Chcę, żebyście wypełnili szczegółową ankietę. Przygotowałam ją wspólnie z Manianą. Zależy mi na usprawnieniu działania naszej księgarni. Jesteście targetem, na którym obecnie najbardziej mi zależy, i muszę wiedzieć, jak was zdobyć i zatrzymać.

ROZDZIAŁ 4

Przyjaźń aż po grób



Marianna Łagiewska i Nina Kostrzewska zaprzyjaźniły się dopiero na studiach. Pochodziły co prawda z jednego miasta, ale nie miały okazji poznać się wcześniej, albowiem Marianna pobierała nauki w okrytym złą sławą (narkotyki!) zespole szkół rolniczych, a Nina w bijącym rekordy popularności w rankingach liceum imienia świętej Jadwigi, które wybrał dla jedynaczki Witold. Córka nie protestowała, święta Jadwiga nie stała bowiem na drodze do jej już wówczas dokładnie sprecyzowanych życiowych planów, o których ojciec oczywiście nie wiedział. Uspilo to jego czujność na tyle, że nie spodziewał się późniejszej zacieklej walki o kierunek studiów. Nawet na peronie, pięć minut przed odjazdem pociągu do Warszawy, cały czas stał naburmuszony i obrażony na cały świat. Pardon, na swoją jedyną córkę.

– A ten zasępiąły staruszek to kto? Twój *padre*? – zapytała drobnitka brunetka w krótkiej fryzurze i ogromnym wełnianym swetrze ze śmiesznymi łatami na łokciach i wskazała brodą ponurą sylwetkę Witolda Kostrzewskiego. Dobrze, że chociaż matka miała normalną minę.

Obie dziewczyny stały w korytarzu wagonu drugiej klasy, tuż przy otwartym oknie, z którego rozpościerał się widok na zapełniony ludźmi peron.

Nina pokiwała głową.

– Wygląda, jakbyś jechała na jego własny pogrzeb. – Zachichotała nieznajoma i obrzuciła Ninę bystrym spojrzeniem. – Jeżeli mnie intuicja nie myli, wybierasz się do stolicy na studia? Czyli to ani prawo, ani medycyna.

Nina spojrzała na nią z podziwem. Czarnulka była bardzo bystra.

– Skąd wiesz?

– Domyśliłam się po wyrazie twarzy twojego ojca. Znam te marzenia naszych starych. – Przewróciła oczami. – Od wieków chcą nas widzieć na sali sądowej albo w szpitalu. Sorry, w prywatnej klinice! To bardziej opłacalne niż harówka na państwowym garnuszku.

– Ty też na studia? – zapytała Nina i przysunęła się bliżej. – Prawo czy medycyna?

Dziewczyna pasowała jej na przyszłą adwokatkę lub chirurgkę. Poza tym machająca w ich kierunku kobieta o rysach jej nowej znajomej miała w przeciwieństwie do pana Kostrzewskiego rozpromienioną twarz. Czyli córka spełniła jej oczekiwania co do przyszłości.

– Pudło! Kulturoznawstwo. Moja matka to wyjątek. – Dziewczyna podchwyciła w mig spojrzenie Niny na swoją rodzicielkę. – Poza tym cieszy się, że w końcu nie będę popalać fajek w łazience. A tak w ogóle mam na imię Marianna, dla bliskich znajomych Maniana, a ty?

– Nina, dla bliskich znajomych... też Nina. I też kulturoznawstwo! – Roześmiała się dźwięcznie i wyciągnęła do Maniany dłoń.

Od razu wiedziała, że właśnie spotkała kobietę swojego życia. Los to potwierdził, a rzeczywistość zweryfikowała. Po latach wspólnej tułaczki po warszawskich, nie zawsze luksusowych (raczej podłych i wilgotnych) kwaterach obie postanowiły wrócić do rodzinnego miasta. Maniana zostawiła tutaj młodzieńczą miłość, która, o dziwo, przetrwała edukację na uniwersytecie, a Nina, wierna planom stworzenia własnego biznesu, jako szefowa samej siebie zamierzała rozpocząć długą i żmudną drogę ku świetlanej przyszłości.

Przez pierwsze dwa lata pracowała w banku, mieszkując u babci Kostrzewskiej, która pomagała ambitnej wnuczce i dmuchała ile sił w płucach w jej wątłe skrzydła. Nina w swoim drobiazgowym idealnym (nierealnym!) biznesplanie nie uwzględniła, niestety, prozaicznych przeszkód dnia codziennego, takich jak rosnące rachunki za gaz czy prąd, oraz uciążliwej konieczności kupowania produktów spożywczych, które kosztowały krocie. Tyle dobrego, że nigdy nie była przesadnie przeczulona na punkcie własnego wyglądu, dlatego bez problemu nosiła jedne dziurawe portki i stare swetrzyska robione na drutach przez babcię. Gdyby nie jej pomoc, nigdy nie dałaby rady. A tak mogła odkładać każdy grosz, łapać fuchy po godzinach i w końcu z pomocą kredytu wynająć spory lokal przy Bukowej i stać się właścicielką własnej księgarni. Babcia, niestety, nie doczekała triumfu jedynej wnuczki, gdyż zmarła zaledwie dwa dni przed uroczystym otwarciem biznesu. Pomimo dotkliwego ciosu Nina nie poddała się na finiszu. Była to winna babci. Dała jej słowo, że sobie poradzi.

Na początku interes szedł tak dobrze, że Nina przekonała Manianę, żeby rzuciła nudną i żmudną pracę w domu kultury i stała się jej współpracowniczką. Nie musiała długo namawiać przyjaciółki. Maniana cierpiała katusze na etacie pod wodzą apodyktycznego dyrektora, który

nie miał bladego pojęcia o prowadzeniu placówki kultury. Nigdy wcześniej nie kleła jak szewc i nie łykała tylu prochów, jak podczas tej krótkiej i burzliwej kariery specjalistki do spraw marketingu tegoż żalosnego przybytku. Propozycja Niny spadła jej jak manna z nieba. Doskonale się rozumiały i dogadywały, miały też podobne wizje co do rozwoju wspólnego już teraz biznesu.

W drugim roku działalności dziewczyny otworzyły przy księgarni miniaturową kawiarnię, czytelną z zawsze świeżą prasą informacyjną i kolorową oraz kącik muzyczny, gdzie można było kupić dobre płyty, głównie polskich wykonawców. W tym czasie nastąpił również prawdziwy boom na powieści rodzimych autorek, dziewczyny organizowały więc spotkania z najbardziej rozchwytywanymi pisarkami. Czytelniczki przynosiły na nie własnoręcznie upieczone ciasta, dżemy, nalewki, z czego zrodził się pomysł kolejnego przedsięwzięcia. Zaczęły rozprowadzać lokalne produkty, domowej roboty, mając z tego minimalny zarobek, ale generując spory ruch w księgarni. Po pięciu latach działalności Nina mogła sobie pozwolić na kredytowy oddech i zakup wymarzonej kawalerki na nowym osiedlu pod lasem. W końcu wszystko zaczęło się układać tak, jak to sobie zaplanowała przed laty. Wkrótce jednak stało się tak jak w mądrym stwierdzeniu, że jeżeli coś idzie za długo po naszej myśli, to należy się zacząć martwić, bo dobra passa musi się wreszcie, mówiąc trywialnie, spierdolić. Do księgarni przy Bukowej powoli zaglądało coraz mniej klientów, którzy woleli kupować książki poprzez powstające jak grzyby po deszczu strony internetowe, oferujące bardziej konkurencyjne ceny. Co prawda chętnych na organizowane na miejscu spotkania z poczytnymi autorami nadal nie brakowało, ale wierni czytelnicy przynosili na nie kupione gdzie indziej egzemplarze do podpisu.

Nad księgarnią Niny i Maniany zaczęły gromadzić się czarne chmury.

ROZDZIAŁ 5

Smutki w czekoladowej polewie



– W tym miesiącu po opłaceniu rachunków, ZUS-u, księgowej, zaległych i bieżących faktur nie zostanie nam na koncie ani grosza. Możemy pomarzyć o wypłacie! Tak samo zresztą jak w kwietniu i maju. Nina... jest źle... – Maniana siedziała przed ekranem komputera ustawionego na miniaturowym zapleczu księgarni. – Jeżeli czegoś nie wymyślimy, w najlepszym wypadku czeka nas bezrobocie, a w najgorszym komornik. Nasz utarg z zeszłego tygodnia nie przekroczył trzystu złotych. Brutto!

– Co mamy jeszcze zrobić? – Nina usiadła ciężko na zydlu, tuż obok długich nóg przyjaciółki. – Nie możemy już zejść z cen. I tak nie przebijemy konkurencji. W sieciówkach książki kosztują średnio dwanaście złotych, u nas dwa razy tyle.

– A podobno sprzedaż książek wzrosła! Czytałam wczoraj jakiś raport, cholera, gdzieś zapisałam ten link. – Maniana stuknęła nerwowo w klawiaturę.

– W sieci wzrosła. Online, a nie stacjonarnie. – Nina zamrużyła nerwowo. Poczowała wilgoć pod powiekami, ale nie mogła się przecież rozbeczeć. Musiała być twarda i jak najszybciej rozłożyć ten problem na czynniki pierwsze, a wtedy zgodnie z jej świętą zasadą musiało się pojawić sensowne rozwiązanie. – Z każdej sytuacji jest jakieś wyjście – zamruczała bezwiednie.

– Owszem, jest – odpowiedziała automatycznie Maniana. – Zamknąć księgarnię i szukać szczęścia gdzie indziej. Znasz mnie, wiesz, że jestem ostatnią osobą, która wywiesza białą flagę bez walki, ale...

Maniana urwała nagle. W samą porę ugryzła się w język. Nie chciała dokładać przyjaciółce kolejnych zgryzot. Nina i tak się martwiła. Zeszczupłała ostatnio, poszarzała i przygarbiła się.

Poza tym rozstała się z facetem. Ale czyż u niej samej było lepiej? Jej konto kolejny miesiąc świeciło pustkami. Kiedy przedwczoraj znów poprosiła męża o przelew (musiała zrobić podstawowe zakupy, zatankować i kupić młodemu nowe trampki do przedszkola), w ich domu rozpętało się prawdziwe pandemonium.

– Poproś Ninę – rzucił Iwo, pozornie spokojnie, ale Maniana wiedziała już, że coś się święci. Z policzków męża zniknęły jej ulubione dołeczki. Miał nienaturalnie napiętą szczękę i obcą twarz.

– O co ci chodzi? – rzuciła pojednawczo. – Jak dotąd nie robiłeś dram. Mamy z Niną przejściowe problemy...

– Przejściowe problemy?! – Iwo zerwał się z kanapy. – Kogo ty chcesz oszukać, Mańka?! Bo przecież, kurwa, nie mnie! Od miesięcy notujecie same straty, mało tego, dokładacie coraz więcej do tego biznesu! Skoro Nina, bo ta cała księgarnia to przecież jej pomysł, chce dalej się bawić w bizneswoman, bardzo proszę, ale bez ciebie. Nie pozwolę, żeby pociągnęła cię za sobą na dno! Ciebie, a co za tym idzie również i mnie. Mamy dziecko, Mańka! Chyba o tym nie zapomniałaś?!

– To cios poniżej pasa, Iwo. Nigdy więcej tak nie rób. – Jej głos załamał się lekko, ale nie mogła się rozklejać. Jej mąż dokładnie wiedział, gdzie uderzyć, żeby zabolalo. – Cały czas myślę o małym... doskonale o tym wiesz. – Już nie umiała powstrzymać łez. Toczyły się po jej policzkach jak wielkie przezroczyste grochy.

W tym momencie do salonu wbiegł ich pięcioletni synek Benjamin.

– Mamusiu, jestem głodny – zakomunikował dziarsko i spojrzał na nią swoimi czarnymi ślepiami ocienionymi firanką dziewczyńskich rzęs.

Kiedy zobaczył zapłakaną twarz matki, jego mina w mig spochmurniała. Był jak mały „sejsmograf”, doskonale wyczuwał wszystkie jej nastroje. Maniana kochała go nad życie. Kiedy miał trzy tygodnie, przeszedł bardzo ciężkie zapalenie płuc. O mało go nie stracili. Teraz drżała o małego, nawet kiedy łapał lekkie przeziębienia. Beni w kilku susach dopadł jej kolan.

– Mamusiu, dlaczego płaczesz? Byłem niegrzeczny? Mamuniu! – Mokrą od łez twarz Maniany oblepiły dwie pulchne rączki. Pachniały mlekiem i ciastem drożdżowym. – Kocham cię, mamusiu, nie płacz już...

Patrzył na nią długo i uważnie. Zdawało się, jakby potrafił przejrzeć na wylot wszystkie jej troski, wszystkie myśli.

– Byłeś bardzo grzeczny, skarbie – pośpieszyła z odpowiedzią. – Mamusia nie płacze, tylko... ma katar. Nie martw się o mnie, syneczku, już dobrze. Chodź, teraz pójdziemy do kuchni i zrobię ci kanapkę. Pomożesz mi pokroić chlebek?

Mały podskoczył i chwycił ją mocno za rękę.

– Wrócimy do tej rozmowy – powiedział bezgłośnie Iwo i rozpostarł na kolanach gazetę.

Kiwnęła głową. Doskonale wiedziała, że to nieuniknione.

A teraz siedziała w tej zarzuconej papierzykami i kartonami dziupli na tyłach księgarni i znowu chciało jej się krzyczeć z bezsilności. Naprawdę włożyły z Niną w to miejsce całe serce... i całą kasę.

Nagle tuż obok wysłużonej klawiatury pojawił się porcelanowy talerzyk z połączanym brzegiem. W zapach kurzu i trosk powoli wdzierał się słodki aromat gęstej, lepkiej czekolady. Maniana zamrugała. Na środku talerzyka tkwił idealnie równy kawałek brownie ozdobiony kleksem bitej śmietany, na której czubku królowała miniaturowa truskawka. Maniana się roześmiała i bezwiednie oblizwała usta.

– Sama upiekłaś? – Zerknęła szybko na Ninę i chwyciła widelczyk.

Nina popukała się palcem w czoło.

– Znasz mnie. Produkuję wyłącznie zakalce. A i tych ostatnio coraz mniej. Zakopana w fakturach i ponagleniach, rozdrapując nasze biznesowe rany, kompletnie zapomniałam, że buszowanie w kuchni czasem mnie odprężało... – Nina się przeciągnęła. – Siedziałam w kuchni do piątej nad ranem, ale nie złość się – dodała szybko, widząc przerażoną minę przyjaciółki. – Mieszałam nie tylko w pudełku z lodami, ale też we własnej łepetynie. I chyba wymyśliłam nową receptę na nasze troski. A do tej czekolady podobno dodają sproszkowaną zieloną herbatę. Ma właściwości uspokajające. Tak mi powiedziała właścicielka cukierni. Spróbuj! – zachęciła. – Zaraz zaparzę nam mocną kawę.

Maniana nie dała się długo prosić. Z lubością wetknęła widelczyk w miękkie, wilgotne ciasto. Nina potrafiła czarować. Kulturalna wiedźma! Maniana zmarszczyła nagle brwi. Jej gładkie czoło przecięła pionowa bruzda.

– A właściwie dlaczego my... – Urwała, uważnie wpatrując się w dwa stojące na tacy odrapane kubki, a właściwie w wyblakłe już nieco logo. ICH księgarni. – Ninka, do cholery! Chyba już wiem, co jeszcze możemy zrobić! – wykrzyknęła i wsadziła do ust gigantyczny kawałek aromatycznego ciasta.

ROZDZIAŁ 6

Dobra energia czyni cuda



– Naprawdę uważasz, że nazwa naszej księgarni jest przestarzała?

Nina i Maniana od dobrego kwadransa stały z zadartymi głowami, przyglądając się wiszącemu nad wejściem szyldowi. Nina zamówiła go jeszcze przed oficjalnym otwarciem u miejscowej plastyczki. Podobno bardzo zdolnej, kreatywnej i awangardowej. Teraz jednak powoli zaczęła powątpiewać w jej talent.

– Trudno mówić, że jest przestarzała, bo jej po prostu NIE MA! – odparowała Maniana. – Księgarnia, która nazywa się „Księgarnia”? Bardzo odkrywcze. Że ja dopiero teraz to zauważyłam! Nina, my po prostu w ogóle nie wyróżniamy się na rynku!

– Nie przesadzaj. – Nina wzruszyła ramionami. – Przecież wszyscy wiedzą, że sprzedajemy książki.

– I tu się mylisz. Nazwa to znak firmowy, nasza wizytówka. Jest szalenie ważna.

Nina skanowała wzrokiem twarz Maniany. Już dawno nie widziała takiego podekscytowania w jej oczach. Jakby przyjaciółka wstrzyknęła sobie sporą dawkę energetycznego botoksu.

– Co proponujesz? – zapytała. – Ja, szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak przechrzcić ten biznes, żeby był, jak ty to mówisz, rozpoznawalny. Co może być bardziej rozpoznawalne niż KSIĘGARNIA?!

Maniana nabrała w płuca spory haust powietrza. W końcu mogła je wypuścić.

– Co się znajduje za nami? – zapytała ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Słucham? W jakim sensie?

– W sensie topograficznym. Co się znajduje za naszą księgarnią?

– A jakie to ma znaczenie?
– Nie mędrkuj, po prostu odpowiedz! – zirytowała się Maniana.
– Las bukowy.
– A przed nami?
– Maniana!
– Cicho, mów!
– Park. Z bardzo znaną w mieście aleją buków. Co to za research? Zamierzasz napisać przewodnik po okolicy? – Nina patrzyła na przyjaciółkę z coraz większym powątpiewaniem.
– A my gdzie najczęściej przebywamy? No wiesz, w pracy? – zapytała Maniana, ignorując ironię w głosie Niny.
– Pomiędzy regałami! – Prychnęła. – O co ci chodzi? To już nie jest śmieszne!
– Dokładnie. Czas na *grande finale*. Skoro za nami są buki, przed nami również, a my codziennie krążymy pomiędzy książkami stojącymi na regałach, to jesteśmy niejako POMIĘDZY NIMI, rozumiesz?
– Nie bardzo... – burknęła.
– Książka to po angielsku *book*. – Maniana nie traciła cierpliwości. – Wymawia się „buk”. Tak jak drzewa, które nas otaczają. I nasze książki. Co powiesz na nową nazwę księgarni? Pomiędzy Bookami?
– Book-ami? – wyjąkała Nina i ponownie zerknęła na wyblakły już szyld nad wejściem. Zamrugnęła. Nie do wiary! Usłyszała tę nazwę zaledwie przed chwilą, a oczyma wyobraźni już widziała ją pięknie wykaligrafowaną w witrynie. To zdecydowanie dobra wróżba!



Następne kilka godzin dziewczyny spędziły twórczo na zapleczu. Już dawno nie miały tyle zapału do działania. W księgarni, tak jakby wyczuwając nową energię właściolek, pojawiło się nawet kilkoro nowych klientów. Z ciekawością rozglądali się po przytulnym jasnym wnętrzu, docenili fakt, że na stosiku nowości znajdowały się również mało popularne tytuły z gatunku literatury pięknej, oraz uraczyli się szklaneczką zimnej lemoniady cytrynowej i zapowiedzieli, że na pewno wrócą. Maniana promieniała.

– Jutro same malujemy nasz nowy szyld – zapowiedziała. – Mam gdzieś na strychu stare szablonki do liter. Bawiłam się w plastyczkę w szkole średniej i nawet nieźle mi to wychodziło.
– Mruknęła z zadowoleniem, zerkając w ekran smartfona. – I co robimy z ankietami? Myślałaś o tym?

– Nie tylko myślałam, ale działałam. Podczas nocnych seansów kulinarnych rozpisałam nowy biznesplan – odparła dumnie Nina. – Zaktualizowaną ankietę wypełnili już moi rodzice, czyli target sześćdziesiąt plus. Z ich odpowiedzi wynika, że wolą kupować stacjonarnie niż online. Są też tacy klienci, jak moja ciotka, kompletnie niemający pojęcia o wynalazku zwanym internetem. To nasze pierwsze króliki doświadczalne. Dla nich musimy poszerzyć i uatrakcyjnić ofertę tu, na miejscu.

– A co z młodszymi? To oni w gruncie rzeczy napędzają sprzedaż.

– Młodzi, czyli przedział wiekowy pomiędzy dwudziestym piątym a trzydziestym czwartym rokiem życia, nie lubi chodzić po księgarniach. Nie mają na to czasu. Dla nich przygotujemy pakiet online – objaśniała Nina. – Będziemy pomagać im w zamówieniach i rozsyłać oferty szyte na miarę. To oni sami nam powiedzą, czego potrzebują, jakie gatunki i tytuły interesują ich najbardziej. Już mam zamiar na informatyka. To geniusz. Podobno potrafi skonfigurować program, który to wszystko wyłapie.

– A... koszty? – zapytała niepewnie Maniana, myśląc o niedawnej kłótni z Iwem.

Nina westchnęła dyskretnie. Nie byłaby sobą, gdyby nie przeanalizowała drobiazgowo i tego drażliwego punktu całego planu. Miała już pomysł, ale na razie nie chciała o nim mówić. Obawiała się, że przyjaciółka nigdy się na to nie zgodzi.

– Obiecuję, że na dniach przygotuję cały kosztorys, i wtedy pomyślimy – odpowiedziała wymijająco i klasnęła. W końcu zaczęło się coś dziać. Ten marazm je dobijał i niczym energetyczny wampir wysysał całe życiowe soki. – No już, rozchmurz się, moja piękna. – Mrugnęła zawadiacko do Maniany. – Będzie dobrze, zobaczysz!

ROZDZIAŁ 7

Co się polepszy, to się...



Nina spędziła całe popołudnie, wizytując miejscowe banki. W grubym skoroszytcie dźwigała pięknie opracowany i wydrukowany biznesplan ozdobiony licznymi grafikami i wykresami mającymi na celu dobitniej zobrazować słuszność obranej przez księgarnię Między Bookami strategii wyjścia z kryzysu. Przywdziała na tę okazję zapomnianą granatową kieckę z panięskim, jak to lubiła podkreślać ciotka Eugenia, białym kołnierzykiem i czarne lakierki na słupku. W tym stroju czuła się jak karnawałowy przebieraniec, ale bankowe standardy i przekłety *dress code* wymusiły na jej duszy boho zaprzeczenie się korporacyjnemu diabłu. Najchętniej rozdarłaby pazurami sztywny materiał i wystąpiła w samym podkoszulku, ale wątpiła, czy taki odważny performance zrobiłby pożądane wrażenie na sztywnych urzędnikach. Wszyscy wyglądali tak samo nudno, tak jakby pochodzili z fermy hodującej administracyjne klony. Zmieniały się tylko bankowe logo nad ich głowami i nazwiska na wpiętych w klapy źle skrojonych garniturów identyfikatorach. Nawet odpowiedzi, których jej udzielali, wszędzie brzmiały tak samo – przekłety brak zdolności kredytowej!

Kiedy po kolejnej bezowocnej rozmowie, w trakcie której wzniosła się na strzeliste wyżyny autoprezentacji, intelektu, dyplomacji oraz sztuki negocjacji, znów przegrała z bezlitosnymi cyferkami, jej zapał opadł na niebezpiecznie niski poziom. Wychodząc z banku, nie miała nawet siły, żeby porządnie pchnąć solidne szklane drzwi broniące dostępu do twierdzy wielkich pieniędzy, szybkich karier i równie spektakularnych upadków. Na szczęście z drugiej strony czyjaś energiczna dłoń chwyciła mocno metalowy uchwyt i wrota uchyliły się przed Niną niczym w bajkowym sezamie. Herszt bandy też się zgadzał. Co prawda w kobiecym wydaniu, ale kto wie, czy nie równie groźny jak jego pierwowzór.

– Wszelki duch! O mało zawału nie dostałam! – W progę stała, wymachując czarną parasolką niczym orężem, ciotka Eugenia. Zawsze nosiła ze sobą parasol i rękawiczki, nawet jeżeli temperatura na zewnątrz przekraczała trzydzieści stopni Celsjusza.

– Dzień dobry, ciociu. – Nina dygnęła grzecznie i poluzowała uwierający ją w grdykę paniński kołnierzyk.

Ciotka obrzuciła jej outfit pełnym aprobaty spojrzeniem.

– W końcu wyglądasz jak człowiek! – sapnęła. – Tylko dlaczego ty włosów w warkocze nie związujesz? Ja w twoim wieku to i jeszcze kokardy...

– A co ciocia tu robi? – desperacko weszła jej w słowo Nina. Wykładów o kokardach nasłuchiwała się po wsze czasy podczas rodzinnych obiadków.

– A biznesy swoje mam! Co, nie wolno? – Eugenia się nastroszyła. – To nie te czasy, moja droga, żeby stary człowiek swoje oszczędności w skarpety chował! Teraz krwawicę przechowuje się w banku. Bezpieczniej to i te... różne zbiry, co to podstępna metodą na wnuczka działają, niczego nie capną z szuflady. Przynajmniej ja idę z duchem czasu! – Wypięła dumnie dychawiczną pierś. – Podwajam swoje oszczędności, inwestuję, nawet tego... no, doradcę swojego mam, a co! Ale takich spraw nie powinno się omawiać w takim miejscu, jeszcze ktoś niepowołany usłyszy – szepnęła teatralnie Eugenia i chwyciła bratanicę pod pachę. – A ty jak zgryzotę jakąś masz, to czemu do mnie nie przyjdiesz, co? – zapytała miękko. – Przecież ja wiem, że ta twoja księgarnia tylko straty przynosi. I nie denerwuj się, z Witkiem o tym nie gadałam. Swój rozum mam – podkreśliła dobitnie ciotka, tak jakby Nina miała co do tego choćby cień wątpliwości. – A poza tym jednak to i owo jeszcze widzę, choć fakt, że coraz słabiej. Wpadnij ty do mnie, dziecko, na dniach. Herbaty się napijemy, ciasta podjemy i coś tam uradzimy. No, głowa do góry, bo patrzysz spode łba na świat i ludzi. Jakby wzrok mógł zabijać, to już bym leżała na chodniku zimna jak świętej pamięci nieboszczka moja matka. A teraz wybacz, interesy wzywają! *Adieu!* – rzuciła, stuknęła szpikulcem parasolki o trotuar i już jej nie było.

Nina podrapała się po głowie i powoli ruszyła w stronę zaparkowanego przy krawężniku auta. Od ojca nie przyjęłyby nawet złotówki, wypominałby jej to do końca życia, ale Eugenia? Może to wcale nie taki zły pomysł... Mogłaby poprosić ją o pożyczkę i dyskrecję. Ciotka gadała jak najęta, ale umiała też trzymać język za zębami.

Kiedy przejeżdżała przez skrzyżowanie, wydawało jej się, że widzi przed sobą czerwony peugeot Iwa, męża Maniany, ale musiało jej się przewidzieć. Iwo w godzinach urzędowania nie zwykł wychylać nosa ze swojego biura architektonicznego. Przesiadywał tam nawet

w weekendy. Podobno jego pracownia wygrała kolejny duży projekt, na nowe centrum handlowe. Oby tylko nie planowali tam otworzyć żadnej księgarni! Przydałaby się za to jakaś dobra perfumeria.

Nina zwolniła tuż przed zakrętem prowadzącym na podjazd przy swoim apartamentowcu. Zapomniała zabrać z domu kilku puszek farby, którą kupiła wczoraj w markecie budowlanym. Maniana chciała dziś skończyć malowanie ich nowego szyldu. Zaplanowała nawet relację na żywo z prac budowlanych w social mediach. Twierdziła, że te kanały również mogą przynieść im potencjalnych klientów. Nina nie miała pojęcia o sile zasięgu tych nowych dla niej mediów, ale ufała przyjaciółce na słowo.

Pogrążona w rozmyślaniach zaparkowała tuż przy starannie utrzymanym skwerze z kilkoma ławeczkami, wyskoczyła pośpiesznie z auta i pobiegła w kierunku klatki schodowej. Tuż przed wejściem przy domofonie stał Iwo. Miał na sobie jak zwykle idealnie wyprasowaną białą koszulę i ciemne dżinsy. Wyglądał na mocno zdenerwowanego. Nina zamarła. Kluczyki od auta, które trzymała w ręku, z brzękiem upadły tuż obok jej lakierowanych pantofli.

– Co się stało?! – krzyknęła.

Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Boże, jeżeli przyjaciółka dzwoniła do niej w potrzebie, a ona nie odebrała tego cholernego telefonu, nigdy sobie nie wybaczy! Wyszarpnęła z przepastnej torby komórkę. Brak nieodebranych połączeń. Poczula, że nogi uginają się pod nią.

– Iwo, coś z Mańką? – Jej oczy skanowały pośpiesznie jego napiętą twarz.

– Nie histeryzuj – mruknął. – O ile mi wiadomo, siedzi w tej waszej norze i haruje po godzinach. Oczywiście za darmo! – podkreślił z jadem w głosie. – Jak długo jeszcze zamierzasz ją wykorzystywać? Ona jest tak głupia i naiwna, że zrobi dla ciebie wszystko.

„Nawet więcej niż dla mnie” – pomyślał mściwie i bezwiednie zacisnął dłonie w pięść.

Nina oparła plecy o ścianę bloku i przymknęła powieki. A więc o to chodziło... Karuzela rozgorączkowanych emocji w jej głowie powoli zwalniała. W końcu otworzyła oczy.

– Nigdy jej nie wspierałeś... – powiedziała cicho. – Zrób to przynajmniej ten jeden raz. Teraz na pewno się uda! Mamy nowe pomysły...

– Zamknij się, Nina! – przerwał jej w pół słowa Iwo. Na jego twarzy pojawił się brzydki grymas. – Te wasze, a raczej twoje pomysły już od roku biją mnie po kieszeni! Finito! Nie zamierzam tego dłużej tolerować. Marianna musi z tym skończyć!

– Dlaczego sam z nią nie porozmawiasz, tylko przychodzisz do mnie?

– Doskonale wiesz, że mnie nie posłucha! Będzie, kurwa, chrzanić o lojalności i wsparciu!
– Parsknął. – Dlatego to ty jej powiesz o końcu waszej współpracy!

– Nie zrobię tego! Nie w taki sposób! – Nina zacisnęła usta w wąską kreskę.

Iwo uniósł rękę. Przyglądał wolno opadające na czoło włosy. Przez chwilę zapanowała pomiędzy nimi ciężka, naelektryzowana napięciem cisza.

– Jeżeli nie przekonasz mojej żony – Iwo cedził każde słowo – że musi w końcu zająć się rodziną i dzieckiem i przestać zgrywać pieprzoną księżkową wolontariuszkę, zostawię ją. Wyprowadzę się do Warszawy. Z moimi kwalifikacjami pracę znajdę wszędzie. Mam dość wiecznych klótni i użerania się.

– To podły szantaż! – krzyknęła Nina. – Jak możesz żądać ode mnie, żebym manipulowała Mańką?! Jak śmiesz?! – Nie mogła uwierzyć, że to wszystko działo się naprawdę.

– Nazwij to, jak chcesz. – Iwo wzruszył ramionami. – Robię to dla dobra mojej rodziny. I nie zapominaj, że Benek potrzebuje ojca. Jest jeszcze taki mały...

Nina skapitulowała. Nie miała żadnych szans w starciu z tym dupkiem. W dodatku wciągał w to wszystko dziecko.

– Idź już stąd, Iwo – wyszeptała. – Zanim powiem coś, czego będę żałować.

Roześmiał się. Krótko, drwiąco.

– I pamiętaj, żeby zapłacić jej za ostatnie kilka miesięcy pracy – rzucił buńczucznie i spojrzał znacząco wprost na zaparkowane przed nimi auto Niny. – Gdyby czasem przyszło ci do głowy wymigiwać się brakiem gotówki... hm... takie cacka chodzą za całkiem niezłe pieniądze... Mogę ci nawet pomóc je sprzedać.

– Wynoś się stąd! – Nina odwróciła się na pięcie i błyskawicznie wystukała na domofonie kod swojego mieszkania.

Musiała teraz zostać sama, choć najchętniej wpakowałaby kulkę w sam środek piersi tego sukinsyna! Szach-mat.

ROZDZIAŁ 8

Ślepy zaulek



– Żartujesz, prawda? Powiedz, do cholery, że to zły sen, z którego za chwilę się obudzę?!

Maniana z trupiobladałą twarzą i rękami umazanymi farbą stała nad polakierowaną sklejką, na której widniała nazwa księgarni. Starannie wymalowane litery w stylu retro układały się w napis, który jeszcze wczoraj miał zapewnić ich firmie nowy start.

– Mówię poważnie, Mańka. – Nina z trudem zachowywała kamienną twarz. – Przeanalizowałam w nocy na spokojnie wszystkie za i przeciw i doszłam do wniosku, że oszukujemy same siebie. Tego biznesu nie da się już reanimować. Ciągniemy za sobą trupa.

– Nina... Zamówiłam już ulotki, foldery, zrobiłam grafikę plakatów reklamowych, zmieniłam nawet pieprzone wizytówki! Programista działa na pełnych obrotach, ludzie wypełniają masowo nasze ankiety... Za chwilę powieszę szyld, a ty mi mówisz: „Sorry, Maniana, zabawa skończona, zabieraj zabawki i wypierdalaj”? A moja praca, harówka po godzinach się nie liczy?!

– Zwrócę ci wszystkie koszty. – Na twarz Niny wypełzły ceglaste wypieki.

Maniana patrzyła na przyjaciółkę jak na upiora.

– Doskonale wiesz, że nie chodzi o pieniądze. Nigdy... nie... chodziło... o pieniądze.

– A jednak musimy je zarabiać. Zarówno ja, jak i ty. Ty nawet bardziej, bo masz rodzinę, synka... – perorowała Nina. Gdyby ktoś przyznawał Oscary za kreację życia codziennego, powinna już dawno być nominowana.

Twarz Maniany złagodniała nieco.

– Nina, jedź do domu, odpocznij i wrócimy do tej rozmowy – mówiła wolno, jakby przemawiała do dziecka. – Nie wiem... odnoszę wrażenie, że nie jesteś sobą. Czy ty czegoś

nie brałaś? Chodź, odwiozę cię, dawaj kluczyki!

W Manianę znowu wstąpiły resztki nadziei. Przecież ich życiowa przygoda nie mogła tak się skończyć! Nie pozwoli na to.

– Nie mam kluczyków. – Nina wzruszyła ramionami. – Dziś rano sprzedałam samochód.

Maniana drgnęła. A potem nieoczekiwanie z całej siły kopnęła stojącą tuż obok jej poplamionych adidasów puszkę. Gęsta biała farba zalała starannie wymalowane litery na szyldzie.

– Sprzedałaś Shreka? – wykrztusiła z trudem Marianna. – Przecież... ale jak... jak mogłaś? Swojego najlepszego kumpla? Kochałaś to auto. A teraz chcesz się pozbyć mnie, tak? Nina, do cholery, wbiłaś mi teraz nóż prosto w serce!

– Mania, nie dramatyzuj. To tylko auto. AUTO, rozumiesz? Musiałam mieć gotówkę na poczet długów. Również tych wobec ciebie. Maniana...

Nina złapała przyjaciółkę za rękę. Ta wyrwała swoją dłoń i postąpiła krok w tył.

– Nie mów tak do mnie! – warknęła. – Nigdy więcej tak do mnie nie mów. Z nami koniec!

ROZDZIAŁ 9

Rodzinne tajemnice mocniejsze niż kiepskie wino



– Doprawdy nie wiem, co się dzieje z tą dziewczyną!

Witold Kostrzewski, trzymając w ręku brązową szklanekę z duraleksu (uparcie od ponad dwudziestu lat zwykł pijać kawę wyłącznie z niej), spoczął na ulubionym rattanowym fotelu. Popołudniowe słońce już na dobre rozgościło się na tarasie przedwojennej willi. Zapach świeżo zaparzonej brazylijskiej kawy mieszał się z subtelnym aromatem lawendy rosnącej bujnie w pięknych ceramicznych donicach ustawionych wokół stolika. Po jego drugiej stronie w cieniu ogrodowej parasolki siedziała Aurelia. Przed nią stało duże lakierowane pudełko z czarną pokrywką. Aurelia wpatrywała się w nie niespokojnym wzrokiem. Wyglądała tak, jakby bała się zajrzeć do środka.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Witold łypnął z pretensją na żonę i z głośnym siorbnięciem upił łyk kawy. – Mam wrażenie, że bardziej cię interesuje ta kartonowa puszcza Pandory niż własna córka!

Aurelia ocknęła się z głębokiego zamyślenia i położyła drobną dłoń na wieczku pudełka.

– Obyś nie wykrakał z tą Pandorą! – zagrzmiała z naganą. – Choć raz bądź wyrozumiały dla własnej córki. Ciągłe ją krytykujesz! Nina nie ma teraz lekko. Postanowiła definitywnie zrezygnować z prowadzenia księgarni.

– Ha, a jednak! – huknął Witold. – A nie mówił... znaczy, dlaczego dowiaduję się o tym ostatni?! – zreflektował się błyskawicznie i ponownie sięgnął po szklanekę z kawą.

– Nie ostatni, a pierwszy. A właściwie drugi. To chyba logiczne, że nie chwalimy się wszem i wobec własnymi porażkami. Nineczka chciała najpierw w samotności na spokojnie przetrwać pierwsze tak poważne biznesowe niepowodzenie. Ty jak zwykle zamiast wsparcia

dałbyś jej tylko „dobre” rady. – Wymawiając słowo „dobre”, Aurelia znacząco przewróciła oczami.

Witold niespokojnie poprawił się na fotelu. Już nawet we własnym domu musiał cenzurować swoje wypowiedzi!

– Po co ta ironia? Martwię się o nią tak samo jak ty – powiedział niepewnie. – W końcu to również moja córka!

– Nieodrodna! – Aurelia w końcu się roześmiała. – Uparta jak osioł i niedająca sobie pomóc. Dlatego, mój drogi Witku, musimy zewrzeć szeregi i działać pod wspólną banderą. W końcu płyniemy wszyscy na tej samej łajbie.

– Co masz na myśli? – W oku Witolda błysnęła ciekawość. Szczerze mówiąc, nie nadażał za tokiem myślenia swojej żony.

Aurelia spoważniała i postukała palcami w lakierowane pudełko.

– Tutaj jest rozwiązanie! Ma na imię Emilia – powiedziała tajemniczo. – Uwierz mi, mężu, lepszego na ten moment nie znajdziemy.

Twarz Witolda stężała.

– Nie boisz się, że będą z tego jakieś kłopoty?

– Nigdy się tak nie bałam, Witku – potwierdziła. – Ale nie mam wyjścia. Oboje go nie mamy.



Tymczasem nieodrodna córka Witolda i Aurelii Kostrzewskich, niepomna trosk swoich rodziców, już od dwóch dni nie wychylała nawet czubka nosa spod kołdry. Jej wychuchane i wydmuchane zawsze mieszkanko przypominało teraz mityczną stajnię Augiasza. Wszędzie poniewierały się ciuchy, puste opakowania po najróżniejszych maści produktach spożywczych i niezliczona ilość papierów. Gros z nich stanowiły wypełnione ankiety, które wymyśliły razem z Manianą. Pardon, Marianną, przecież zabroniła nazywać się w ten zadziorny i wyjątkowy sposób!

Po ich niefortunnej sprzeczce Nina wysłała do niej tryliard esemesów i co chwila nagrywała kolejną wiadomość na pocztę głosową, jednak przyjaciółka twardo odmawiała wszelkiego kontaktu. Kiedy więc dzisiaj rano bladym świtem długi i natarczywy dzwonek do drzwi wyrwał Ninę z ciasnych objęć Morfeusza, przez moment myślała, że może Mańka się opamiętała i w końcu porozmawiają. Zerwała się z łóżka i popędziła do drzwi, ale nadzieje okazały się płonne. Na wycieraczkę stał karton pełen cholernych ankiet, pierdyliard faktur,

ulotek i urzędowych listów oraz skrzynka wypełniona na wpół otwartymi puszkami po farbach i zaschniętymi na wiór pędzlami, na której wierzchu leżały klucze od księgarni. Na środku tobołu tkwiła przyklejona taśmą kartka: *Wal się!*

Nina jednym celnym kopnięciem umieściła nieszczęsny pakunek w przedpokoju, zatrzasnęła za sobą drzwi, tak że budynek zatrzęsł się w posadach, i wróciła na swój łóżkowy posterunek, nakrywając się ponownie kołdrą aż po sam czubek roztrzepanej głowy. Jej życiowe motto, które brzmiało: „Rozłóż każdy problem na czynniki pierwsze po to, żeby móc znaleźć jak najlepsze jego rozwiązanie”, właśnie legło w gruzach. W tym przypadku nie było już czego rozkładać. Nina Kostrzewska po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co robić. Miała trzydzieści lat, mnóstwo długów, żadnych perspektyw i w dodatku, mówiąc językiem ciotki Eugenii, była nadgryzioną zębem czasu starą panną. Dającą się manipulować, sterować i szantażować jakimś idiocie, przez którego nie tylko straciła swój biznes, ale również najlepszą przyjaciółkę.

Właściwie to mogła się tego spodziewać. Od samego początku znajomości nie mogli się dogadać z Iwem. Zawsze był okrutnie zazdrosny o jej zażyłe relacje z Mańką. Obrażał się, kiedy umawiały się na babskie wino i pogaduszki, głównie u Niny, gdyż nie lubił OBCYCH w domu. Miał swój gabinet, w którym zaszywał się zaraz po powrocie z biura, i Mańka musiała chodzić na palcach, żeby nie rozpraszać szanownego małżonka. Nawet najcichszy chichot mógł spłoszyć jego kapryśną architektoniczną wenę! Kiedy urodził się Benek, Mańka przez pierwsze tygodnie była bardzo słaba i nie radziła sobie z podstawowymi obowiązkami w domu. Nina pomagała jej w zakupach i opiece nad małym. Iwo zasłaniał się niezwykle ważnym międzynarodowym projektem, od którego podobno zależała jego dalsza kariera. Tak naprawdę drażnił go płacz synka (kolki!) i wiecznie zmęczona żona w rozchełstanej koszulinie ze śladami mleka na piersiach, z nieumytą głową i bladą, ściągniętą wyczerpaniem twarzą. Zamykał się w tej swojej pracowni ze słuchawkami na uszach, szklaneczką ulubionej indyjskiej whisky Imperial Blue i miał wszystko w dupie. Potrafił nawet awanturować się o brak obiadu! Mańka usprawiedliwiała go nawet wtedy, kiedy obraził się, że w szafie zabrakło czystych ręczników!

– Musisz go zrozumieć, Ninka – szeptała nad główką Benka, który sapiąc i pomrukując, gładził rączką jej nabrzmiałą mlekiem pierś. – Iwo wychowywał się bez taty. Matka, chcąc mu zrekompensować brak ojcowskiej miłości, wyręczała go we wszystkim i dogadzała, ile wlezie. Nie miał w domu żadnych obowiązków. Czy mogę go za to winić?

– Nie, ale nie musisz go ciągle i we wszystkim usprawiedliwiać – oznajmiła zdecydowanie Nina. – Nie jest już bezbronnym chłopcem. Założył własną rodzinę i mógłby w końcu wziąć się w garść. On nawet szklanki po sobie nie umyje. Święty Piotrze w niebiesiech, to nawet mój ojciec potrafi ogarnąć przestrzeń wokół siebie. A uwierz mi, większego szowinisty ze świecą szukać.

– Już dobrze, kochana, nie denerwuj się... Porozmawiam z nim... – próbowała łagodzić sytuację Mańka. – A teraz ciii... Zobacz, Benjamin tak słodko zasnął przy piersi. Ja go tak kocham, Ninka. Jak nikogo na świecie!

Nina spojrzała na Mańkę z synkiem w objęciach i cała złość ulotniła się z niej jak z przekłutego balonika. Zalała ją fala czułości. Wyciągnęła rękę i delikatnie pogładziła mięciutkie jak pajęczyna włoski małego. Sapnął zabawnie przez sen. Mańka przymknęła oczy. Nina przykryła czule przyjaciółkę miękkim kocem i na palcach wyszła z pokoju.

Zeszła po skrzypiących swojsko drewnianych schodach i zerknęła w kierunku salonu. Na kanapie przed telewizorem leżał rozparty pan domu i zaśmiewał się do rozpuku z jakiejś durnej komedii. Nina zmełła w ustach przekleństwo i poszła do kuchni. Na całej długości marmurowego blatu piętrzyły się stopy brudnych naczyń. Na środku wyspy stało kilka pustych puszek po piwie i niemilosiernie otłuszczona deska z resztkami jakiegoś śmierdzącego francuskiego sera. Nina poczuła, że przed oczami zaczynają jej latać krwawe mroczki.

– Iwo! – wrzasnęła. – Możesz tu przyjść na moment! Z łaski swojej – dodała nieco ciszej, ale równie dobitnie.

Odgłosy telewizyjnej bijatyki w salonie nieco zelżały. W drzwiach stanął, ziewając rozdzierająco i drapiąc się po lewym ramieniu, Iwo.

– Czego się drzesz?! – warknął i rozejrzał się po kuchennym pobjowisku. Jego wzrok oprzytomniał nieco. Po sekundzie pojawiła się w nim złość. – Niezły syf w tym domu. Nie ma tu żadnej kobiety, żeby to ogarnąć? – Zerknął na nią znacząco.

W tym spojrzeniu było coś jeszcze. Coś, czego wołała nie definiować. Poczowała cieniutką stróżkę potu spływającą wzdłuż jej kręgosłupa. Cofnęła się o krok i boleśnie uderzyła biodrem o kant wyspy.

– Mańka śpi. A ty posprzątaj tutaj, na litość boską! – powiedziała najspokojniej, jak umiała, choć wszystko w niej wrzało. – Ona naprawdę potrzebuje twojej pomocy...

Zbliżył się do niej. Śmierdział piwskim i papierochami.

– Nie będziesz mi rozkazywać we własnym domu! Nie szkoda ci czasu na gderanie? A może zrobimy razem coś innego? – Wyciągnął rękę i opuszką palca obrysował okrągły

dekolt jej białej bluzki.

Stała jak sparaliżowana. Nie mogła się ruszyć. Czuła, że cała zawartość żołądka podchodzi jej do gardła.

– Nie pogrywaj ze mną, Nina, pamiętaj o tym – szepnął prosto do jej ucha. Roześmiał się, podszedł do lodówki i ostentacyjnie wyciągnął z niej kolejną puszkę piwa.

Może powinna zareagować już wtedy? Ale co mogła zrobić? Nie była w stanie zmusić Mańki do czegoś, czego ona sama nie chciała. Przyjaciółka z uporem maniaka powtarzała, że Iwo nad życie kocha ją i małego, troszczy się o nich, zapewnia to, co najlepsze. „Każdy ma jakieś wady” – mówiła. „Ja też nie jestem święta”. To prawda, nie była. Ale nigdy się nie skarżyła. I nigdy nie pozwalała nikomu powiedzieć złego słowa na męża. A on przyczaił się na długo, bardzo długo, i w końcu po latach dopiął swego. Zemścił się na nich obydwu. Rozdzielił je. A Nina mu na to pozwoliła.

Westchnęła ciężko i, nie wyciągając głowy spod kołdry, próbowała namacać stojącą na podłodze butelkę ulubionego rieslingu. Jej ręka natrafiła na pustą przestrzeń. Co jest, przecież jeszcze wczoraj to cholerne wino tu stało? Odrzuciła szybko kołdrę i zmartwiała. Ujrzała nad głową swoją własną matkę ze ścierką pod pachą.

– Najwyższy czas wyjść ze swojej ciepłej norki, moja panno! – zawołała Aurelia. – I dlaczego, na Boga, pijesz takie podłe wino?!



Dwie godziny później mieszkanko Niny lśniło. Matka nie miała dla niej litości. Przegoniła kaca córki solidną porcją mocnej kawy, wcisnęła do ręki odkurzacz, otworzyła na oścież wszystkie okna i podkręciła radio z przebojami z lat swojej młodości. Nina już po kwadransie poczuła, że w końcu wracają jej siły witalne. Zmarnowała kilka dni, zamiast działać i odkręcać to, co przez swoją głupotę zaplątała w niezły supeł. Jak zawsze wraz z napływem energii poczuła wilczy głód, a jej lodówka od dłuższego czasu świeciła dramatycznymi pustkami.

– Poczekaj, mamuś, skoczę tylko do marketu i przyniosę nam coś pysznego. Mają tu obłędny sernik z czekoladą. – Przygładziła wysuwające się spod gumki włosy.

– Wszystko kupiłam – zakomunikowała Aurelia. – Gdybym nie przyszła w porę, mogłabyś założyć hodowlę grzybów w swojej własnej lodówce. A ciasto jak najbardziej, chętnie zjem, ale już nie dziś. Mamy dziś z ojcem umówionego brydza u Szymańskich.

– Ojciec już pewno otworzył szampana. Musi przecież uczcić jakiś swój sukces pod tytułem *Ja zawsze mam rację*. W końcu jego córeczka rozłożyła na łopatki swój biznes, a on to

przewidział – odparowała gorzko Nina.

– Tata nie lubi szampana, jeżeli już, to dobry koniak. – Aurelia się uśmiechnęła, mrugnęła do córki i sięgnęła do stojącej pod stołem torby. Po chwili na blacie znalazło się lakierowane pudełko z pokrywką.

Nina ze zdziwieniem spojrzała na matkę.

– Co to jest? – zapytała.

Aurelia roześmiała się dźwięcznie.

– Otwórz, śmiało. – Przesunęła w kierunku Niny pudełko i pokiwała zachęcająco głową. – No już, nie bój się, nie schowałam tam węża.

Nina chwyciła za wieczko i zaintrygowana zajrzała do środka. Wnętrze szczelnie wypełniały poóółkłe cieniutkie karteluszkki. Przekładała delikatnie jedną kartkę za drugą. Były zapisane starannym, nieco szpiczastym pismem i ozdobione fikuśnymi rysunkami.

– To jakieś stare przepisy... na ciasta! – zawołała. – Przedwojenny tort czekoladowy siostry Lukrecji. Co to ma znaczyć, mammo? Czy to jakiś rebus?

Aurelia milczała.

Palce Niny natrafiły nagle na nieco grubszy, chropowaty papier. Na samym dnie pudełka tkwiła kremowa koperta z wypisanym na wierzchu jej własnym imieniem.

– To list. – W głosie Aurelii dało się wyczuć napięcie. – Napisała go do ciebie moja siostra. Widziała cię po raz ostatni na początku lat dziewięćdziesiątych. Miałaś wtedy trzy latka...

– Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że masz siostrę? – Nina wpatrywała się w matkę tak intensywnie, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy w życiu. – Jak jej na imię?

– Emilia. A właściwie Emma. – Aurelia próbowała wytrzymać karcące spojrzenie córki, ale w końcu opuściła głowę.

– Czy Emilia... Emma żyje? Ma rodzinę, męża, dzieci? Gdzie mieszka?! Mammo, jak mogłaś to przede mną ukrywać przez tyle lat?

– Nie osądzaj mnie zbyt pochopnie, córeczko – wyszeptwała. – Nie, moja siostra nie ma dzieci. Jej mąż umarł kilkanaście lat temu. Chyba... Od dawna nie miałam z nią kontaktu.

– Dlaczego?

Matka milczała. Pomalowane różowym błyszczkiem usta zacisnęła w wąską kreskę.

– Mammo... powiedz mi!

– Emilia wyemigrowała przed laty do Holandii – zaczęła cicho Aurelia. – Zakochała się w chłopaku ze wschodu kraju, Julianie, a ponieważ twoja babcia nie chciała się zgodzić na to małżeństwo, moja siostra zerwała kontakt z rodziną. Nawet nie zaprosiła nas na swój ślub.

– Jak to babcia nie chciała się zgodzić? – Nina oniemiała. – Z jakiego powodu? Chyba nie chodziło o mezaliansy? To jakieś przedpotopowe zasady!

– To trudne tematy, Ninko, wybacz mi... – Matka wzięła głęboki oddech i po chwili zaczęła mówić dalej. – Przed poznaniem Juliana Emilia przebywała w klasztorze.

– Chcesz powiedzieć, że to zakonnica?

– I tak, i nie. Nasza rodzina była bardzo wierząca i praktykująca, ale nic nie wskazywało na to, że Emilia zechce poświęcić życie Bogu. Miała wiele zainteresowań, kochała taniec i śpiew, była otwarta na świat i ludzi, o wiele bardziej niż ja. Kiedy po ukończeniu liceum z jednym z najlepszych świadectw nie dostała się na ukochaną psychologię, coś w niej pękło. Zaczęła częściej chodzić do kościoła, gdzie poznała kilka siostr z zakonu brygidek. Opowiadała mi potem, że ujęła ją ich szczerą radość życia, której tak jej wtedy brakowało.

– I co było dalej, mamo? Co z Emilią?

Nina złożyła ręce jak do modlitwy. Wyglądała teraz jak mała dziewczynka, która czeka na porcję ulubionych łakoci.

– W tajemnicy przed matką pojechała pociągiem do Częstochowy, żeby odbyć rozmowę w klasztorze.

– Wiedziałaś o tym?

Aurelia pokiwała głową.

– Tak, powiedziała mi o tym. Pamiętam, że pożyczyłam jej pieniądze na bilet. Bardzo ją wspierałam...

– I jak poszła ta rozmowa?

Aurelia zawahała się na moment.

– Emilia wstąpiła do zakonu miesiąc po spotkaniu z matką przełożoną. Kilka tygodni później wyjechała odbyć formację w Rzymie. Tam spędziła dwa lata. W postulacie była w Szwajcarii. Najeżdżała się po tym świecie. Wtedy bardzo jej zazdrościłam. Nowicjat minął jej w Rzymie, a potem powędrowała na południe Holandii, do klasztoru w Limburgii. Tam właśnie na kilka miesięcy przed złożeniem ślubów wieczystych poznała Juliana...

– To bardzo romantyczna historia! – wykrzyknęła Nina. Jej własne problemy zdawały się teraz takie błahy. Nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, na jakim życiowym rozdrożu musiała stanąć Emilia.

– Raczej tragiczna... – Aurelia się zamyśliła. – Nasza matka nigdy nie wybaczyła córce tej, jak sama twierdziła, zdrady. Do końca życia uważała, że naraziła naszą rodzinę na śmieszność.

Emilia najpierw płakała, błagała, aż w końcu zagroziła, że jeżeli matka jej nie odpuści, nigdy więcej się do niej nie odezwie. Obie były uparte jak oślice...

– A ty? Mam nadzieję, że stałaś murem za siostrą?

– Tak mi się wtedy wydawało, ale... Emilia uważała zawsze, że niewystarczająco. Ubzduriała sobie, że pomimo dużego wpływu, który miałam na mamę, nigdy nie potrafiłam się jej postawić. I nigdy nie namawiałam, żeby wybaczyła starszej córce. W końcu moja siostra wyrzekła się również i mnie.

– Nie próbowałaś szukać z nią kontaktu, pojednania? Tak po prostu odpuściłaś? – Nina tak mocno zaciskała dłonie, że aż pobielwały jej knykcie.

– Cały czas próbowałam... – Aurelia przymknęła oczy. Na jej twarzy malowały się skrajne emocje. – Pisałam do niej listy, robiłam zdjęcia, informowałam o każdym ważniejszym wydarzeniu rodzinnym. Emilia wiedziała, że poznałam Witolda i planujemy się pobrać. To jej pierwszej wyznałam, że jestem w ciąży. W dniu, w którym się urodziłaś, napisałam do niej bardzo emocjonalną wiadomość. Dołączyłam małą polaroidową fotografię, na której uśmiechasz się po raz pierwszy. Przysłała wtedy, bez słowa, białą koronkową sukienkę, którą nosiłaś potem bez przerwy. Kilka lat później, dokładnie w dniu, w którym skończyłaś trzy latka, zmarła babcia. Emilia, już wtedy Emma, przyjechała na pogrzeb. Zaskoczyła mnie, bo byłam przekonana, że się nie pojawi. Ale moja radość okazała się przedwczesna. Zamieniłyśmy tylko kilka nic nieznaczących formalnych słów. Od razu po krótkiej ceremonii odleciała do Amsterdamu, nawet nie przysłała na stypę. Wtedy widziała cię pierwszy i ostatni raz.

– Dlaczego mówisz mi o tym teraz? I po co dajesz mi te stare przepisy... i tę kopertę?

Aurelia spojrzała na nią uważnie.

– Emma nigdy nie odpowiedziała na żaden mój list. Pomimo tego nadal je pisałam. Kiedy kilka tygodni temu wyznałam, że martwię się o ciebie, gdyż pomimo tylu starań będziesz musiała zrezygnować z wymarzonej księgarni, w końcu dostałam pierwszą wiadomość po latach. Prosiła w niej o stare przepisy na ciasta, jeszcze po naszej babci ze Lwowa. W kopercie był również list. Adresowany do ciebie, Ninko.

– Czy wiesz, czego chce ode mnie Emma?

– Tak, wiem. I uważam, że to jest bardzo dobry pomysł.

Dzień dobry, Nino!

Zapewne fakt, że gdzieś tam na drugim końcu świata żyje siostra Twojej matki, jest dla Ciebie niemałym szokiem. Nie wiń Aurelii za to, że nic Ci o mnie nie powiedziała. Zawsze była pod wpływem naszej matki. To ona kazała jej o mnie zapomnieć. Aurelia z pewnością zacznie się tłumaczyć, że tak wcale nie było, że do mnie pisała, próbowała podtrzymywać zerwany kontakt. To prawda, ale robiła to w tajemnicy. Sekrety i zakulisowe działania to domena wszystkich kobiet w naszej rodzinie. Ja jestem wyjątkiem i za tę niesubordynację poniosłam okrutną karę, ale nie miałam ochoty wiecznie grać roli tobołka wstydu albo garbu poruty, jak nazwała mnie kiedyś matka. To było moje życie i moje wybory. Każdy z nas kiedyś sam zapłacił za wszystkie błędy, które popełnił. Inni ludzie nie mają prawa wystawiać nam za nie żadnych rachunków. Moja rodzina to zrobiła, dlatego przed laty postanowiłam się od niej odciąć. Okazało się, że była to rozsądna decyzja. A może inaczej – najlepsza, którą mogłam wtedy podjąć.

Czas złagodził moje rany, choć nigdy nie zdołał ich zasklepić. Teraz jestem już w takim wieku, że tęskno mi do korzeni, do ludzi, których kiedyś się wyrzekłam. Może w końcu nadszedł moment przebaczenia? I choć może wydać Ci się to dziwne i irracjonalne, bardzo chciałabym Cię poznać. Tak naprawdę widziałam Cię tylko raz w życiu. Byłaś wtedy taka mała, krucha, bezbronna. Ja sama nie mam dzieci. Wielu ludzi uważa, że to właśnie ta moja kara za grzechy. Być może tak jest. Przestałam już analizować, teraz skupiam się na przeżywaniu. Chcę przeżyć ten skrawek życia, który mi pozostał, w zgodzie ze sobą. A do tej pełnej zgody potrzebuję właśnie Ciebie, Nino. Brzmi to jak szaleństwo, ale zaufaj mi, wcale tak nie jest.

Aurelia przez te wszystkie lata pisała głównie o Tobie. Co lubisz, czego się boisz, jakie są Twoje marzenia i plany. W pewnym momencie miałam wrażenie, że pisze o mnie samej. Jesteśmy bardzo podobne. Niepokorne. Mamy taki sam głód życia, te same małe miłości. Tu, w holenderskim Deventer, gdzie mieszkam od tylu lat, znalazłam swoje miejsce, swój świat i swoją pasję. Jedną z nich jest bardzo podobną do Twojej. Dlatego poprosiłam Twoją matkę o stare pudelko z rodzinnymi przepisami. Chcę, żebyś sama mi je przywiozła. Resztę opowiem, gdy już się zobaczymy.

Mam nadzieję, że zechcesz mnie odwiedzić jak najprędzej. To bardzo ważne, gdyż uciekający czas jest teraz moim wrogiem. Nie musisz się zapowiadać. Aurelia zna mój adres, a ja nie ruszam się z mojego domu ani na krok.

Po prostu przyjeźdź.

Będę na Ciebie czekała, Nino.

I nie tylko ja...

Emma

ROZDZIAŁ 10

Nowa królowna zacofanego kraju



– Poupadaliście wszyscy na głowę?! Wysłać dziecko na poniewierkę do tego zacofanego kraju?! – Eugenia, machając wątlymi ramionami, to zrywała się, to znów siadała na swoim ulubionym rattanowym fotelu na tarasie willi Kostrzewskich. – Nie zgadzam się na tę emigrację!

– Obawiam się, droga siostró, że Nina nie będzie cię pytać o zdanie – zauważył trzeźwo Witold. – Podobnie jak i mnie. Dlatego wolałem zawczasu się zgodzić – dodał nieco ciszej. – A tak w ogóle, co masz na myśli, mówiąc „zacofany kraj”? Holandia to jedno z wiodących państw strefy Schengen! – pouczył.

– A co ty tak mędrkujesz?! – Najeżyła się. – Króle tam urzędują, a u nas już dawno na Wawelu leżą. Monarchia to przeżytek! Gdzie tam ta nasza Nina pasuje? Ona nawet żadnej porządnej kiecki nie ma, tylko same podarte portki. I ten pomysł, żeby jechała akurat do Emilii... Toć to upadła zakonnica jest! ŻADEN przykład dla młodej panienki.

A tymczasem rzeczona panienka w jednych podartych portkach wyklócała się właśnie niczym przekupka na targu z właścicielem lokalu użytkowego przy ulicy Bukowej 13, niejakim Jerzym Wiesławem Moniuszką.

– Pani Nino, nie może mnie pani zostawić z dnia na dzień z pustymi rękoma. To się nie godzi – perorował nerwowym dyszkantem rzeczony Moniuszko. – Dlaczego dowiaduję się ostatni, że zamierza pani zlikwidować księgarnię? Jak w ogóle mogła pani dopuścić do tego, że padła? To idealna lokalizacja, serce miasta...

– Panie Jerzy! – Nina nie zwykła tracić rezonu w podbramkowych sytuacjach. – Po pierwsze, informuję pana o wypowiedzeniu umowy najmu na czas, czyli na miesiąc naprzód,

po drugie, mógłby pan sobie darować wyjątkowo złośliwe przytyki dotyczące moich umiejętności biznesowych...

– A po trzecie? – Drobiazgowy Moniuszko przestępował nerwowo z nogi na nogę i co rusz poprawiał zsuwające się na perkaty nos druciane okulary.

– Niech mi pan nie wchodzi w słowo, tylko, do diaska, da dokończyć! – Nina tupnęła z furją.

– I po co te nerwy i bluźnierstwa? – Moniuszko się nabzdyczył. – Ale może to i lepiej. Płaciła mi pani grosze, a miałem znacznie intratniejsze propozycje. Na przykład na urządzenie tutaj luksusowego spa paznokcia. Właścicielka salonu wydaje się bardziej ogarnięta.

Nina przewróciła oczami. Stwierdziła, że szkoda jej cennej energii na Moniuszkę i jego paznokcie. Pomruczała pod nosem i pożegnała się chłodno. Powinna teraz zakasać rękawy. Zostały jej dwa dni na opróżnienie księgarni i doprowadzenie lokalu do stanu sprzed wynajmu. Choć po prawdzie byłoby to niezmiernie trudne. Musiałaby zrywać farbę ze ścian! Ha, Bukowa 13 była wcześniej niemiłosiernie zapuszczoną norą. Doskonale pamiętała, jak wyglądał ten przybytek, zanim go wynajęły. Moniuszko udawał salonowca, a tak naprawdę był zwykłym bucem. Oferował w pakiecie z historycznym nazwiskiem poplamione tapety, odłączając od podłoża wykładzinę i brudne witryny. Mańka zdarła sobie skórę do krwi, szorując ściany i podłogi.

Mańka... Nina westchnęła i spojrzała na zegarek. Maniana nadal nie chciała z nią rozmawiać i nie reagowała na wiadomości. Ale ona nie zamierzała wcale odpuszczać i planowała podjąć kolejną próbę. Zerknęła szybko na przegub ręki. Zważywszy na wczesną godzinę, może uda się jej pogadać z Mańką w domu. Iwo z pewnością pojechał już do pracy, należy więc wykorzystać jego nieobecność i spróbować jakoś udobruchać rozsierdzoną przyjaciółkę. Jeżeli nie było jeszcze za późno... Ten podły szantażysta miał wystarczająco dużo czasu, żeby przeciągnąć Mańkę na swoją stronę. Cholerny egoista!

Nina zgrzytnęła zębami. Nie było czasu do stracenia. Bus do Holandii odjeżdżał pojutrze wieczorem. Rozpoczynała swoją holenderską przygodę na wariackich papierach. Tym razem nie planowała, ba, nawet nie zastanawiała się długo. Po prostu zdecydowała się jechać. Pomimo uporządkowanej natury planistki pociągały ją niespodzianki, dreszczyk emocji i nowe wyzwania. Od chwili, kiedy usłyszała o Emmie po raz pierwszy, niezmiernie ją intrygowała. Historię ciotki owiewała gęsta chmura tajemnic i niedopowiedzeń. Matka nie miała nawet pojęcia, czym zajmuje się w Holandii jej siostra. Wiedziała tylko tyle, że prowadzi jakiś sklep. Nina nie mogła tego pojąć. Jak dwie bliskie sobie kobiety mogą się oddalić na tyle, że

w pewnym momencie nic o sobie nie wiedzą?! Nic nie jest tego warte. Nic! Dlatego ona nie może powielać rodzinnych błędów. Powinna jak najszybciej rozmówić się z Manianą i powiedzieć jej prawdę. Iwo blefował. Nie zostawiłby Mańki i Benka. Zastraszył ją, a ona zbyt szybko się poddała. Dostyc tych kłamstw! W Ninę jakby wstąpił diabeł. Przyspieszyła kroku. Na rogu Bukowej i Wyzwolenia złapała taksówkę. Może jeszcze nie wszystko stracone? Nigdy nie jest za późno na skruchę.

Kiedy taryfa zatrzymała się przed domem Maniany, Nina wyskoczyła z auta i rozejrzała się uważnie. Szczęście jej sprzyjało – na podjeździe nie było samochodu Iwa. Tak jak przypuszczała, ten podlec pojechał już do pracy. Nacisnęła dzwonek przy furtce. Raz krótko, raz długo. Nawet jeżeli Mańka nie będzie chciała jej widzieć, tym razem nie da się tak łatwo spławić. Co to, to nie! W oknie mignęła jej twarz przyjaciółki, ale drzwi wejściowe nadal pozostawały zamknięte.

– Mańka, otwieraj! – wrzasnęła Nina. – Wiem, że jesteś w domu! Nie odejdę stąd, dopóki nie porozmawiamy! Siadam i czekam! Mam czas!

Ściągnęła torebkę z ramienia i ostentacyjnie klapnęła na ceglastą podmurówkę ogrodzenia. Po kwadransie zza jej pleców dobiegł w końcu odgłos przekręcania klucza w zamku. W drzwiach stanęła Maniana. Miała na sobie sprany żółty dres. Podkrążone oczy i zacięta mina nie wróżyły nic dobrego. Nina zerwała się z miejsca i szarpnęła za klamkę furtki.

– Wpuścisz mnie czy będziemy rozmawiać przez kraty jak więźniowie na widzeniu? – Próbowwała żartować, choć czuła łyzy w gardle. Przyjaciółka wyglądała tak obco, jakby dzieliły je miliony lat świetlnych.

– Czego chcesz? – Mańka zbliżyła się do ogrodzenia. – Streszczaj się, bo za godzinę muszę jechać z Beniem do pediatry.

– Maniana...

– Nie mów tak do mnie!

– Mańka... Okłamałam cię... zaraz ci wszystko wyjaśnię. Tylko pozwól mi wejść...

Przyjaciółka prychnęła.

– Nie tylko mnie oszukałaś! Próbowalaś też skłócić mnie z mężem. Perfidnie, jak zwykła dziwka! – Na twarz i szyję Marianny wstąpiły nieregularne czerwone plamy.

– Mańka, poczekaj! To nie tak... – zaczęła spokojnie Nina, po czym zdębiała, jakby dopiero teraz dotarł do niej sens wypowiedzianych przez przyjaciółkę słów. – Słucham? O czym ty, do cholery, mówisz?

– Iwo mi wszystko powiedział! Przyszedł do niego potajemnie, podczas gdy ja harowałam w księgarni! Próbowalaś go uwieść, a mnie się pozbyć, odbierając nie tylko męża, ale i pracę! Co ty sobie właściwie myślałaś?!

Cała krew odpłynęła z twarzy Niny. Poczowała, że brakuje jej powietrza.

– Mańka... – wykrztusiła. – Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz! TO JAKIŚ ABSURD! Iwo kłamie!

– Nie, to ty kłamiesz! Sama się przed chwilą przyznałaś! – Marianna stanęła w lekkim rozkroku, tak jakby szykowała się do walki wręcz.

– To nie tak... To twój mąż łże. Nie chciał, żebyśmy reanimowały księgarnię! Szantażował mnie, Mańka! Powiedział...

Marianna zaczęła się histerycznie śmiać. Jej oczy zdawały się martwe.

– Nie pogrążaj się, Nina – warknęła. – Iwo ostrzegał mnie, że będziesz mataczyć. Nie przychodź tu i zostaw nas w spokoju. I nigdy więcej nie oczerniaj mojego męża. Nie masz własnej rodziny, to dlatego próbujesz rozbić moją? Wara od nas! Wbiłaś mi nóż w plecy, ale nie pozwolę, żeby moi bliscy cierpieli tak jak ja, słyszysz? A teraz już idź. Idź stąd, słyszysz?!

Marianna odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę domu. Zatrzasnęła za sobą drzwi, oparła się o nie ciężko i zaczęła rozpaczliwie szlochać. Nie miała już teraz nikogo. Nikogo, na kim mogłaby się oprzeć. Zdradzili ją oboje. Ale nie pora na żale, teraz musiała być silna.

– Mamusiu! Mami! – Z pokoju Benia rozległo się wołanie.

Po chwili jej synek stanął w korytarzu. Marianna błyskawicznie otarła twarz wierzchem dłoni. Beniamin przyglądał się jej uważnie, przenikliwie.

– Płakałaś. Znowu... – powiedział cicho. A potem szybko odwrócił się za siebie i dodał szeptem: – Tatuś jest na ciebie zły?

Marianna zrozumiała każde słowo synka. Potrafiła czytać z ruchu jego drobniutkich ust.

– Nie, kochanie – odpowiedziała spokojnie. – Jestem trochę przeziębiona. A teraz szybciotko pakuj plecak! Nie możemy się spóźnić do pana doktora.

ROZDZIAŁ 11

Niedoszła zbrodnia i nieoczekiwana pomoc



Po rozmowie z Manianą rozwścieczona Nina od razu pojechała do pracowni Iwa. Huczało jej w głowie. W końcu zrozumiała, co tak naprawdę oznacza morderstwo w afekcie. Dotychczas nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można pod wpływem emocji zrobić coś tak głupiego, a teraz sama bez zmrużenia oka zabiłaby drania na miejscu. Kiedy wysiadła z taksówki, przez krótką chwilę żałowała, że nie ma przy sobie ostrego narzędzia. Miniaturowy pilnik się nie liczył, tutaj potrzebna była prawdziwa broń! Najlepiej ostra siekiera!

Wściekła Nina nawet się nie zorientowała, że mówi głośno sama do siebie.

– Siekiera? – Za jej plecami rozległ się nagle znajomy skrzeczący głos. – A cóż to paniusia zamierza teraz wykarczować krzaki, w których ostatnio przesiadywała, knując nieczne plany? Ale pomyliła adres. Zarośla znajdują się trzysta metrów dalej, na północny wschód! Tutaj już wszystko wycięli, łobuzy...

Nina powoli się odwróciła i wrosła w ziemię. Tuż za nią stała przygarbiona staruszka. Ta sama, którą spotkała na placu przed konkurencyjną księgarnią. Kogoś jej przypominała? Zaraz, zaraz... No jasne, Filomenę z *Karolci*.

– No co tak na mnie wrogo spoziera jak diabeł na święconkę! – obruszyła się staruszka. – To po co jej ta siekiera? – I zupełnie nieoczekiwanie dodała: – Może ja w czymś pomogę? Doradzę? A paniusia w tym czasie ochłonie, bo złość i pośpiech to nie są dobrym doradcą. Wiem coś o tym...

– Nie chcę karczować żadnych krzaków – zaprzeczyła Nina. – To grubsza afera. Zamierzam komuś odciąć głupi łeb!

– O, to brzmi sensowniej – ożywiła się staruszka. – Ale cokolwiek by ten ktoś zrobił, chyba nie warto łądować przez niego w kryminale? Jak znam świat i ludzi, chodzi tu o osobnika płci męskiej, bo gdyby to była baba, to panienka chciałaby wytargać jej wszystkie włosy. Facetowi zwykle urywa się łeb albo, za przeproszeniem, jaja, a babie kudły. – Wzruszyła ramionami i popatrzyła gdzieś w przestrzeń ponad głową Niny.

Ta zamarła na sekundę, a potem wybuchnęła śmiechem. Po jej policzkach spływały łzy, a ona trzęsa się jak w febrze. Po chwili szaleńczy chichot niezauważalnie przeszedł w szloch. Nina zakryła twarz rękoma. Jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się histeryzować na ulicy. I to w towarzystwie zupełnie obcej osoby.

Filomena przyglądała jej się ze stoickim wyrazem twarzy, tak jakby takie niecodzienne sytuacje spotykały ją nagminnie. Kiedy Nina skończyła wreszcie płakać i pociągnęła dramatycznie zaczerwienionym i spuchniętym nosem, staruszka wyciągnęła ze sfatygowanej czarnej torebki kraciatą chustkę wielkości obrusa i bez słowa podała ją dziewczynie. Nina smarknęła siarczyście i w końcu poczuła ulgę.

– Dziękuję, pani Filo... ekhm... pani! – Nina w porę ugryzła się w język. – Już mi przeszło. Nie będę nikogo mordować, ten gad nie jest tego wart. Poza tym niedługo wyjeżdżam, bardzo daleko, więc szkoda byłoby marnować bilet.

– Brawo! Tak trzymać. Niczego nie żałować i nigdy się nie poddawać! To ten... na mnie pora – sapnęła. – I... powodzenia życzę. A chusteczkę odda mi paniusia kiedyś, przy okazji – powiedziała, zawięła spódnica i już jej nie było.

– Jak się pani nazywa?! – zdążyła jeszcze krzyknąć Nina, ale staruszka już jej chyba nie słyszała.

Odwróciła się na moment, zamachała przyjaźnie i zniknęła za winklem. Prawdziwa czarownica. Ale chyba jednak z tych dobrych...

Nina schowała chustkę do kieszeni i przymknęła na moment oczy. Jakie to szczęście, że los nieoczekiwanie postawił na jej drodze Emmę i ten daleki kraj. Pobędzie u ciotki tydzień, dwa, nabierze dystansu, obmyśli racjonalny plan działania i odzyska Manianę. Lokal Moniuszki przepadł, ale może uda im się jeszcze razem stworzyć coś fajnego? Mańka działa teraz na ślepo, w emocjach, ale one kiedyś opadną. Ich przyjaźń nie mogła się tak skończyć. Ona, Nina Kostrzewska, będzie o nią walczyć. I tak łatwo się nie podda.

Następnego dnia Nina już od bladego świtu z nieocenioną pomocą wynajętej na ostatnią chwilę ekipy przeprowadzkowej (jak to dobrze, że miała jeszcze trochę wolnej gotówki po sprzedaży Shreka) opróżniała księgarnię pod niedoszłą nazwą „Między Bookami”. Nie miała żalu do Maniany, że ta zostawiła ją z tym całym majdanem, w końcu to ona sama podjęła decyzję o zamknięciu biznesu. Choć po prawdzie w głębi serca czuła lekki zawód, że przyjaciółka nie pojawiła się nawet na chwilę. Wszystkie regały i książki zmagazynowała w obszernym garażu ojca, postanawiając, że później urządzi wielką wyprzedaż. Zostało jej po zwrotach prawie tysiąc dwieście publikacji, głównie beletrystyka i poradniki. Szkoda, żeby tyle dobra trafiło na przemiał. Ale zgodnie z maksymą Scarlett O’Hary postanowiła pomyśleć o tym jutro, czyli po powrocie z Holandii.

Do wieczora wszystkie szpargały upchano w końcu w królestwie Witolda Kostrzewskiego. Cała utrzymana dotychczas w idealnym porządku przestrzeń pana domu została dokumentnie zagracona, co nijak się miało do wcześniejszych zapewnień: „Nie martw się, tatku, nie zauważysz nawet tych kilku kartonów”. Nina, widząc skalę zniszczeń, postanowiła urwać się po angielsku z rodzinnego domu. Znała charakter ojca, mogła więc bez trudu przewidzieć jego gwałtowną reakcję na widok pogromu w jego wychuchanym garażu. Na razie nieświadom niczego Witold czytał po drugiej stronie domu, w ogrodzie, gdyż córka surowo zakazała wtrącać się w jej robotę. Matka, zapomniawszy o całym świecie, oglądała jakiś serial.

Nina po rozliczeniu się z ekipą zmierzała właśnie, bez pożegnania, do wyjścia, gdy nagle przy furtce nieoczekiwanie capnęła ją ciotka Eugenia.

– A ty gdzie się wybierasz?! – zawołała i potrząsnęła trzymanym w rękach zapakowanym w biały papier sporym pakunkiem. – Wracaj do domu! Specjalnie tłukę się do was przez całe miasto na pożegnalną herbatkę, a ty już zmykasz? To się nie godzi!

Nina pomyślała smętnie o stosie prania, które powinna jeszcze wyprasować przed wyjazdem, i rozbebeszonej walizce, już nie wspominając o ojcu, ale posłusznie cofnęła się sprzed furtki, robiąc miejsce zaaferowanej Eugenii.

– Trzymaj to. Ciężkie jak cholera – zakomenderowała ciotka i wcisnęła do rąk bratanicy nieforemny pakunek. – A gdzie starzy, znaczy... *excusez-moi*... rodzice? Zostawili cię samą z tą makulaturą?

– Wręcz przeciwnie. Rwali się do pomocy, ale wolałam to załatwić w pojedynkę. To mleko, które sama rozlałam.

– Moja krew – zamruczała Eugenia i wkroczyła do domu Kostrzewskich, od razu robiąc raban przy wejściu.

Z ogrodu nadciągnął Witold w przekrzywionych okularach, z gazetą pod pachą, a z salonu wyłoniła się Aurelia z nieco nieprzytomnym wzrokiem, myślami jeszcze przy bohaterach ulubionej telenoweli.

– Chodźcie do kuchni – rzuciła władczo ciotka. – Napijemy się czegoś zimnego – dodała łaskawie. – Siadajcie, siadajcie, nie krępujcie się.

– W dzbanku jest lemoniada. Mogę też zaparzyć świeżej kawy – powiedziała szybko Aurelia.

Witold bez słowa rozlał napój do szklanic z grubego szkła. Nina postawiła pakunek ciotki na środku stołu i spojrzała na nią pytająco.

– Co to? – zainteresował się Witold i upił spory łyk lemoniady.

– Przygotowałam dla was ruchanki z fiutem! – rzuciła lekko ciotka i chwyciła za szklankę.

Witold się zakrztusił i prychnął malowniczą lemoniadową mgiełką na zastawiony stół.

– CO?! – wycharczał i spurpurowiał. – Jakie... ruchanie? O czym ty bredzisz?

– Ruchanki, Witku! – poprawiła z wyższością ciotka. – I nie zachowuj się jak wstydlivy sztubak. W końcu samodzielnie zmajstrowałeś dziecko. A poza tym to nie to, co myślisz, kosmateuszu. Chodzi o racuchy. Sam zobacz. – Ciotka triumfalnie rozdarła papier.

Oczom zebranych ukazały się smakowicie wyglądające pięknie podpieczone placki z ciasta drożdżowego.

– A fiuty gdzie? – Nina zachichotała.

Aurelia zgromiła córkę wzrokiem.

– A tu! – Ciotka pacnęła dłonią w stół.

Witold łypnął podejrzliwie na wypełniony gęstym sosem pojemnik.

– Dostałam przepis na te dobrocie od przyjaciółki z Kaszub. Podobno te smakołyki są tam bardzo popularne – wyjaśniła ciotka. – Ale widzę, że wy jakieś purytany. Nie, nie, raczej te, no... hedonisty, co to tylko o seksie myślą. No co na mnie patrzycie jak na kosmitkę? Doczekam się w końcu tej kawy, na litość boską?!

ROZDZIAŁ 12

Papryka i nowe znajomości



Nina całą noc nie zmrzyła oka. Przewracała się z boku na bok i liczyła rogaciznę, ale sen nie nadchodził. Pomimo pozornej bez troski i ekscytacji bała się trochę tej podróży i spotkania z nieznaną Emmą. A co, jeżeli nie przypadną sobie do gustu? Nie polubią się od pierwszego wejrzenia? Może ciotka wyobraża ją sobie zupełnie inaczej? Nie wiadomo, jak przedstawiła ją w tych swoich opowieściach matka. Na pewno koloryzowała, jak to ona. Teraz Emma czeka na posłuszną, cichą panienkę, z którą będzie mogła razem medytować w kościele i haftować obrusy. Choć tak naprawdę, wnioskując z tego ciepłego listu, wydawała się normalna i swojska. Tylko dlaczego przesłała jej te przepisy w pudełku? Czy to był jakiś szyfr? Ukryta wiadomość? Na rozwiązanie tej zagadki Nina musiała jednak poczekać.

Punktualnie o szóstej przed apartamentowiec zajechał wysłużony błękitny van z wyklejonym pomiędzy rozsuwanymi drzwiami napisem „TransEuro”. W środku siedzieli już jacyś ludzie. Większość z nich wyglądała na mocno niewyspanych. Z szoferki wyskoczył rączko niewysoki grubiutki mężczyzna w skórzanej kurtce (Eugenia nazwałaby go konusem) i wyszczerzył przerzedzone nieco zęby. Upchnął walizkę Niny na stosie tobołków różnej maści i z trudem domknął klapę bagażnika. Nina ścisnęła w dłoni ucho podręcznego plecaczka z kanapkami i wodą. Kierowca szarpnął za boczne drzwi auta. Dziewczyna skinęła głową przysypiającym pasażerom i zajęła jedyne wolne miejsce, tuż przy oknie. W samochodzie unosił się zapach suszonej kiełbasy przemieszany z zetłętym nieco aromatem miętowego odświeżacza powietrza. Nina uśmiechnęła się pod nosem. Najprawdopodobniej czekała ją niezbyt komfortowa podróż, ale była przyzwyczajona do wojaży w roli ściśniętej w puszcze sardynki (pamiętne saksy we Francji i autostop).

Rodzina Kostrzewskich skrytykowała, oczywiście, pomysł podróżowania do Holandii tanim busem, a nie na przykład wygodniejszym i zdecydowanie szybszym samolotem. Nina nie zamierzała po raz kolejny tłumaczyć, że nie lubi fizycznie odrywać się od ziemi. Co innego duchowo! W myślach nieustannie bujała w obłokach, ale w rzeczywistości wołała czuć grunt pod stopami. Ponadto kierowały nią względy pragmatyczne. Nie chciała bezsensownie szastać pieniędzmi, w końcu nie wiadomo było, kiedy znowu znajdzie jakąś pracę. Zaczynanie nowego życia od pożyczek nie wchodziło w grę. Zawsze lepiej jest startować z czystą kartą.

Kiedy bus w końcu ruszył, Nina przypomniała sobie, że zostawiła na stole w kuchni kupione wczoraj kolorowe gazety i nowy kryminał rozrywanego pisarza o mroźnym nazwisku. Trudno, będzie musiała obejść się bez słowa pisanego. Najważniejsze, że zapakowała do walizki słownik języka angielskiego. Wreszcie na coś przydadzą się włóczęgi za robotą po podłych barach w stolicy Wielkiej Brytanii, gdzie zarabiała na studia. Jakoś przed laty miała więcej samozaparć i woli walki niż teraz. Może dlatego, że wtedy wierzyła święcie, że gdy się bardzo, ale to bardzo chce, to można osiągnąć sukces. Teraz dostała po dupie i już nie zgrywała idealistki. W życiu nigdy nie warto stawiać wszystkiego na jedną kartę. Zawsze warto mieć na podorzędziu plan B. Ona go nie miała, i to był jej błąd.

Nina, rozmyślając, popatrywała na mijane za szybą ulice. Ludzie śpieszyli się do swoich spraw, obowiązków, problemów i codzienności, a ona znowu miała „wolne”. Nic jej nie trzymało, nie goniło, nie wisiało nad głową. Zamknęła za sobą kolejne drzwi i stała już przed następnymi, tym razem z egzotycznym napisem „Holland”. Na razie były niedostępne, ale w dłoni trzymała klucz i już za moment zamierzała je otworzyć. Miała nadzieję zobaczyć za nimi tajemniczą Emmę, która nawet nie wiedziała, że Nina właśnie jest w drodze do Deventer. Matka co prawda próbowała skontaktować się z siostrą, ale podobno ta nawet nie miała komórki. Albo wygodnie udawała, że jej nie ma. Nina czuła lekki niepokój, że jedzie taki kawał drogi praktycznie w ciemno, ale Emma sama przecież podkreślała w liście, że jej goście nie muszą się zapowiadać, ponieważ od lat nie rusza się z domu.

Bus zatrzymał się nagle na światłach na głównym skrzyżowaniu. Tuż przed maską samochodu po pasach przeszło pośpiesznie kilka osób. Na samym końcu ludzkiego peletonu dreptała zgarbiona staruszka, podpierając się wykrzywioną laską. Nina spojrzała na nią uważniej. Filomena! Szarpnęła szybko za pokrętło i opuściła szybę w oknie.

– Proszę pani, proszę pani! – zawołała. – Zapomniałam oddać pani chustkę! Słyszysz mnie pani?!

Staruszka znajdowała się już po drugiej stronie jezdni. Usłyszała wołanie Niny, ale kiedy się odwróciła, światło przeskoczyło na zielone i samochód ruszył z wizgiem opon. Filomena zamachała radośnie w kierunku Niny. Jej uśmiech zdawał się dodawać dziewczynie otuchy. To był zdecydowanie dobry znak. A ona od zawsze w nie wierzyła.

Silny powiew wiatru wpadł pomiędzy długie pasma włosów Niny. Zsunęła pośpiesznie szybę i wtedy poczuła na sobie czyjś wzrok. Zerknęła w lewo. Na siedzeniu obok rozpieął się wysoki, patykowaty chłopak z naciągniętą głęboko na czoło czerwoną bejsbolówką. Jego policzki szpecił wyjątkowo agresywny trądzik. Kiedy spostrzegł, że dziewczyna mu się przygląda, opuścił wstydliwie oczy.

– Cześć! Mam na imię Nina – zagadała przyjaźnie i wyciągnęła w kierunku nieznajomego rękę. – Chyba przez najbliższe kilkanaście godzin jesteśmy na siebie skazani.

Chłopak roześmiał się z ulgą i ujął miękko jej dłoń.

– Krzysiek, ale możesz mi mówić Kris – odparł i spojrzał wprost na Ninę. Miał piękne intensywnie niebieskie tęczówki. – Jadę do Amsterdamu, a ty?

– Nieco bliżej, tuż za niemiecką granicę, do Deventer.

– Papryka czy szparagi? – odezwał się nagle męski głos.

W szczelinie pomiędzy siedzeniami pojawiła się pokryta kilkudniowym zarostem dobroduszna facjata.

– Coś ty, ona mi wygląda na pieczarki. Zobacz, jakie ma poharatane łapy – rzucił ktoś z tyłu busa.

Nina zdębiała i wbiła lekko spanikowany wzrok w swoje dłonie. Oczywiście zapomniała o manicurze. Jej paznokcie nosiły wprawdzie wyraźne ślady niedawnej walki ze ścianami pana Moniuszki, ale żeby aż poharatane?

– Nie przejmuj się nimi. To stare wygi. Jeżdżą na roboty do holenderskich bauerów – wyjaśnił Kris. – Zawsze wypytyują nowe twarze, co, gdzie, po co i za ile. To co, papryka czy pieczarki? – Mrugnął zawadiacko.

– Ani jedno, ani drugie. Na razie nie wybieram się do pracy. Zaprosiła mnie do siebie ciotka. Nigdy jej nie widziałam... – przyznała się Nina. – Mój przyjazd to dla niej niespodzianka.

Szare komórki Niny pod wpływem pieczarek i papryki pracowały na najwyższych obrotach. Nie planowała emigracji zarobkowej, ale może to i dobry pomysł? Ciotka na pewno ma jakieś kontakty. Mogą być nawet i te warzywa.

– A ty co robisz w Amsterdamie? – zapytała Krisa.

– Zapytaj raczej, czego nie robię. – Zachichotał. – Pracowałem już chyba wszędzie. Teraz kelneruję na placu de Dam. Planuję zostać w Amsterdamie na stałe. W Polsce nie mam żadnych perspektyw. Jestem gejem – powiedział po prostu. – W Holandii nikt nie zwraca na mnie uwagi, a we własnym kraju wytykają mnie palcami, jak jakieś kuriozum.

Nina pokiwała głową, choć trudno jej było pojąć, o czym mówił Kris. Kuriozum? Młody, sympatyczny, ogarnięty chłopak. Chętnie umówiłaby się z nim na piwo.

Nagle przed nosem Niny pojawiła się wielka łapa ściskająca srebrny termos. Dochodził z niego aromatyczny zapach świeżo zmielonej kawy.

– Niech się pani częstuje. To najlepsza tubylecza kofeina. Douwe Egberts. Mocca – zakomunikowała łapa i potrząsnęła zachęcająco termosem.

Nina roześmiała się w głos. Zapowiadała się bardzo sympatyczna podróż.

ROZDZIAŁ 13

Nieplanowany przystanek w drodze ku przeznaczeniu



Nina, opierając się o kościste ramię Krisa, zapadła w głęboki sen. Bus mknął z niebotyczną szybkością przez gładką niemiecką autostradę. Na zewnątrz powoli zaczęło zmierzchać. Nina uśmiechnęła się błogo. Śniła właśnie, że siedzą z Manianą w ulubionej knajpie, rozmawiają jak dawniej, żartują i planują otwarcie kolejnego biznesu.

– Zdecydowałam się odejść od Iwa – powiedziała w końcu przyjaciółka. – Wiem, że cię szantażował, a mnie okłamał. Miałś rację, próbował nas rozdzielić. Dlaczego ja wierzyłam w te jego słodkie kłamstwa? Nigdy mu tego nie zapomnę... – urwała z zasępionym wyrazem twarzy i po chwili dodała: – Boję się tylko jednego... Jak sobie teraz poradzimy z Beniem.

– Na pewno sobie poradzicie! Pomogę ci – zapewniła Nina i podskoczyła na barowym stołku. – On nie był ciebie wart! Nigdy cię nie wspierał... Co się stało, dlaczego mnie szarpiesz, Mańka?! – krzyknęła nagle. – Auć, zostaw, to boli!

– Obudź się! Nina, wstawaj! – Do jej świadomości dobiegł jakby z zaświatów głos Krisa. – Podróż skończona. Nasz polski rydwan się rozkraczył.

Nina oprzytomniała w ciągu sekundy. Otworzyła oczy. W busie paliło się światło. Wszyscy pasażerowie stali na zewnątrz, deliberując nad otwartą maską samochodu. Z silnika dobywała się gęsta para. Nina z niedowierzaniem pokręciła głową, przeciągnęła ścierpnięte nieco ramiona i wyskoczyła z auta.

– Kiedyś ostatnio serwisował tego gruchota? – odezwał się z przekąsem wysoki mężczyzna w kraciastej koszuli.

Stojący obok kierowca, udając głuchego, z obłędem w oku grzebał we wnętrznościach busa.

– Nie pytaj, bo i tak ci prawdy nie powie! – huknął grubasek w okularach, który częstował Ninę kawą. – Na moje oko kaplica. Zatarcie tłoku silnika. Koniec zabawy, będziemy tu stali do usran... znaczy do jutra, czekając na szwabską pomoc drogową. O ile ten palant ubezpieczył auto! – Rzucił złym wzrokiem na rwącego sobie włosy z głowy kierowcę. – Tak się kończą oszczędności na przeglądach aut – podsumował filozoficznie. – I kto za to zapłaci? My! Robotę sobie narailem i teraz psu jaja będę całował, bo choćbym na rzesach stanął, nie zdążę. Ktoś mi fuchę sprzed nosa capnie, jak nic!

– Polak to zawsze czarnowidztwo uprawia – burknął nerwowy blondynek w drucianych lenonkach. – Teraz nie ma co sobie skakać do gardeł, wracamy do środka busa – zakomenderował. – Dobrze, że noc w miarę ciepła, to przekimamy się na fotelach i rano będziemy kmینیć, co dalej. A kierowcę w spokoju zostawcie, cóż on winien, że szef jego pazerny na unijną walutę.

– Co teraz? – szepnęła Nina do Krisa.

Sięgnęła do torby i namacała na samym dnie swoją komórkę. Trzeba wystukać esemes do rodziców, że utknęła na niemieckiej nizinie. Albo nie, lepiej nic nie pisać. Znając ojca, zaraz wyśle tu za nimi pościg. Najbezpieczniej skłamać, że wszystko w porządku. Nina chwyciła telefon i jęknęła żałośnie. Na ekranie smartfona królowała złowroga czerń. Na śmierć zapomniała go naładować! Chyba widok Filomeny na pasach to był jednak zły znak...



Tymczasem kilkaset kilometrów dalej, w przestronnym holu willi państwa Kostrzewskich rozdzwonił się telefon. Jego natarczywy dzwonek przerwał brutalnie nocny mir domowników. Witold już od kilku godzin ścisnął się z Morfeuszem, ale Aurelia wyjątkowo jeszcze nie spała. Właśnie przed sekundą skończyła oglądać ostatni odcinek swojego ulubionego serialu na Netflixie. Nie potrafiła dawkować emocji, musiała od razu, już, tu i teraz wiedzieć, jak zakończy się burzliwa miłość jej ukochanych bohaterów. Na szczęście wszystko skończyło się jak należy, czyli happy endem. Dźwięk telefonu wyrwał Aurelię z marzeń o ciepłych ramionach niezwykle przystojnego bohatera ostatniego odcinka. Można rzec, że wyrwał bardzo brutalnie.

Jezus Maria! Telefon? O tej porze? Aurelia poderwała się z siedzenia jak z katapulty. Dochodziła pierwsza w nocy. Na pewno coś z Niną! Widząc już oczyma bujnej wyobraźni płonący w rowie samochód i swoją własną córkę w krwawych kawałkach rozrzuconych po autostradzie, Aurelia rączym kłusem dobiegła do aparatu.

– Słucham! – krzyknęła i oparła się ciężko o wiszące na ścianie kryształowe lustro. Na jego tafli momentalnie odcisnęły się ślady jej spoconych dłoni.

– Czy rozmawiam z panią Kostrzewską? – Z drugiej strony odezwał się po angielsku zaafierowany głos.

– Tak, to ja – potwierdziła błyskawicznie.

Z wykształcenia była anglistką, ale po narodzinach córki zrezygnowała z pracy w szkole i zajęła się wyłącznie tłumaczeniami na zlecenie korporacji.

– Co się stało?! – Ścisnęła słuchawkę tak mocno, że aż pobieleły jej palce.

Po dłuższej chwili z jękiem osunęła się na podłogę. To nie mogła być prawda! Co za tragedia! I gdzie jest teraz jej córka?!

– Witold! – krzyknęła rozdzierająco. – Witold! Dzwon natychmiast do Niny!

U szczytu schodów pojawił się zaspany Kostrzewski w rozchełstanej na piersiach piżamie. Widząc Aurelię na podłodze, zamarł, a po sekundzie bezruchu błyskawicznie zbiegł na dół. Wysłuchawszy ze ściągniętą twarzą relacji żony, chwycił swój wysłużony smartfon.

Do diaska! Komórka Niny nie odpowiadała. Mało tego, ich córka miała wyłączony telefon.

ROZDZIAŁ 14

Światelko w tunelu



– Nina... Nina, dosyć drzemki. Musimy stąd spadać. – Czyjaś niecierpliwa dłoń szarpała ją raz po raz za ścierpnięte ramię.

– Babciu, błagam, jeszcze pięć minut – mruknęła, próbując przekreślić się na drugi bok.

Coś jednak blokowało wolną przestrzeń w jej łóżku. Coś jakby... niemiłosiernie sztywny i cuchnący jakimś smarem worek. Skąd, na litość boską, wziął się w jej czystej pościeli? Nina wzdrygnęła się z obrzydzenia i uniosła powieki.

– Gdzie ja jestem?! – zakrzyknęła. Nad jej twarzą pochylała się blada facjata jakiegoś przyszczatego osobnika. – Co ty robisz w moim łóżku?! Spadaj!

Osobnik westchnął rozdzierająco i przewrócił oczami.

– Nie postawiliśmy jeszcze nawet pół stopy na holenderskiej ziemi, a ty już gadasz, jakbyś była naćpana – rzucił Kris. – W drodze jesteśmy. W szczerym polu, gdzie diabeł mówi dobranoc.

– Pomoc drogowa nie przyjechała? – jęknęła Nina, rozmasowując sobie kark.

W końcu otrzeźwiała. Rozejrzała się dookoła. Prawie wszyscy pasażerowie busa drzemali powyginani w esy-floresy na swoich siedzeniach. Za oknem świtało. Pomarańczowa kula słońca wtaczała się właśnie na rozległą nitkę horyzontu.

– Coś ty, jaka pomoc?! – Kris popukał się w czoło. – Przecież ten, pozał się Boże, kierowca z dupy nie zapłacił ubezpieczenia. Będziemy tu stali tak długo, dopóki jakiś ziomal z ich floty nie zgarnie nas na hol.

– A kiedy to nastąpi? – Nina wychyliła się znad siedziska i zerknęła na szofera opierającego głowę na kierownicy. Z jego gardła dobiegały bulgoczące odgłosy chrapania.

– Nieprędko. Nie licz na cud.

– Ale ja nie mogę tkwić tutaj w nieskończoność – zaprotestowała.

– Przecież sama mówiłaś, że ciotka nie wie o twoim przyjeździe – przytomnie zauważył Kris. – Skoro to niespodzianka, to chyba bez różnicy, czy zjawisz się tam dziś, czy jutro.

– Wolę dzisiaj – rzuciła zaczepnie. – Nie zamierzam spędzić tutaj kolejnej nocy. Gdzie my w ogóle jesteśmy?

– Nie mam bladego pojęcia. Chodź, rozprostujemy nogi, bo tutaj siekierę można zawiesić, tak capi. – Kris zmarszczył nos. – Tylko czekaj, znajdę jakiś prowiant, bo mi już kiszki marsza Mendelssohna grają.

Pogrzebał w plecaku, wyjął owinięty w otłuszczony papier pakunek i małą butelkę wody. Nina przedarła się pomiędzy fotelami i pociągnęła za rozsuwane drzwi busa. Ożywcze poranne powietrze omiotło jej twarz. Poczowała przyływ porannej energii. Żwawo zeskoczyła na pokrytą rosą trawę. Tuż za jej plecami pojawił się ziewający rozdzierająco kompan. Nina rozejrzała się uważnie. Jak okiem sięgnąć, otaczały ich zielone równiny poznaczone gdzieniegdzie brązowymi punkcikami pasących się na pastwiskach krów.

– Ani śladu cywilizacji – mruknął Kris, klapnął na tyłek tuż przy tylnym kole busa i pośpiesznie rozpakował swoje śniadanie. – Chcesz kawałek kiełbasy? Krakowska podsuszana – zareklamował z pełnymi ustami.

– Cicho – mruknęła Nina i, oceniając oczy daszkiem z lewej dłoni, intensywnie wpatrywała się w dal. – I tu się mylisz, bratku... – mruknęła i nagle ją olśniło. Co jak co, ale umiejętność podejmowania szybkich decyzji miała we krwi. – Zbieramy się, Kris. Zamykaj jadłodajnię, pakuj manatki i w drogę.

– Oszalałaś? – Kris zamarł z trzymaną w ręku kanapką. – Dokąd mamy iść? Nie zamierzam drałować do Amsterdamu piechotą.

– Popatrz, niedowiarku, TAM! – Zniecierpliwiona Nina machnęła w bliżej nieokreślonym kierunku. – Na horyzoncie widzę logo jakiejś stacji benzynowej. Skoro stacja, to cywilizacja, a cywilizacja to ludzie, rozumiesz?

Kris niepewnie pokiwał głową.

– Przelecimy się tam, na moje oko to maksymalnie trzy kilometry, i poprosimy o pomoc. Może nawet ktoś nas podrzuci do Holandii? – entuzjazmowała się Nina. – Zjeździłam autostopem pół Europy i dlatego wiem, że najlepiej jest łapać kierowców na cepeenach. No już, ruszaj się, nie mamy czasu do stracenia! Bierzemy kłamoty i w drogę! Nie będziemy siedzieć z założonymi rękami. Życie trzeba brać za mordę, Kris. Zapamiętaj te słowa.

– A co z nimi? – Nowy kompan niepewnie wskazał brodą na wewnątrz busa i chrapiących beztrosko towarzyszy niedoli.

– To nie nasz biznes – parsknęła Nina. – W obliczu ostateczności każdy myśli o własnym tyłku. Albo idą z nami, albo niech czekają na gwiazdkę z nieba. I oby nadeszła jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

ROZDZIAŁ 15

Kobiety na traktory



Maarten Jacob właśnie zakończył tankowanie błękitnego potwora. Odwiesił giętki wąż z pistoletem na hak dystrybutora paliwa i po raz kolejny zerknął na lśniącą w słońcu karoserię swojego cacka. Jego serce przepelniała trudna do ogarnięcia rozumem miłość. Jedni marzyli o wakacjach na Bali tudzież willi z basenem, inni o ponętnej dziewczynie o urodzie Cameron Diaz, a on od zawsze śnił o ciągniku New Holland T9.645 o diabelskiej mocy 638 KM. Już od dziecka w pieluszcze pasjonował się traktorami. Pierwszym pojazdem, za którego kierownicą posadził go ojciec, Braam, właściciel jednej z największych farm rolniczych w prowincji Overijssel, był kombajn do cebuli Samon, ale nawet on, potwór z wałem kopiającym i hydraulicznie sterowanym podajnikiem z regulacją wysokości, nie był w stanie zdezonizować legendy traktora. Ech, warto było czekać tyle lat na spełnienie motoryzacyjnych marzeń.

Maarten poprawił opadającą szelkę drelichowych roboczych spodni, wytarł usmarowane dłonie w papierowy ręczniczek wiszący tuż obok dystrybutora i już miał zamiar udać się do budynku stacji benzynowej, żeby uiścić rachunek, gdy wtem zamarł i wyteżył wzrok. Na podjazd od strony huczącej od samochodowego ruchu autostrady wtaczało się właśnie przekomicznie wyglądające duo. Składało się z długonogiej dziewczyny z niemiłosiernie roztrzepanymi włosami i chudego chłopaka uginającego się pod ciężarem gigantycznego plecaka obwieszzonego jakimiś menażkami. Dziewczyna o czerwonej jak pomidory w szklarniach ojca twarzy ciągnęła za sobą walizę rozmiaru wanny na kółkach. Kiedy jej spojrzenie napotkało jego zaciekawiony wzrok, zatrzymała się na moment, a potem zamachała gwałtownie i przyspieszyła kroku, zmierzając lekkim cwałem najwyraźniej w jego stronę.

– *Do you speak English?!* – zawołała i obdarzyła Maartena pięknym hollywoodzkim uśmiechem.

Z ulgą puściła rączkę walizy i ujęła się pod boki, wykonując parę szybkich skłonów. Tuż za nią zatrzymał się patrzący nieco spod byka zziązany chłopak. Oddychał ciężko jak byk po corridzie.

Maarten się zaczerwienił i szybkim ruchem przejechał dłonią po gęstej ryżej czuprynie. Dziewczyna była prawie tak samo urodziwa jak jego traktor.

– Oczywiście, że mówię po angielsku. – Dla pewności potwierdził, kiwając zamaszycie głową. – A wy skąd się tutaj wzięliście? – zapytał, patrząc nie wiadomo czemu potępiająco na chłopaka.

– Auto nam padło w drodze. A tak konkretnie to bus – odburknął Kris. – Właściwie to nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy – przyznał szczerze po sekundzie namysłu. – Chyba że będzie pan tak uprzejmy i nam to powie. – Co prawda facet wyglądał na niewiele starszego od niego, ale Kris wolał trzymać bezpieczny dystans.

Maarten roześmiał się tubalnie. Nie przypuszczał, że w dwudziestym pierwszym wieku spotka jeszcze na swojej drodze ludzi, którzy nie potrafią zlokalizować swojego położenia.

– Znajdujemy się kilka kilometrów za wschodnią granicą z Niemcami – poinformował rzeczowo. – Miejscowość de Lutte. A dokąd się wybieracie, jeżeli można spytać? – Uśmiechnął się do Niny, tym razem szczerze.

– Jadę do Deventer – odpowiedziała szybko. – A mój przyjaciel do Amsterdamu. Czy mógłby pan nas podwieźć na stację kolejową? Bardzo prosimy – zajęczała teatralnie. Szkoda, że nie umiała zatrzepotać rękami. Niestety, nie uczono tego na studiach.

Maarten podrapał się po potylicy. Właściwie śpieszył się do domu. Już dawno powinien być w polu. Nie lubił, kiedy robota na niego czekała. A ci dwoje tutaj... kto wie, czy mówili prawdę. A może to jacyś przemytnicy z kontrabandą?

Nina momentalnie wychwyciła wahanie na jego twarzy.

– Jest pan naszą ostatnią deską ratunku! Kierowca nas oszukał! – wypaliła z rozmysłem. Liczyła na to, że celnie.

– Dobra, raz kozie śmierć... Podrzucę was do Oldenzaal. Wskakujcie na pakę. – Maarten zmiękł ostatecznie. – Tylko od razu uprzedzam, że przyczepa jest niemiłosiernie brudna. Przedwczoraj wiozłem buraki do skupu. Ja idę zapłacić za benzynę i za moment ruszamy.

– Jest pan aniołem w ludzkiej skórze! – wykrzyknęła Nina i szturchnęła stojącego obok jak słup soli Krisa. – Pakuj manatki, póki chłop dobry! – warknęła po polsku. – I uśmiechnij się,

do cholery, bo widząc twoją skrzywioną minę, facet zaraz się rozmyśli.

Nina skoczyła dziarsko naprzód, przerzuciła przez klapę przyczepy swoją walizkę i błyskawicznie wdrapała się do środka. „O, mamoo” – jęknęła w duchu, widząc walającą się po pace brudną, ciągnącą się wilgotnymi smugami glebę. Gdyby ciotka Eugenia ją teraz widziała... Jej Nineczka na przyczepie traktora uwalana ziemią i... burakami! Dziewczyna usiadła na mokrym podłożu i zaczęła się śmiać. Nad klapą przyczepy pojawiła się zdziwiona twarz Krisa.

– Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ci tak wesoło. – Przewrócił oczami i ostrożnie przysiadł na ustawionym tuż obok jej walizki plecaku. – W życiu nas nie wpuszczą do pociągu. Wyglądamy jak uciekinierzy z więzienia. Albo ofiary wojny o... miejscowe buraki!

Nina prychnęła i, rozkładając ramiona, oparła się o brzeg przyczepy.

– Najważniejsze, że ruszamy naprzód, Kris. A potem... się zobaczy.



Nina zdołała przełknąć kilka kęsów na wpół roztopionego czekoladowego batonika dopiero wtedy, kiedy rozłożyli swoje zabłocone manatki w wagonie. Zdążyli na pociąg dosłownie w ostatniej chwili. Kris z przerażeniem patrzył na swoje poplamione conversy, ale skoro nowa koleżanka zabroniła mu narzekać, to nie zamierzał nawet otwierać ust. Za oknami przemykały sielskie krajobrazy, a on w końcu mógł wyciągnąć swoje obolałe nogi. Gdyby jeszcze ktoś w tym pociągu serwował schłodzone piwo...

– Kris, daj mi swój telefon – przypomniała sobie Nina. – Muszę wysłać esemes do rodziców, bo jeżeli się nie odezwę, że wszystko okej, gotowi postawić na nogi pół Europy. Pobyt w Deventer zacznę od wydatków, bo wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że zapomniałam ładowarki.

– Jasne, masz. – Wyciągnął z kieszeni dzinsów swojego wysłużonego samsunga.

W tym momencie pociąg zaczął zwalniać. Chłopak pociągnął za klapę okna i wychylił nieco głowę na zewnątrz.

– Nina, to już Hengelo! – zawołał. – Muszę wysiadać. Ten chłop z traktorem twierdził, że mam stąd bezpośrednie połączenie z Amsterdamem. Ty jedziesz dalej.

W wagonie zaroilo się nagle od przygotowujących się do wysiadania pasażerów. Nina poczuła się nieswojo. Przyzwyczaiła się już do obecności Krisa, a za kilka minut miała zostać zupełnie sama w obcym, choć na pierwszy rzut oka przyjaznym kraju.

– Pamiętaj, żeby zadzwonić, gdy tylko się urządzisz u ciotki – przykazał chłopak. – Przyjedziesz do mnie. Pokażę ci stolicę. No, nie rób takiej smutnej miny. Wszystko się ułoży, Ninka. Tak się cieszę, że trafiliśmy na siebie w tym cholernym busie.

Intercity powoli wtaczał się na rozświetloną stację w Hengelo. Głos z megafonu informował bezosobowo, że pociąg do Amsterdamu stoi już na torze pierwszym przy peronie drugim. Nina wcisnęła do ręki Krisa telefon. Chłopak zarzucił na grzbiet plecak i niezdarnie objął jej ramiona.

– Jesteśmy w kontakcie – szepnął pokrzepiająco. – I nie daj się tam ciotce. Jakby co, dzwoń.

Wmieszał się w kolejkę do wyjścia i już go nie było. Nina zawisła na oknie i omiotła wzrokiem peron. Kiedy sylwetka nowego przyjaciela zniknęła w stojącym na równoległym torze pociągu, dziewczyna poczuła, że zaraz zemdleje.

– Kris! – wrzasnęła. – Kris! Do diabła, przecież ja nie mam twojego numeru telefonu!

Donośny gwizd i okrzyk stojącego pomiędzy peronami konduktora zagłuszyły jej nawoływanie. Po sekundzie pociąg do Amsterdamu ruszył z chrzęstem na zachód kraju. Nina zacisnęła mocno powieki. W jej gardle rosła gęsia skórka. Oboje z Krisem byli sobie warci. Jak mogli tak lekkomyślnie zapomnieć o wymianie numerów telefonu?! Przecież teraz w życiu nie odnajdą się w tej Holandii. Szukanie kumpla w prawie milionowym Amsterdamie to jak porywanie się z motyką na słońce. Chociaż chwileczkę... Nina zmarszczyła czoło. Kris mówił coś o placu de Dam. To właśnie w jednej z tamtejszych knajp pracował. Czyli istniał cień szansy, że jeżeli będzie wystarczająco cierpliwie szukać, w końcu go znajdzie. Najważniejsze, że miała chociaż tę niewielką wskazówkę. Pomyśli o tym jutro. Teraz musiała się mentalnie przygotować na rychłe spotkanie z Emmą.

Na stacji w Deventer spontanicznie postanowiła kupić bukiet różnokolorowych kwiatów i mapę miasta. Po wyjściu z budynku dworca przysiadła na ławeczce tuż obok postoju taksówek i zagłębiła się w rozrysowanej na gigantycznej płachcie papieru płataninie uliczek. Od domu ciotki dzieliło ją dokładnie osiemset metrów. Spojrzała z niechęcią na stojącą obok walizę. Adrenalina znacznie opadła i dopiero teraz poczuła gigantyczne zmęczenie. Jedynym, o czym w tej chwili marzyła, był zimny prysznic i pachnąca wiatrem czysta pościel. Rzuciła kolejne, tym razem tęskne spojrzenie w kierunku srebrnej taksówki. „A może by...” – zakiełkowała w jej głowie nieśmiała myśl, ale zdusiła drogą pokusę po kilku sekundach.

– Nie bądź mięczakiem – upomniała samą siebie. – Ruszaj dupę i kieruj się na Walstraat.

Samomotywacja pomogła na tyle, że w końcu Nina szarpnęła bagaż i ruszyła wolno w stronę centrum. Po przejściu przez ruchliwą ulicę otoczoną nowoczesnymi biurami znalazła się nagle w innym świecie i innym czasie. Z każdej strony wyrastały tu przepiękne secesyjne kamienice. Zadzierając głowę i podziwiając imponujące koronkowe zdobienia piaskowych fasad, Nina poczuła architektoniczną miłość od pierwszego wejrzenia. Domy były bardzo strzeliste, wysokie i niezwykle wąskie. Na szczytach kamienic górowały haki. Nina wiedziała z przewodników, że haki służyły zapobiegliwym Holendrom do wciągania do ich domostw szerokich sprzętów i niewymiarowych mebli, których nie dało rady precyzyjnie przesuwać przez kręte schody.

Po chwili szybkiego marszu dziewczyna weszła na ogromny brukowany plac ocieniony zielonorudymi kasztanowcami. Pomiędzy drzewami stały różnokolorowe wąskie kamieniczki ozdobione prostokątnymi szybami szprosowych okien. Na parterze budynków znajdowały się głównie knajpki, kafejki i bistra wypełnione tłumnie spożywającymi późny lunch turystami. Ludzie uśmiechali się do siebie, popijając popołudniową kawę lub białe wino. Zewsząd dobiegał gwar prowadzonych rozmów. Nina przystanęła na chwilę obok kamiennej fontanny i zerknęła na mapę. Ten plac nazywał się de Brink. W tym momencie poczuła kuszący zapach grillowanego mięsa i warzyw. W jej brzuchu zaburzało. Ostatni porządny posiłek jadła przed wyjazdem do Holandii. Miała nadzieję, że ciotka poczęstuje ją jakimś dobrym obiadem. Któż to wie, być może Emma siedziała gdzieś w pobliżu, nie mając pojęcia, że jej siostrzenica właśnie dojechała do celu?

Nina, terkocząc kółkami walizki, przecięła plac i weszła w końcu w wąską, pokrytą kocimi łbami Walstraat. To właśnie tutaj mieszkała siostra jej matki. Ulica wyglądała jak żywcem wyjęta z opowieści Dickensa. Zachwycona Nina znowu poczuła się, jakby wsiadła do wehikułu czasu, który w magiczny sposób przenosił dwa wieki wstecz. Mijała miniaturowe sklepiki, których wejścia ocieniały pnącza żółtych i krwistoczerwonych dzikich róż, stareńkie antykwiariaty, w których oknach widniały szydełkowe zazdrostki, oraz kolorowe drewniane ławeczki, pomiędzy którymi ustawiono donice z pelargoniami, lawendą i surfiniami. Nina zapisywała wszystkie obrazki na twardym dysku swojej pamięci, ciesząc się w duchu, że Emma wybrała tak urokliwe miejsce do życia. Zmęczenie i głód ulotniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mogłaby tak spacerować w nieskończoność.

Kamienica ciotki znajdowała się mniej więcej w połowie uliczki. Jej fasadę pomalowano na nietypowy odcień czerwieni. Obramowane białym gzymsem okna i zaokrąglony na kształt dzwonu szczyt domu z wbitym w środek hakiem lśniły w słońcu. Zaintrygowana Nina

zatrzymała się przed wejściem. Tuż nad witryną na białym tle widniał rozrysowany fikuśnie napis:

Malinowa Bombonierka

Ambachtelijke Pralines & Chocolate

Nina rzuciła bagaże i aż klasnęła z zachwytu. To niewiarygodne, Emma mieszkała nad sklepem z czekoladą! A może to cukiernia? Dziewczyna szarpnęła za uchwyt drzwi. Zamknięte. Przytknęła szybko nos do szyby, osłaniając dłońmi oczy przed słońcem. Pusto. Witrynki wewnątrz pomieszczenia przykryto starannie papierem w drobne kwiatki. Pod ścianą stała pochlapana farbą drabina i jakieś kartony. Wszystko wskazywało na to, że sklepik już od jakiegoś czasu stał zamknięty. Nina rozejrzała się niepewnie. Do kamienicy ciotki z obu stron przylegały inne budynki. Nigdzie nie mogła zauważyć żadnych odrębnych drzwi. Najprawdopodobniej wejście prowadziło przez sklepik. Tylko jak się tam dostać?

Nina postanowiła zasięgnąć języka u sąsiadów. Musiała tylko coś zrobić z bagażem, bo ręce jej mdlały. Okolica wyglądała na godną zaufania, ale czy mogła bez obaw zostawić dobytek bez opieki? A dlaczegoż by nie! Przecież nie odejdzie daleko... Po sekundzie namysłu wepchnęła w końcu walizkę pod ławeczkę stojącą po przeciwległej stronie uliczki i poszła przed siebie. Nacisnęła śmiało dzwonek przy drzwiach kolejnej kamienicy, ale nikt nie otwierał. Ruszyła dziarsko dalej, ale z każdym przebytym metrem mina jej rzedła. Nigdzie nie było widać żywej duszy.

Nina pociągnęła nosem. Gdzieś tutaj musiała znajdować się piekarnia. Zapach pieczywa i ciastek prawie zwałił ją z nóg. Stanęła przed witryną ocienionej pasiastą markizą cukierenki. W środku, za ladą wypełnioną najróżniejszymi wypiekami, kręcił się przystojny ciemnowłosy mężczyzna w białej koszulce polo i jasnych dżinsach. Nina zdecydowanie pchnęła drzwi. Nad jej głową zadźwięczał melodyjnie dzwoneczek.

– Dzień dobry! – od progu zawołała po angielsku. Nawet nie miała siły pytać, czy mężczyzna mówi w tym języku. – Proszę mnie poratować butelką wody! I kawałkiem ciasta! – jęknęła. – Inaczej będę musiała dokonać żywota na środku pańskiej cukierni.

Mężczyzna błysnął białymi zębami. Miał sympatyczną twarz o regularnych rysach i mocno zarysowane kości policzkowe. Mógł się spodobać każdej dziewczynie, ale Ninie nie w głowie były teraz amory. Wpatrywała się zakochanym wzrokiem w pieczywo. Oddałaby wszystko za kawałek chleba.

– Proszę usiąść na tyłach cukierni, w naszym pięknym ogródku – powiedział ciepłym głosem mężczyzna, zerkając na nią z zainteresowaniem. – Wbrew pozorom mamy tutaj sporo miejsca.

Nina oderwała oczy od ciastek i spojrzała w kierunku, który wskazywał dłonią, i aż krzyknęła ze zdumienia. Pomieszczenie ciągnęło się na dobrych kilkanaście metrów w głąb budynku. Cukiernia była bardzo wąska, ale zgodnie z typową holenderską zabudową – niezwykle długa. Na samym końcu widniała ściana zieleni oddzielona od wnętrza szybą. Znajdował się tam rozświetlony taras, gdzie przy ocienionych parasolkami stolikach siedziało kilka osób.

– Zaraz podam pani nasze *spécialité de la maison*. Plus frappuccino. Idealne na taką pogodę. – Mrugnął zawadiacko.

– Niestety będę musiała odmówić – jęknęła, głośno przełykając ślinę. – Poproszę tylko o wodę i croissant. Zostawiłam na zewnątrz swoją walizkę i wolałabym nie tracić jej na zbyt długo z oczu – wyznała zawstydzona.

– Rozumiem, oczywiście. – Mężczyzna pokiwał głową. – Jest pani w Deventer przejazdem? – zapytał lekko, wyjmując ze stojącej za jego plecami lodówki butelkę wody.

– Wpadłam z... hm... trochę niezapowiedzianą wizytą do mojej dawno niewidzianej cioci – odpowiedziała Nina i prawie wyrwała mu butelkę z ręki. – Mieszka tu niedaleko – oznajmiła, przełykając łączywie kilka solidnych łyków lodowatego napoju. Od razu poczuła się lepiej. – Niestety nie zastałam jej w domu. *By the way*, dlaczego ta uliczka wygląda na wymarłą? Na placu de Brink kręci się sporo ludzi, a tutaj oprócz pana nie spotkałam jeszcze nikogo.

Nina pochwaliła się bezwiednie znajomością topografii miasta. W oku mężczyzny błysnęła ciekawość.

– Mieszkańcy tej okolicy są bardzo ze sobą zżyci – oznajmił. – Niestety przedwczoraj jedna z mieszkanek Walstraat zmarła i większość sąsiadów jest teraz na jej pogrzebie. O ile mi wiadomo, chorowała już od dłuższego czasu. Proszę mi wybaczyć – zmitygował się nagle. – Ja tu gadu-gadu, a pani czeka niecierpliwie na swoje zamówienie. Zapakuję croissant z czekoladą, dobrze? Właśnie wyjąłem świeżą partię z pieca. Halo, słyszy mnie pani? Co się stało? Dlaczego pani tak zbladła?

Nina próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła dobyć z ust nawet jednego dźwięku. Łapała powietrze jak wyciągnięta z wody ryba. W końcu upiła kilka kolejnych łyków wody i zdołała wyjąkać:

– Jak się nazywała ta kobieta? Ta, która zmarła?

– Emma van Toorn. A dlaczego pani pyta? – Mężczyzna patrzył na nią skonsternowany.

Nina poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

– *Mamo, a jak nazywa się teraz Emilia? Bo chyba nie nosi w Holandii waszego panińskiego nazwiska, Dobrzycka?*

– *Oczywiście, że nie. Teraz nazywa się po mężu, van Toorn. Emma van Toorn.*

„Do diabła, Emmo, jak mogłaś mi to zrobić? Ja tak bardzo chciałam cię poznać...” – pomyślała.

ROZDZIAŁ 16

Po burzy wstaje nowy dzień



– Wszelki duch! W końcu zdecydowałaś się odezwać! Jak mogłaś zostawić nas tak długo bez słowa?! Przecież my tu odchodziliśmy od zmysłów! – W słuchawce telefonu brzmiał rozgoryczony głos Aurelii Kostrzewskiej. – Próbujemy się z tobą skontaktować od momentu otrzymania wiadomości o śmierci Emmy... – Głos matki załamał się nieco.

Nina stała na środku małego pokoju na poddaszu. W pomieszczeniu unosił się delikatny zapach lawendy. Skośne ściany pokrywała kwiecista tapeta w białe róże. Przy oknie wychodzącym na ulicę stało metalowe łóżko z ozdobną ramą. Spoczywała na nim złożona starannie obleczona w pasiaste powłoczki kołdra i ogromna puchowa poduszka. Nina usiadła na miękkim posłaniu i wyciągnęła przed siebie długie nogi w zabłoconych tenisówkach. Sprężyny jęknęły żałośnie pod jej ciężarem. Nina przycisnęła mocno smartfon do ucha i popatrzyła na stojącą pod przeciwległą ścianą wiekową szafę. Jej drzwi ozdabiała koślawe, krzywo rozrysowane serca. Nina mogłaby przysiąc, że szafa skrzypiała niemiłosiernie przy otwieraniu.

– Mamo, powtarzam po raz setny, że zapomniałam ładowarki. Dopiero przed chwilą udało mi się ją pożyczyć od bardzo sympatycznego sąsiada cioci.

Po drugiej stronie słuchawki rozległ się nagle stłumiony dźwięk klaksonu.

– No i popatrz, Aurelio, jak te barany jeżdżą! Poruszają się po tej autostradzie jak ślepy we mgle! – Głos Witolda Kostrzewskiego zabrzmiał z taką mocą, jakby ojciec stał obok córki w pokoiku na poddaszu.

– Mamo, gdzie wy jesteście? – zaniepokoiła się nagle Nina i zzuła w końcu buty. Jej stopy pokrywały imponujące czerwone pęcherze.

– Jak to gdzie? W drodze do Holandii! – oburzyła się matka. – Za moment przekraczamy przejście graniczne w Kołbaskowie. Nie możemy zostawić cię teraz w potrzebie. Witku, czy aby na pewno zapakowałeś nasze paszporty?

Nina zerwała się na równe nogi.

– Absolutnie i kategorycznie zabraniam wam tutaj przyjeżdżać! – krzyknęła. – To niedorzeczny pomysł! Tato, zawracaj, ale już!

– Ależ córciu, po co te nerwy? W końcu chyba mam prawo pożegnać z godnością moją własną siostrę... – W głosie matki znowu zabrzmiały płaczliwe nuty.

– Emma leży już pochowana na cmentarzu. Nawet ja przez to choler... przepraszam, niefortunne spóźnienie, hm... busa nie zdążyłam na pogrzeb. Gdybym tylko wiedziała, że ciocia jest chora, od razu pakowałabym manatki... – Nina urwała. Złość na samą siebie i żal na nieczuły los ścisnęły ją za gardło.

„Ogromnie szkoda, że nie miałam okazji jej poznać” – pomyślała. „Dlaczego matka tak długo zwlekała z wyjawieniem tej rodzinnej tajemnicy?”

– Mamo, proszę, nic tu po was... – Nina złagodziła ton. – Wasz przyjazd niczego nie zmieni. Zresztą ja sama niedługo wracam do domu. Rozejrzę się trochę po okolicy, pozwiadam i wkrótce widzimy się ponownie. Nie upieraj się. Tak będzie najlepiej, mamuś.

W tym momencie rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

– Muszę kończyć – rzuciła do słuchawki Nina. – Odezwę się później.

Do pokoju zajrzała drobna ciemnowłosa kobieta. Miała na sobie staroświecką prostą sukienkę do kolan w kolorze głębokiej czerni. To ona przekazała Ninie klucze do kamienicy Emmy. Zaraz, zaraz, jak miała na imię? Chyba Evelien. Tak, Evelien.

– I jak podoba ci się domek naszej drogiej Emmy? – zapytała Holenderka i uśmiechnęła się przyjaźnie. – Ona bardzo długo na ciebie czekała... – dodała ciszej.

Nina przesunęła się na łóżku i poklepała dłonią miejsce tuż obok.

– Siadaj... Niech pani siada – poprawiła się błyskawicznie. Kobieta była chyba mniej więcej w wieku jej matki.

– Spokojnie, możesz mi mówić na ty. W Holandii nie jesteśmy tak bardzo rygorystyczni w tych kwestiach. – Evelien przycupnęła tuż obok i obrzuciła Ninę długim uważnym spojrzeniem.

Ta, speszona nieco tą jawną lustracją, spuściła głowę.

– Przepraszam, że tak nachalnie ci się przyglądam. Po prostu tak bardzo przypominasz Emmę, że nie mogę się napatrzeć. Widziałaś ją kiedykolwiek?

Nina pokręciła przecząco głową. Evelien wstała.

– Chodź ze mną – powiedziała cicho. – Potem rozpakujesz swoją walizkę. Chciałabym ci coś pokazać.

Przeszły na drugą stronę wąskiego i ciemnego korytarzyka. Evelien otworzyła drewniane drzwi. Nina zmrużyła oczy i stanęła w progu. Cały pokój skąpany był w słonecznej poświacie popołudniowego słońca. Przez ocienione firanką okno wdzierały się do środka żółte kwiaty dzikiej róży. Na ścianie naprzeciw wejścia wisiało duże portretowe zdjęcie młodej kobiety ubranej w białą sukienkę. Nina krzyknęła. Patrzyła na nią jej własna twarz. Tylko że ona nigdy nie miała takiej sukienki...

– Sama widzisz, że wyglądacie identycznie. – Evelien roześmiała się z trudem. – To jedyne zdjęcie Emmy. Potem nie lubiła się już fotografować. Zupełnie tak jak cesarzowa Austrii Elżbieta, znana bardziej jako Sissi, którą Emma, notabene, uwielbiała. Zawsze marzyła, żeby nazwać tym imieniem swoją córkę... – Urwała nagle i odwróciła oczy.

– Od jak dawna znasz... znałaś ciocię Emmę? – zapytała Nina. Tajemnicza siostra mamy intrygowała ją coraz bardziej.

– To długa historia. Może zaparzę nam kawę? Chodźmy na dół, do firmowej kuchni. Ty na pewno umierasz z głodu! Ale ze mnie gapa, już dawno powinnam ci zaproponować coś do jedzenia. – Klepnęła się w czoło.

Nina uśmiechnęła się ciepło. Po dniu pełnym wrażeń nawet nie pomyślała o swoim żołądku. Poza tym zjadła niedawno ogromnego croissanta.

Zeszły razem po niemiłosiernie stromych i wąskich schodkach na dół. Wykafelkowana sterylnie biała kuchnia mieściła się na tyłach sklepika. Oddzielała ją od niego szyba ozdobiona wzorzystą zasłoną w różnokolorowe bombonierki. Evelien podeszła do pomalowanego na kremowo kredensu. Stał na nim nowoczesny ekspres do kawy. Po drugiej stronie kuchni, przy ścianie, królował ogromny marmurowy blat. Nina z ciekawością rozglądała się dookoła.

– Co to jest? – zapytała, wskazując dłonią nieznane jej urządzenie ustawione pomiędzy kredensem a wielką lodówką. Wyglądało jak olbrzymi srebrny garniec podwieszony na stalowej ramie, z granitową podstawą i kołami.

– To melanżer. Profesjonalista w rzemieślniczej produkcji czekolady – wyjaśniła Evelien. – To w rzeczywistości dwa kamienne walce, które miażdżą i jednocześnie mieszają ziarno kakaowe – ciągnęła. – Kiedy przed laty zaczynaliśmy produkować czekoladki, Emma skorzystała ze starego młynka do kawy. Nie muszę chyba dodawać, że rozleciał się po pierwszym użyciu?

– Nie dziwię się – potaknęła Nina. Kreatywność cioci Emmy bardzo jej odpowiadała.

Evelien podeszła do melanżera, poklepała maszynę po srebrnej pokrywie i wyciągnęła przed siebie ręce.

– Teraz moje dłonie wyglądają normalnie, ale musiałybyś zobaczyć je na samym początku kariery cukiernika. Całą skórę pokrywały bąble.

– Jak to? Dlaczego?

– Od przebierania ziarna. I to nie przelewki, bo chodziło o trzy kilogramy naraz. Następnie pakowałam ten kakaowy nabój do piekarnika i trzymałam w nim tak długo, aż łupina odeszła od ziarna. Potem trzeba było ją zdjąć ręcznie.

– Z każdego ziarenka? – Nina patrzyła na Evelien z niedowierzaniem.

– A jakże! Z każdego, jak leci. Zobacz... – Sięgnęła do stojącego na półeczce pudełka obwiązanego kokardą. – To nasz flagowy wyrób. Musisz spróbować.

Zaintrygowana Nina pociągnęła za wstążkę i zajrzała do środka. Leżały tam poukładane równo w rzędkach błyszczące pralinki. Sięgnęła po pierwszą z brzegu i wsadziła ją sobie do ust. Poczowała rozplywający się na języku intrygujący smak.

– To gorzka czekolada z esencją z herbaty i lawendy – powiedziała z uśmiechem Evelien, widząc zaskoczenie na twarzy Niny. – Jej recepturę wymyśliła Emma. Zresztą podobnie jak wszystkich naszych czekoladek. Ja byłam tylko jej skromnym, choć wiernym pomocnikiem.

– Dlaczego cukiernia jest zamknięta? – zapytała cicho Nina i oblizała poplamione czekoladą palce.

– Nie jesteśmy typową cukiernią. Sprzedajemy tutaj wyłącznie bombonierki własnego wyrobu. Emma mówiła na ten sklep pieszczotliwie „chocolatierka”, od nazwy *chocolatier*, czyli mistrz czekolady. Prawdziwa cukiernia jest kilka metrów dalej, u Valentijna. – Evelien skrzywiła się nieznacznie.

– Tak, byłam tam na croissantach! Bardzo miły właściciel! – Nina się ożywiła. Czyli ten sympatyczny chłopak za ladą nazywa się Valentijn. Walenty. Jak romantycznie!

– Nie sądzę, żeby właściciel tego przybytku stał za ladą – odparowała Evelien. – Klientów obsługuje najczęściej jego młodszy brat, Romeo, albo wynajęty personel. No, nie patrz tak na mnie. To ich matka wymyśliła te imiona! Ja też uważam, że są, nawet jak na Holandię, hm... ciut oryginalne. Romeo jest w porządku, uczynny i grzeczny, ale Valentijn od czasu, kiedy przejął od ojca biznes, uważa, że pozjadał wszystkie rozумы. Życie ich nie oszczędzało, to fakt, ale żeby od razu mieć o sobie aż tak wysokie mniemanie? Emma się z tego śmiała, ale ja wiem, że Valentijn najchętniej wykurzyłby nas z Walstraat. Chociaż jaka z nas teraz

konkurencja.... – Westchnęła. – Od kiedy Emma zachorowała i straciła siły do prowadzenia sklepiu, mamy coraz mniej klientów.

– Chocolatierka nie powinna być zamknięta – oznajmiła stanowczo Nina. – Te bombonierki są przepyszne. Przecież można znowu je sprzedawać!

– To nie takie proste... – Zasepiła się. – Nie mam zacięcia do prowadzenia własnej działalności. Umiem tylko wykonywać polecenia... No, ale dosyć tego narzekania. Napijemy się kawy i pora zamówić coś do jedzenia. Mamy w Deventer świetną włoską restaurację U Mario. Produkujemy tutaj czekoladki, nawet nie ma jak ugotować normalnego obiadu. Na górze jest bardzo wygodna wnęka kuchenna, lodówka i piecyk, ale nie będziemy teraz pitrasić. Mario na pewno zrobi to lepiej. Lubisz lazanie?

ROZDZIAŁ 17

Nocne harce białej damy



Nina położyła się do łóżka grubo po północy. Objedzona włoskimi specjałami (skusiła się również na ulubione tiramisu), długo nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, liczyła skrupulatnie stada baranów, a sen nie nadchodził. Kołdra pachniała nieznanym jej miękczaczem do tkanin, a drewniane schody skrzypiały tak, jakby ktoś po nich stąpał. Nina raz po raz to otwierała, to zaciskała powieki, aż w końcu odrzuciła przykrycie i postanowiła zejść na dół po szklankę wody. Wyskakując z łóżka, zerknęła na swoje odbicie w wiszącym na drzwiach lustrze. Patrzyła na nią zjawa w białym giele, ze sterzącymi na wszystkie strony długimi pasmami nieokiełznanymi loków. Ten przedpotopowy strój podarowała Ninie ciotka Eugenia. Twierdziła z całym przekonaniem, że jej bratanica, udając się do – jakby nie patrzeć – KRÓLESTWA Niderlandów, musi zabrać ze sobą godną arystokracji porządną, najlepiej jedwabną, obszytą koronką, koszulę nocną. Boże broń, żadną pidżamę, która nie przystoi przecież dziewczynie z zacnej mieszczańskiej rodziny. Nina dla świętego spokoju zapakowała jedwabie i koronki, na śmierć zapominając o innym, mniej królewskim przyodziewku do spania.

Pomykała teraz w ciotczynej koszulinie po stromych schodach na parter, w ciemnościach rozświetlanych jedynie nikłym blaskiem okrągłego księżyca. Otworzyła lodówkę, wyciągnęła stojącą tam błękitną plastikową butelkę z wodą i, przyciskając ją do ust, wyszła zza szklanej ściany, za którą znajdował się sklepik. Stojące w pomieszczeniu sprzęty rzucały głębokie długie cienie na pomalowane na jasny beż ściany. Nina podreptała na sam środek wnętrza. Pachniało tutaj kakao i jakimiś korzennymi przyprawami. Światło latarni tysiącem błyskających refleksów odbijało się w witrynie. Nina podeszła do wystawy i zabawnie

rozpłaszczyła nos na szybie, zerkając na wymarłą ulicę. Roje miniaturowych muszek tańczyły szalonego twista w ciepłej plamie światła na brukowanym trotuarze.

Nina przymknęła na moment oczy. Otaczała ją kojąca senna cisza... I właśnie w tym momencie ktoś załomotał przeraźliwie w szybę. Nina odskoczyła jak oparzona i krzyknęła z przerażenia. Butelka upadła tuż obok jej nóg, opryskując fontanną nagie stopy. Dokładnie tuż przed dziewczyną, oddzielony wyłącznie grubą taflą przykurzonej nieco szyby, stał ubrany w błękitną koszulę podwiniętą niedbale do łokci wysoki mężczyzna. Miał długie ciemne włosy związane w zadziorny kucyk, a w jego zielonych oczach błyskało rozbawienie. Przeważenie Niny momentalnie przerodziło się w furję. Nie zważając na swoje bezpieczeństwo (środek nocy, wymarła okolica i obcy facet), szarpnęła za tkwiące w zamku klucze i otworzyła na oścież szklane drzwi.

– Według ciebie to jest śmieszne, tak?! – wrzasnęła. – Jakim prawem mnie straszysz? – Ściszyła nieco głos, gdyż w ciemnych oknach w kamienicy naprzeciwko rozblysnęło nagle światło. – O mało zawału nie dostałam – dokończyła scenicznym szeptem i tupnęła.

Nieznajomy dusił się ze śmiechu i wcale nie próbował tego ukryć.

– Przepraszam bardzo, zjawo w prześcieradle, ale to TY mnie straszysz. Wracam sobie do domu po kilku drinkach u przyjaciół i nagle widzę snującą się po nieczynnym od jakiegoś czasu sklepie białą damę. Byłem przekonany, że to *mevrouw*^[1] van Toorn doglądająca swojej czekolady. W końcu zaledwie wczoraj ją pochowano. Emmę, nie czekoladę, *of course*.

Ten człowiek nie miał za grosz ogłady ani taktu!

Mężczyzna zerknął na Ninę uważnie i niespodziewanie zbliżył swoją twarz do jej policzka. Poczwała aromat mocnych perfum przemieszanych z zapachem cygara i whisky.

– W dodatku wyglądasz jak jej młodsza wersja – szepnął. – Może rzeczywiście jesteś duchem?

Nieznajomy wyciągnął przed siebie dłoń i delikatnie musnął opuszką palca jej usta. Miał pięknie wykrojone pełne wargi. Nina stała jak zahipnotyzowana. Ta chwila zdawała się nie mieć końca.

– Ale nie... jednak nie jesteś Emmą. – Roześmiał się i magiczny moment rozprysnął się na milion kawałków. – Ona nie mówiła po angielsku. Znaczący mówiła, ale nie z takim śmiesznym wschodnioeuropejskim akcentem. – Mrugnął łobuzersko.

Nina podskoczyła, jakby osa ugryzła ją w tyłek.

– Co za impertynent! Zero klasy! – rzuciła z jadem w głosie, zatrzasnęła nieznajomemu drzwi przed nosem, po czym odwróciła się na pięcie i pognała w głąb sklepiku.

Oby już nigdy więcej nie musiała oglądać jego gęby! Wbiegła niczym stado słońi po schodach i rzuciła się na zmiętą kołdrę. Teraz była już święcie przekonana, że pierwszą noc na holenderskiej ziemi ma z głowy.

[1] hol. pani

ROZDZIAŁ 18

Cukiernik bez wyboru



Budzik zaterkotał jak zwykle piętnaście minut po szóstej. Valentijn Jeurissen z trudem otworzył zaspane oczy. Wczoraj wypił zdecydowanie za dużo. Obiecał sobie, że zastopuje po kilku puszkach heinekena, ale Klaas pod koniec imprezy niczym magik z rękawa wyciągnął pękatą butelkę dwudziestosześcioletniej szkockiej whisky Glenfiddich.

– Nie kuś, Klaas. W środku tygodnia nie zwykłem pijać tak mocnych alkoholi. Doskonale wiesz, że muszę rano przypilnować dostawców. Pańskie oko konia tuczy – próbował się wzbraniać Valentijn, ale czuł już w przetyku kuszący słodko-gorzki, palący smak trunku.

– Niech Romeo ich przypilnuje – rzucił przyjaciel. – Nie możesz wszystkiego robić sam. W końcu to również i jego biznes. Trzęsiesz się nad nim jak stara niańka nad niemowlęciem. Pozwól mu trochę poszefować.

– Dobra, dobra, już nie mędrkuj, tylko nalewaj – uciął dyskusję Valentijn.

Nie lubił rozmawiać z kumplami o interesach. A tym bardziej o swoim bracie... Po tragicznej śmierci obojga rodziców w katastrofie samolotu Malaysia Airlines w lipcu 2014 roku zostali z Romeem praktycznie sami. Pomimo że tak naprawdę dzieliło ich tylko siedem lat, to Valentijn automatycznie przejął rolę ojca i matki dla młodego. Nie chciał nawet słyszeć o żadnej rodzinie zastępczej, która mogłaby opiekować się bratem. Któż znał go lepiej niż on sam. Valentijn potrafił błyskawicznie podejmować decyzje i nigdy nie zastanawiał się długo nad ich konsekwencjami. Jak prawie każdy Holender był pragmatykiem. W ciągu kilku dni rzucił studia na politechnice w Delft, wrócił do rodzinnego Deventer i przejął prowadzenie cukierni rodziców. Nigdy nie interesował się wypiekami, wolał konstruować drony, ale Romeo znaczył dla niego więcej niż ukochane hobby. Valentijn ślęczał nocami nad fakturami,

recepturami i przepisami podatkowymi, twierdząc, że wszystkiego można się nauczyć. Nawet wyrabiania ciasta na bułeczki i croissantsy, konserwacji maszyn do pieczenia i sprytnego obejścia chciwego fiskusa.

Chorobliwą wręcz ambicję i chęć bycia życiowym prymusem Valentijn odziedziczył po ojcu. Mark Jeurissen otworzył swoją piekarnię w dniu urodzin pierworodnego syna i dlatego też nosiła w nazwie jego imię. Wymyśliła je matka Valentijna, Vera, na cześć dnia zakochanych, w którym poznali się z jego ojcem. Mark wychowywał małego Valentijna na swojego następcę, ale chłopak coraz częściej migał się od pracy. Co innego Romeo, który wręcz rwał się do roboty przy nagrzanym piecu. Również w nocy. Ciężka praca w rodzinnej firmie od podstaw była naczelną zasadą Marka Jeurissena. Jego chłopcy musieli najpierw dogłębnie poznać zawód piekarza, gdyż – jak twierdził ojciec – żeby zarządzać jakimkolwiek przedsiębiorstwem, trzeba znać je od podszewki. Valentijn zbuntował się ostatecznie w ostatniej klasie szkoły średniej i butnie oznajmił rodzicom, że nie zamierza kultywować tradycji pieczenia bułeczek, tylko chce poświęcić się technice, a konkretniej robotyce. Mark i Vera nie protestowali, gdyż szczęście ich syna leżało im bardziej na sercu niż rodzinne ambicje. Postanowiono zatem, że biznes przejmie Romeo.

Kilka miesięcy potem, dokładnie 17 lipca 2014 roku, bracia Jeurissenowie widzieli swoich rodziców po raz ostatni. Pożegnali się na amsterdamskim lotnisku Schiphol przed wylotem samolotu do Kuala Lumpur. Wakacje w Malezji wymyśliła Vera, chcąc odciągnąć trochę męża od ciężkiej pracy. Maszyna została zestrzelona przez Rosjan nad terytorium Ukrainy zaledwie parę godzin po starcie. W tym dniu życie Valentijna odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Z beztróskiego studenciaka zmienił się w odpowiedzialnego mężczyznę i przyrzekł sobie, że nie pozwoli już, żeby jego brat kiedykolwiek cierpiał. O sobie samym nie myślał. Był dostatecznie twardy i wystarczająco doświadczony przez okrutny los. Nadal wierzył głęboko, że jego rodzice czuwają nad nim, gdziekolwiek teraz byli.

Valentijn odrzucił cienką kołdrę i postawił stopy na zalanej żywicą podłodze. Urządził mieszkanie w stylu surowym, industrialnym, w górnej części starej fabryki przerobionej na apartamenty. Nie znosił dywanów, poduszek, durnostojek. Lubił przestrzeń i minimalizm. Romeo był jego zupełnym przeciwieństwem. Uwielbiał tkaniny, kolory i miękkie, wzorzyste faktury. Jego mieszkanie przypominało damskie gniazdko. Miał nawet aksamitne zasłony w oknach i surfinie w doniczkach na balkonie.

Valentijn przeszedł do wyłożonej włoskim marmurem ogromnej łazienki, której okna wychodziły na zapierającą dech panoramę deventerskiej starówki, i wskoczył pod zimny

prysznic. Lodowata woda od razu stawiała go na nogi, nawet po wyjątkowo zakrapianej nocy.

À propos nocy! Valentijn, namydlając wijące się wokół twarzy włosy, roześmiał się w głos. Przed oczami stanęła mu wyjątkowo urodziwa twarz ducha ze sklepu starej Emmy van Toorn. Ta dziewczyna wyglądała jak jej córka, ale przecież Emma, o ile mu wiadomo, nie miała dzieci. Poza tym ta mała furia nie mówiła po holendersku. Tak zabawnie akcentowała angielskie słówka. I ten jej włoski temperament... Lubił takie ostre dziewczyny. Gdyby miała pod ręką rewolwer, wbiłaby mu bez zmrużenia oka kulę prosto w pierś. Ciekawe, co robiła po nocy w tej opustoszałej Malinowej Bombonierce?



Tymczasem panna furia dojadła właśnie śniadanie w bardzo przytulnej kawiarni Saint Tropez na placu de Brink. O dziwo, nawet się wyspała. Ubrała się starannie, w dżinsową spódniczkę i obszerny błękitny sweterek, związała gładko włosy i postanowiła zaraz pospacerować po mieście. Zerkając raz po raz z zaciekawieniem na kiwającą się majestatycznie w oddali zabytkową Wagę Miejską, zastanawiała się, jak to możliwe, że jest taka krzywa. Ozdobiony strzelistymi wieżyczkami budynek przechylał się niebezpiecznie na lewą stronę, niczym podpity marynarz w amsterdamskim porcie. Nina uśmiechnęła się bezwiednie i poprawiła na wymoszczonym poduszkami foteliku. Lekki wiaterek chłodził jej rozgrzaną słońcem skórę. Niczego nie musiała, a mogła wszystko. Przynajmniej dzisiaj. Kto wie, co czekało na nią jutro.

Tak naprawdę to doskonale wiedziała, co to będzie, ale odsuwała od siebie tę myśl w najdalsze zakamarki świadomości. Ponura rzeczywistość! Rezerwacja biletów na autobus do Polski. Jej krótka holenderska przygoda właśnie dobiegała końca. Nie poznała Emmy, ale zobaczyła przynajmniej skrawek jej świata w kolorze czekolady. Gdyby tylko mogła, z chęcią zostałaby dłużej w Deventer. Niestety to niemożliwe. W jaki sposób byłaby się tutaj w stanie utrzymać, nie znając realiów ani języka? Kusiło ją, żeby zaryzykować, ale w tym rebusie jawiło się zbyt dużo niewiadomych.

– Pora dorosnąć, panno Kostrzewska. I przestać bujać w obłokach – mruknęła pod nosem i dopiła resztki kawy.

– W końcu cię znalazłam! – Usłyszała za sobą damski głos. Evelien w słomkowym kapeluszu, z zaczerwienioną twarzą opierała się o solidny pień górującego nad kawiarnią

kasztanowca. – Właśnie rozmawiałam z notariuszem Emmy. *Meneer*^[2] Lars van Haasteren bardzo pilnie chce się z tobą spotkać. Jeżeli to możliwe, to nawet jeszcze dziś.

Nina uniosła brwi ze zdziwienia.

– Skąd on wie o moim istnieniu? I o tym, że jestem w Deventer?

Evelien sapnęła zniecierpliwiona.

– No jak to skąd? Sama mu o tym powiedziałam. Podobno szukał namiarów na ciebie w Polsce. Kiedy usłyszał, że przyjechałaś do Holandii, o mało nie spadł z krzesła. „To rozwiązuje mnóstwo moich problemów!”, zakrzyknął.

– Jakich problemów? – Nina odstawiła z brzękiem pustą filiżankę na spodek. – O niczym nie wiem. Ba, nigdy nawet nie słyszałam o żadnym van Terenie.

– Haasterenie! – poprawiła ją cierpliwie Evelien. – To jeden z najlepszych prawników w mieście. No już, zbieraj się, obiecałam, że najdalej za godzinę pojawisz się w jego biurze.

^[2] hol. pan

ROZDZIAŁ 19

Niespodzianka z za grobu



Kancelaria notarialna Larsa van Haasterena znajdowała się w pieczołowicie odrestaurowanej siedemnastowiecznej kamienicy przy prestiżowej ulicy Singel, w centrum Deventer. Jej założyciel, pomimo słusznego wieku prawie siedemdziesięciu lat, nadal konsekwentnie zarządzał swoim biurem twardą ręką. Jego klienci stanowili śmietankę towarzyską i finansową, zebraną z całego regionu Overijssel. *Meneer* van Haasteren nie wyobrażał sobie życia bez swojej pracy. Choć, prawdę mówiąc, to sił witalnych miał coraz mniej...

Nina w towarzystwie Evelien stanęła właśnie przed imponującym wejściem do kancelarii. Dziewczyna zdążyła tylko zamienić w domu wysłużone trampki na bardziej eleganckie skórzane baleriny i przejechać delikatną różową pomadką po spierzchniętych nieco ustach. Evelien stała nad nią jak kat nad ofiarą i bez przerwy popędzała, twierdząc, że prawnik nie cierpi spóźniałskich. Nina nie śmiała wtrącić, że przecież to spotkanie tak naprawdę zorganizowane zostało na wariackich papierach, trudno więc oczekiwać, że wszystko przebiegnie punktualnie i bez żadnej obsuwy. Ale ogromnie ciekawiło ją, co takiego ma do powiedzenia groźny notariusz.

Kiedy weszły w końcu do budynku, Nina pożałowała w mig, że nie przebrała się w bardziej reprezentacyjne odzienie. Wnętrze kancelarii było zimne, luksusowe, urządzone z dbałością o najwyższej jakości detale, z przewagą drewna, metalu i kamienia. Na wprost wejścia na obitej grubą tapetą ścianie widniał portret miłościwie panującego króla Niderlandów Willema-Alexandra.

Evelien zdecydowanie podeszła do drewnianego kontuaru. Siedziała za nim wyjątkowo piękna dziewczyna o regularnych rysach twarzy i finezyjnie upiętym koku. Miała na sobie elegancką granatową garsonkę i białą jedwabną bluzkę z żabotem. W klapie jej marynarki tkwił biały identyfikator. Nazywała się Chantal Kamperman.

– *Goedemorgen! Hoe kan ik jullie helpen?*^[3] – zapytała grzecznie i przeniosła swój zaciekawiony wzrok na stojącą za plecami Evelien Ninę. – Czy jesteście panie umówione? – Dyskretnie zerknęła na ekran ukrytego za kontuarem srebrnego komputera.

– Dosłownie przed godziną rozmawiałam z panem notariuszem – pośpieszyła z wyjaśnieniami Evelien. – Chodzi o Emmę van Toorn. A właściwie o jej siostrzenicę...

Chantal zerwała się z miejsca.

– Pan van Haasteren napomknął mi już o tej wizycie. Proszę za mną. Czy napiją się panie kawy?

Evelien i Nina pokręciły przecząco głowami.

Recepcjonistka podeszła do bogato zdobionych masywnych drzwi po lewej stronie holu. Zastukała delikatnie we framugę i nacisnęła klamkę.

– *Uw klant is binnen. Het gaat om mevrouw van Toorn*^[4] – zaświergotała po holendersku i uchyliła szerzej drzwi.

– Ja poczekam tutaj – wtrąciła szybko Evelien. – Nina doskonale poradzi sobie sama.

Siwiutki Lars van Haasteren siedział za swoim dwustuletnim biurkiem z orzecha amerykańskiego na najbardziej prestiżowym w prawniczym świecie krześle Aeron Remastered Hermana Millera. Widząc stojącą w progu i wyglądającą na nieco zagubioną młodą kobietę, błysnął grubym szkłem okularów w delikatnych złotych oprawkach z monogramem.

– To niewiarygodne... – zamruczał, patrząc na wierną kopię swojej wieloletniej przyjaciółki, nieodżałowanej Emmy van Toorn de domo Dobrzycka.

Ta dziewczyna wyglądała dokładnie tak jak Emma przed bez mała dwudziestu ośmiu laty, kiedy się poznali. Któż wtedy przypuszczał, że osoby o tak różnych charakterach, w dodatku pochodzące z kompletnie odmiennych światów i środowisk, staną się sobie tak bliskie. Praktycznie nierozłączne!

Emma przyjechała do Holandii z wielkiej miłości do Juliana... Na to wspomnienie poznaczona siateczką drobniutkich zmarszczek twarz notariusza skrzywiła się nieznacznie... Najpierw mieszkali w Amsterdamie, a potem, ze względu na pracę van Toorna (był wojskowym), przenieśli się na wschód kraju. Julian pochodził z Deventer, traf chciał, że uczęszczali z Larsem do jednego gimnazjum. Van Toorn był nadambitny, podobnie zresztą jak

Lars, ale ten nie dążył do swoich celów za wszelką cenę, po trupach. Zdecydowanie wolał zmiękczać swoich przeciwników trudną i wymagającą nieprzeciętnej inteligencji sztuką dyplomacji. Julian nad argumenty słowne przedkładał walkę wręcz. Może dlatego wybrał karierę w armii. Po maturze ich drogi się rozeszły, nad czym Lars specjalnie nie ubolewał. Natknął się na van Toorna dopiero po latach, zupełnie przypadkowo, w jednej ze snobistycznych restauracji usytuowanych przy katedrze Świętego Lebuina. Lars prowadził już wtedy z sukcesami swoją własną kancelarię notarialną. Dawny szkolny kolega nic się nie zmienił. Nadal miał chmurny wzrok i nienaturalnie wyprostowaną sylwetkę. Obok niego błyszczała – Lars pomimo wyjątkowego, jak to prawnik, zasobu słów nie potrafił znaleźć innego, bardziej trafego określenia – wyjątkowo urodziwa kobieta. Miała przenikliwe spojrzenie i niezwykle piękne błękitne oczy... dokładnie jak ta dziewczyna stojąca teraz przed nim.

Stary prawnik poczuł, że wzruszenie ścisną go za gardło. Absolutnie jednak nie mógł sobie pozwolić na chwilę słabości w pracy, odchrząknął więc służbiście i wskazał na stojące pod ścianą dwa skórzane fotele Chesterfield. Siostrzenica Emmy usiadła na pierwszym z nich i podniosła na notariusza zaintrygowany wzrok.

– Miło mi gościć panią w progach mojej kancelarii – odezwał się Lars w nienagannym oksfordzkim angielskim i wstał zza biurka. – Lars van Haasteren – przedstawił się i uściśnął mocno jej rękę.

– Nina Kostrzewska. – Dygnęła jak pensjonarka i zaczerwieniła się.

Lars, nie wiadomo dlaczego, wzbudzał w niej lęk. A może to był strach przed nieznanym? Po co tak właściwie ją tu wezwał? Skanował wzrokiem milimetr po milimetrze twarz Niny...

– Czy mogę poczęstować panią filiżanką kawy? Wody? Czegoś innego? – Onieśmienie młodej klientki nie uszło uwadze spostrzegawczego prawnika.

– Nie, dziękuję, pana recepcjonistka już mi to proponowała... Dlaczego mi się pan tak przygląda? – zapytała bezceremonialnie. Raz kozie śmierć.

Lars się roześmiał. Napięcie pomiędzy nimi opadło nieco.

– Przypomina mi pani Emmę – wyznał rozbrajająco. – Nawet uśmiecha się pani tak samo jak ona.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Nina – zaproponowała spontanicznie. Już się go nie bała. Przynajmniej nie tak, jak na początku.

– Tylko pod jednym warunkiem... Że ty będziesz zwracała się do mnie „Lars” – odpowiedział ciepło notariusz.

– *Deal!* – zawołała. – Znaczy mam na myśli zgoda – poprawiła się błyskawicznie i znowu zaczerwieniła.

– *Deal* brzmi lepiej. – Lars mrugnął do niej i sięgnął po leżącą na szklanym stoliku ciemnoczerwona teczkę. Na jej froncie widniało wytłoczone złotymi literami logo kancelarii Van Haasteren & Zoon.

– Jak to mówimy w Holandii, moja droga Nino, *ter zake*, czyli do rzeczy. Wezwałem cię do siebie z bardzo ważnego powodu. – Zmarszczył krzaczaste brwi i poprawił opadające nieco na słusznych rozmiarów nos okulary. – Kilka miesięcy temu odwiedziła mnie w kancelarii twoja ciotka. Znamy... znaliśmy się od lat. Prowadziłem wszystkie sprawy dotyczące jej majątku. Praktycznie od czasów, kiedy rozwiodła się z Julianem.

– Nie wiedziałam, że się rozwiedli – zdziwiła się Nina. – Myślałam, że ciocia była wdową. Lars założył nogę na nogę i otworzył teczkę.

– Co tak właściwie wiesz na jej temat, Nino? Podobno przez całe lata nie miałaś pojęcia, że istnieje. Wiem to od samej Emmy. Rodzina odcięła się od niej po tym, jak wyszła za van Toorna.

– Właściwie nic nie wiem. – Nina wzruszyła ramionami. – Poza jednym, dosyć istotnym szczegółem... Mówiła ci o tym, że była zakonnica? – Wpatrywała się pytająco w notariusza.

Przez chwilę milczał, tak jakby układał sobie w myślach dyplomatyczną odpowiedź.

– Tak, powiedziała mi o tym. I wyznała również, jak bardzo żałuje, że nie udało jej się nawiązać wcześniej kontaktu z tobą.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego w ogóle próbowała go nawiązać. I dlaczego akurat teraz.

– Nina nie miała dzieci – odparł Lars. – Żadnych bliskich poza rodziną pozostawioną w Polsce. Wraz z upływem czasu coraz bardziej za wami tęskniła. Stare rany się zabiły, ale nie potrafiła wyciągnąć ręki na zgodę. Dopiero po kolejnym liście twojej matki postanowiła w końcu ostatecznie nawiązać zerwany kontakt. Może to nieco ekscentrycznie z jej strony, egoistycznie... nie wiem, nazwijmy to, jak chcemy, ale wymarzyła sobie właśnie ciebie na swoją następczynię.

– Jak to na swoją następczynię? Co masz na myśli? – wydukała Nina.

– Emma przez lata prowadziła z sukcesem małą manufakturę czekolady. Kamienica, w której znajduje się chokolateria, również należy do niej – objaśniał Lars. – Nazywała ten budynek pieszczotliwie Malinowa Bombonierka... – Ostre rysy prawnika złagodniały. – Rzeczywiście jej fasada ma dosyć osobliwy kolor... Ale taka właśnie była Emma. Nietypowa. Inna niż wszyscy.

W jego głosie brzmiała czułość i tęsknota. Czyżby starszy pan podkochiwał się w jej ciotce? Nina dałaby sobie rękę uciąć, że tak właśnie było.

– Dlaczego ciocia zamknęła Bombonierkę? I co się stało, że umarła tak nagle? – zapytała Nina tak cicho, że sama z trudem słyszała swoje słowa.

Lars odwrócił głowę. Przez chwilę siedzieli w kompletnej ciszy.

– W całej mojej dotychczasowej karierze udawało mi się oddzielać biznes od emocji – powiedział w końcu. – Nigdy nie zachowywałem się w ten, nie ukrywajmy, mało profesjonalny sposób. Może dlatego, że żaden klient nie był mi tak bliski... – Westchnął i po sekundzie ciągnął dalej: – Emma zmarła na raka trzustki. Ostatnie miesiące były bardzo trudne. Nie miała już siły, żeby produkować swoje czekoladki. Czekwała tylko na śmierć i... na ciebie, Nino.

– A ja zjawiłam się za późno... – podsumowała głucho. – Na swoje usprawiedliwienie mam tylko jeden argument. Po prostu o niczym nie wiedziałam.

– Nie miej do siebie o to żalu. Tak chciał los – odezwał się Lars. – A teraz posłuchaj mnie uważnie, Nino. Chciałbym przeczytać ci ostatnią wolę twojej ciotki. W tym właśnie celu poprosiłem cię o przybycie. Emma zmieniła testament zaledwie na kilka miesięcy przed swoją śmiercią. Wszystko, co miała, kamienicę, sklep i całe jego wyposażenie, zapisała tobie. Pod jednym warunkiem...

[3] hol. Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

[4] hol. Jest już pańska klientka. Chodzi o panią van Toorn.

Wesołe kumoszki z Deventer



Przez całą drogę z ulicy Singel na Walstraat Nina nie zamieniła z Evelien ani słowa. Czowała się tak, jakby przejechał po niej walec. I to nie jeden raz, a przynajmniej trzy razy z rzędu. Nowa znajoma nie próbowała nic z niej wyciągać. Wiedziała, że prędzej czy później Nina o wszystkim jej opowie. Kiedy dochodziły już do kamienicy Emmy, Evelien ożywiła się nagle.

– Mamy wizytę... – zamruczała pod nosem i uniosła nieco wyżej głowę. – Nasze ciasteczka w końcu odważyły się ujawnić.

Nina spojrzała z ciekawością przed siebie. O jakich ciasteczkach mówiła Evelien? Jeden rzut oka przed siebie wystarczył. W końcu na twarzy dziewczyny pojawił się cień uśmiechu. Przed wejściem do cukierni stały trzy niewiasty, różnego kształtu i wielkości. Pierwsza z lewej przypominała okrągłą czekoladową kuleczkę, środkowa długi słony paluszek, a trzecia puchatą, pełną bitej śmietany eklerkę.

– Kim są te kobiety? – zdążyła jeszcze zapytać Nina.

Po sekundzie całe słodkie towarzystwo wisiało już na ramionach Evelien, popatrując z nieukrywaniem zainteresowaniem na Ninę.

– Aż się za serce złapałam! – zawołała po holendersku „Eklerka”. – Myślałam, że to świętej pamięci Emma z grobu wstała... tylko jakby taka... no, o wiele młodsza!

– Nie gadaj głupot, Nora. Widać z daleka, że to ta młoda pani, o której nam Emma przy nakładaniu bombonierek do papilotek opowiadała. Kiepską masz pamięć – prychnęła „Kuleczka”.

– Phi, ja tam się od razu wszystkiego domyśliłam. – „Paluszek” wzruszył ramionami. – W końcu sroce spod ogona nie wypadłam i swój rozum mam. Oraz kojarzenie!

– Po angielsku gadajcie, dziewczyny – upomniała Evelien i otworzyła szklane drzwi. – Nina nie rozumie, o czym tak paplacie, chociaż w sumie może to i lepiej.

Całe towarzystwo weszło do środka. W pustym wnętrzu w końcu zapanował ruch.

– Nina, poznaj długoletnie współpracownice twojej ciotki. No już, dziewczyny, przedstawcie się – huknęła Evelien, ale tylko pozornie groźnie.

– Jestem Nora – pisnęła „Eklerka”. – Nora Mol.

– A ja Kristen. Dekkers. – „Kuleczka” zatrzepotała rozłożystą spódnicą. – A to Isa Hoes. – Wskazała na „Paluszka”. – No dalej, powiedz coś! – Isa spłonęła jak piwonia. – Wstydzi się. – Kristen wydeła wargi. – Ale szybko jej przejdzie.

– Cześć, dziewczyny. Miło mi was poznać. Jestem Nina. I wybaczcie, że nie od razu zapamiętam wasze imiona, ale będę się bardzo starała. Co robiłyście w Bombonierce?

– A wszystko! Co tam trzeba było – stwierdziła Nora. – Ja to najczęściej pomagałam przy temperowaniu czekolady. Emma skarżyła, że dziewczyna przede mną źle to robiła i pralinki nie błyszczały się tak, jak powinny. I smak był gorszy. A u mnie jak ta lala!

Nina spojrzała bezradnie na Evelien.

– Temperowanie to nic innego jak podgrzewanie i schładzanie czekolady – wyjaśniła Eve. – Nie martw się, ja też nie od razu wszystko wiedziałam.

– A ty, Isa? – zwróciła się do „Paluszka” Nina.

– Ja to na szmacie latałam. Przynieś, wynieś, pozamiataj. Kafelki szorowałam, błaty i wszystkie powierzchnie robocze. To ja namówiłam Emmę, żeby zdarła te fikuśne tapety, bo ściany zmywalne muszą być gładkie. Inaczej o kant du... przepraszam, inaczej to sensu nie ma – zmitygowała się błyskawicznie. – Najzdolniejsza z nas jest Kristen – przyznała szczerze, bez krzty zawiści. – Emma na kursy ją wysłała, aż za Amsterdam, do starej fabryki czekolady Verkade. Nikt tak jak ona bombonierek w okolicy nie robi i takiej pomady mlecznej nie ugotuje. No co mnie po kostkach kopiesz! – fuknęła. – Przecież prawdę gadam!

– Dziewczyny są bardzo skromne – dopowiedziała Evelien. – Gadają jak najęte, ale robota im się w rękach pali. Jeszcze przed chorobą Emmy oprócz pralinek robiłyśmy też trufle, czekolady, owoce w polewach, ciasteczka, a nawet torty. Ale potem... to już coraz mniej. To Emma wymyślała wszystkie receptury. Ciągle szukała inspiracji... i nieustannie nas zaskakiwała.

– Dzień dobry paniom! – Od drzwi rozległ się nagle wesoły męski głos.

W progu stał sympatyczny barczysty brunet w dżinsowej koszuli i trampkach. Nina rozpoznała w nim chłopaka, u którego dwa dni temu kupiła croissanta i który powiedział jej

o śmierci Emmy.

– Wznawiacie działalność? Nawet nie macie pojęcia, jak się cieszę! – oznajmił. – Brakowało mi zapachu waszej czekolady. Emma co jakiś czas podsyłała mi pudełko pralinek z nadzieniem pistacjowym. Teraz kupuję jakieś paskudne gotowce w sklepie przy Lange Bisschopstraat.

– Romeo, *hoi!* – zawołały jak na komendę Isa, Nora i Kristen.

Nora dyskretnie poprawiła włosy.

Romeo mrugnął zawadiacko i zerknął zaciekawiony w kierunku Niny.

– Ponowne otwarcie naszej chocolaterii to jeszcze nic pewnego – pośpieszyła z odpowiedzią Evelien. – Wszystko zależy od...

No właśnie, teraz wszystko zależało od siostrzenicy Emmy. Nina nie chciała być niegrzeczna, ale naprawdę nie wiedziała, co ma im wszystkim powiedzieć.

– Wybaczcie, moi mili. Pójdę na górę – oznajmiła w końcu i dodała: – Muszę pilnie przemyśleć kilka spraw.

ROZDZIAŁ 21

Wóz albo przewóz



Życie to jednak potrafiło zaskakiwać. W jednej chwili dawało solidnego prztyczka w nos, niwecząc marzenia i plany, żeby za moment zaoferować cały koszyk nowych możliwości. Do wyboru, do koloru.

W pierwszej chwili, kiedy Nina usłyszała, że siostra matki postanowiła zapisać jej w spadku kamienicę wraz ze sklepem, od razu pragmatycznie pomyślała o swojej księgarni. Los w końcu zdawał się dla niej łaskawy. Teraz wystarczyło jak najszybciej sprzedać deventerską nieruchomość i uzyskane w ten sposób środki zainwestować w upadły biznes. Najlepiej od razu, wdrażając innowacyjne zmiany, które wymyśliły z Manianą. Przyjaciółka na pewno w końcu da się przebłagać. Może nawet będą mogły kupić swój własny lokal i odtąd nigdy nie być zależne od żadnych Moniuszków.

Nina urządziła już w myślach swój książkowy raj, gdy nagle kolejne słowa notariusza Larsa van Haasterena wbiły się niczym ostra igła w jej nadmuchany do niebotycznych rozmiarów balon z nowymi ideami. Emma van Toorn miała swoje warunki. I wbrew pozorom chyba znała swoją siostrzenicę jak nikt inny. Ciotka wprowadziła do swojego testamentu zapis mówiący o tym, że jej spadkobierczyni będzie mogła sprzedać kamienicę przy Walstraat dopiero po roku od jej śmierci. Mało tego, Nina, chcąc zatrzymać spadek, musiała zamieszkać w Holandii i poprowadzić chokolaterię oraz zatrudnić do pomocy byłe pracownice ciotki. Po upływie dwunastu miesięcy Emma dawała siostrzenicy wolną rękę. Jeżeli Nina zechce sprzedać darowaną jej nieruchomość, będzie miała do tego prawo. Gdy z jakichkolwiek względów zdecyduje się na odrzucenie warunków Emmy, cały spadek przepadnie.

Lars spokojnie doczytał wszystkie formułki, a Ninę ogarnęło przerażenie. Ale jak to? Ona ma poprowadzić sklep z czekoladkami i nie tylko nim zarządzać, ale również wyrabiać słodczyce na miejscu?! Sama, bez żadnego doświadczenia? Przecież nawet nie umiała upiec ciasta, a co dopiero mówić o produkcji bombonierek. To niedorzeczny pomysł! Poza tym kompletnie nie znała holenderskich realiów. Emma zdecydowanie przeceniła jej skromne możliwości. Ten szalony plan nie miał żadnych szans powodzenia.

Lars dał jej wprawdzie kilka dni do namysłu, ale ona już podjęła decyzję. Będzie musiała się pożegnać z kapryśną fortuną. I chociaż bardzo, ale to bardzo polubiła Deventer i zapalała sympatią do znajomych Emmy, nie miała prawa dawać im złudnych nadziei. Zaslugiwali na szczerłość. Przynajmniej to mogła im ofiarować.

Przykładając głowę do poduszki, miała już ułożoną przejmującą i bardzo merytoryczną przemowę. Zamierzała ją wygłosić jutro rano w kancelarii notarialnej Larsa. Nawet on nie będzie mógł odmówić logiki jej przemyślanej decyzji. Miała tylko nadzieję, że to miejsce, któremu oddała już kawałek swojego serca, znajdzie godnego następcę. I że w Malinowej Bombonierce dalej będą sprzedawane czekoladki.



Nazajutrz wdziała białą koszulę i w bojowym nastroju zeszła do kuchni. Szkoda, że nie kupiła wczoraj na śniadanie żadnego pieczywa. Trudno, musi jej wystarczyć czarna kawa. Przynajmniej wypije ją w eleganckiej porcelanowej filiżance ze złotym rantem. Cały serwis stał w szklanej gablotce tuż za ladą chokolaterii.

Nina przemknęła przez kuchnię i weszła do sklepu. Kiedy wyjmowała filiżankę, kątem oka dostrzegła stojącą przy drzwiach papierową torbę. Zaintrygowana podeszła do wejścia i przekręciła tkwiący w zamku klucz. W jej nozdrza uderzył zniewalający zapach świeżych maślanych bułeczek i croissantów. Nina roześmiała się w głos. W tym momencie spostrzegła kartkę przywiązaną fikuśnie wstążeczką do ucha torby:

Na pewno zapomniałaś kupić coś pysznego na śniadanie.

Polecam się na przyszłość.

Romeo

– Proszę, proszę, nie wiedziałem, że moja firma oferuje asortyment na wynos – rozległ się znienacka czyjś przepełniony jadem głos.

Nina uniosła głowę. Jej oczy napotkały ironiczne spojrzenie czarnowłosego mężczyzny w błękitnej koszulce polo. Zgrzytnęła ze złości zębami i chwyciła mocno za uchwyt torby. To znowu ten wariat! W mig rozpoznała bezczelnego intruza, który wystraszył ją pierwszej nocy w Deventer, waląc w witrynę sklepu, przez co o mały włos nie wyzionęła ducha. Nieznajomy podszedł do niej i złapał bilecik, który trzymała w dłoni.

– Co robisz? Wypraszam sobie! – wrzasnęła. – Kim jesteś, człowieku?!

– Nazywam się Valentijn Jeurissen i jestem współwłaścicielem piekarni, której wyroby za chwilę zaczniesz pałaszować. Jak widać, mój braciszek nie zasypia gruszek w popiele. – Zmiął firmowy bilecik. – Szkoda tylko, że kosztem naszej firmy. Nie widzę żadnego powodu, żeby rozdawać za darmo coś, na co ciężko pracujemy. OBAJ! Nie tylko romantyk Romeo! – podkreślił i obrzucił taksującym spojrzeniem pustą przestrzeń za jej plecami. – Przynajmniej ta buda, pretendująca do miana CHOCOLATERII, w końcu zamknęła swoje podwoje. Nigdy nie uważałem tego przybytku za naszą konkurencję, ale jednak wolę, żeby nie sprzedawano na tej ulicy żadnej czekolady. Oprócz tej w moich croissantach. Lepszych nie znajdziesz, więc smacznego. Niech będzie moja strata – rzucił jeszcze i, nie zaszczycając Niny nawet jednym spojrzeniem, pomaszerował w głąb ulicy.

Dziewczyna cofnęła się do cukierni i z całej siły trzasnęła drzwiami. Szyba w witrynie zadrżała złowieszczo. Co za tupet! Niewiarygodne! A ona sama to ostatnia meduza! Zamiast dać temu impertynentowi popalić, stała jak zaczarowana, nie mogąc wydobyć z gardła ani słowa! To do niej niepodobne! Przecież od zawsze słynęła z błyskawicznego refleksu i ciętych ripost!

– Już ja mu pokażę budę z czekoladkami! – warknęła pod nosem. – Jeszcze zobaczymy, kto kogo wykurzy z tego biznesu, mój drogi walnięty Walenty!

Nina wpadła w taką furję, że w rekordowym tempie przebyła dystans dzielący Walstraat od siedziby kancelarii van Haasterena. Wpadła do środka biura jak tornado, przemknęła obok zdumionej recepcjonistki i bez pukania szarpnęła za drzwi prowadzące do gabinetu notariusza.

– Zgadzam się na warunki Emmy! – krzyknęła. – Poprowadzę ten biznes i zapewniam cię, Lars, że za kilka miesięcy wszyscy w okolicy będą jedli tylko nasze czekoladki!

Braterskie potyczki



Z dołu dwupoziomowego apartamentu Valentijna Jeurissena dochodził jakiś dziwny hałas. Coś jakby stłumione dudnienie. Valentijn otworzył jedno oko. Nadśluchiwał przez chwilę, a potem przekreślił się na drugi bok. Rumor powtórzył się dokładnie po pięciu sekundach. Tym razem towarzyszył mu rozwścieczony głos.

– Otwieraj! Wiem, że tam jesteś!

Val ze złością odrzucił kołdrę i zerknął na wyświetlacz leżącego na szafce nocnej smartfona. Cholera! Pieprzona piąta rano, a ktoś już coś od niego chce! Wczoraj cały dzień użerał się z nowymi lokalnymi dostawcami ekologicznych produktów. Po ostatniej akcji, kiedy zaufany, podobno, rolnik zamiast prawdziwego masła dostarczył mu margarynę, postanowił sam wybierać wszystkie produkty do wypieków.

– *Jeurissen, godverdomme, doe de deur open, nu!*[\[5\]](#)

Val bez pośpiechu wciągnął przez głowę biały T-shirt. Brat... Spodziewał się awantury, ale żeby już zaraz, teraz, w dodatku o tej nieludzkiej porze? Tylko skąd Romeo tak szybko się dowiedział? Valentijn dosłownie wczoraj podjął samodzielnie decyzję o rozpoczęciu produkcji croissantów supreme, czyli takich z większą ilością masła. Będą musieli automatycznie podnieść cenę rogalika, ale gra jest warta świeczki. Nikt w okolicy nie przebije teraz jakości i kruchości ich ciasta. Co oferowały pozostałe piekarnie? Tanie podróbki bazujące na mrożonkach, a u nich będzie się unosić w powietrzu tyle prawdziwego masła, że klienci bez trudu wizualnie posmarują nim chleb, to znaczy croissanty.

– Idę, już idę! – krzyknął i, plaskając bosymi stopami po betonie, zbiegł po schodach.

Brat o mało nie stratował go w otwartych drzwiach. Z wykrzywioną złością twarzą wbiegł do salonu. Valentijn, nie zwracając na niego uwagi, poczłapał do kuchni.

– Napijesz się kawy? Zaraz zaparzę – rzucił i, ziewając przeraźliwie, sięgnął do szafki po filtry.

– W dupę sobie wsadź swoją kawę! – wrzasnął Romeo. – Zachowujesz się skandalicznie! Co się z tobą dzieje?

– Nie histeryzuj. – Wzruszył ramionami. – Miałem ci powiedzieć o tym maśle...

– O jakim, kuźwa, maśle? O Ninie mówię! Palilem się ze wstydu jak pochodnia!

Valentijn zdębiał. Szklany słoć wypełniony aromatycznymi ziarnami Douwe Egberts wysunął się z jego rąk i z traskiem rozbił na białych kuchennych kaflach. Spod stóp starszego z braci prysnęła malownicza fontanna kawowych ziarenek. Valentijn zmełł pod nosem wiązanekę brzydkich słów.

– Gdybym nie znał cię od dnia twoich narodzin, pomyślałbym, że postradałeś rozum. Chyba nie chodzi ci o tę bezczelną dziewuchę, panoszącą się na Walstraat? – syknął i ze złością spojrzął na szklano-kawowe pobojuwisko. – I w dodatku jest bez honoru. Już zdążyła się poskarżyć? Za grosz klasy!

– Za to ty jesteś okazem dżentelmena – parsknął Romeo. – Nina przyszła do sklepu uregulować rachunek za pieczywo, które podrzuciłem jej rano w geście przyjaźni. Nawet złego słowa o tobie nie powiedziała, baranie! To nasza praktykantka Jelke cię wydała. Przechodziła obok chokolaterii Emmy i widziała, jak pastwiłeś się tam nad Niną jak ostatni cham, wyrzucając jej, że, sam nie wierzę w to, co mówię, NAS OKRADA!

„Ta pipa Jelke może już pakować manatki!” – zeźlił się w duchu Valentijn i już otworzył usta, ale Romeo był pierwszy.

– Dlaczego ty jej tak nie lubisz? – Brat patrzył na niego z takim wyrzutem, jakby zrobił mu jakąś wielką krzywdę. – Gdzie twoja sławetna otwartość Jeurissenów? Nawet nie znasz Niny!

– Podobnie jak ty! – odgryzł się Valentijn. – Nie rozumiem, dlaczego uważasz ją za taką wyjątkową? Na moje oko wcale nie jest święta. Nigdy wcześniej jej tutaj nie widzieliśmy. Jak mogła zostawić w potrzebie chorą ciotkę i nawet się nie zainteresować, jak ona sobie radzi? Dopiero gdy przyszło do otwarcia testamentu, przypomniała sobie o łączących je więzach i w te pędy zjawiała w Deventer?!

Valentijn postąpił krok w tył i syknął rozdzierająco. Spory odłamek szkła wbił mu się boleśnie w piętę. Ze złością szarpnął za wiszący na haku kuchenny ręcznik i prowizorycznie

obwiązał sobie stopę. Obrzucił złym spojrzeniem brata i, kuśtykając, przemieścił się w kierunku stojącej w otwartym salonie designerskiej kanapy.

– Nie znasz szczegółów tej historii. – Romeo podążał krok w krok za bratem. – Łatwo jest ferować wyroki na podstawie szczątkowych informacji.

– Stary... zostawmy to! – jęknął Valentijn. – Od pół godziny trujesz mi o jakiejś OBCEJ babie. Ja naprawdę nie mam ani czasu, ani ochoty na takie rozmowy. Dla mnie najważniejszy jest biznes. Jeżeli tak bardzo ci zależy, jeszcze dziś wyślę jej całą torbę croissantów. Gratis! A teraz błagam, zrób mi kawę. Z tego wszystkiego zapomniałem włączyć ekspres.

[5] hol. Jeurissen, kurwa, otwieraj, teraz!

Zacznijmy od pudełka czekoladek



– Jak to zostajesz w Holandii?! Na długo?! Spadek?! Sklep?! Czekolada?! – wykrzykiwali raz po raz Kostrzewscy, z przewagą wątpliwości, a jakże inaczej, Witolda.

Nina nie spodziewała się, że rodzice przyjmą jej decyzję z zimną krwią, ale nie przypuszczała też, że zareagują z paniką, jakby wybierała się co najmniej na drugą półkulę. Najwyższy czas poluzować trochę pępowinę! A najlepiej (najzdrowiej) całkowicie ją odciąć.

Po długiej i merytorycznej rozmowie z notariuszem Emmy utwierdziła się w przekonaniu, że podjęcie wyzwania prowadzenia Malinowej Bombonierki nie jest w żadnym przypadku przedsięwzięciem ponad jej siły, tak jak na początku myślała. Rok... Phi, czymże jest rok w obliczu wieczności. Czas minie jak z bicza strzelił i ani się obejrzy, a będzie musiała pakować walizki i wracać do domu. Poza tym, jeżeli rozwinie czekoladowy biznes, wartość kamienicy znacznie wzrośnie. I to tylko od niej samej i jej kreatywności zależy, czy będzie to znacząca kwota.

– Mamo, tato, moja decyzja jest przemyślana i ostateczna – zakomunikowała twardo Nina.
– Dam radę. Nie jestem sama. Emma zatrudniała trzy pracownice, poza tym mam jeszcze Larsa i Evelien. We wszystkim mi pomogą. Mam do was tylko jedną prośbę... Czy moglibyście przesłać kurierem trochę moich ubrań? Dżinsy, kilka bluz, ze trzy sukienki i te czerwone trampki. Mamo, błagam, tylko nie zapomnij o trampkach.

Po drugiej stronie słuchawki rozległo się przeciągłe westchnienie. A raczej dwa westchnienia.

– Dobrze, Ninko, nadam paczkę kurierską. Ale może przemyśl to wszystko raz jeszcze?

Nina obiecała się zastanowić, a kiedy się rozłączyła, roześmiała się i rozejrzała po swoim nowym domu czy raczej po wyszorowanej na błysk kuchni, pełnej nieznanymi jej sprzętów do produkcji bombonierek. Od jutra wraz z dziewczynami zamierzała zakasać rękawy i w końcu wziąć się do roboty. W szkicowniku, który kupiła w sklepiku z prasą przy placu de Brink, rozpisała już wstępne plany dotyczące jej nowego (Boże, jak to cudownie brzmiało!) zagranicznego biznesu. Oby poszczęściło się jej bardziej niż z księgarnią Między Bookami.

Nina od tej pory wszelkie plany dotyczące Bombonierki musiała konsultować z van Haasterenem. Notariusz zajął się wszystkimi kwestiami formalnymi dotyczącymi kamienicy. Emma ustanowiła specjalny fundusz inwestycyjny, który pozwalał na pokrycie kosztów ewentualnego drobnego remontu, zmiany wystroju wnętrza lub zatrudnienia dodatkowego personelu.

W sprawach nowego asortymentu i receptur ostateczne zdanie należało do Evelien. Jej dotychczasowa rola w Bombonierce nadal nie była dla Niny do końca jasna. Wszystko wskazywało na to, że Evelien funkcjonowała w biznesie i w życiu prywatnym ciotki jako jej prawa ręka, asystentka, doradczyni i opiekunka w jednym. Wiedziała wszystko na temat każdego dokumentu w teczkach na biurku swojej chlebodawczyni, orientowała się, gdzie Emma trzyma umowy z kontrahentami i dostawcami, ba, umiała nawet powiedzieć, w której szafie wiszą jeszcze stare sukienki ciotki, przywiezione przed laty z Polski. Dla Niny Holenderka stanowiła informacyjną żyłę złota. Albo lepiej – latarnię wskazującą kierunek w deventerskich ciemnościach nowej rzeczywistości, której musiała się nauczyć.



– Opowiedz mi o cioci... Jaka była? Długo się znałyście? – zapytała Nina pewnego wieczoru, kiedy segregowały zaległą korespondencję.

Evelien długo milczała, tak jakby ważyła w myślach słowa.

– Poznałyśmy się w bardzo trudnym okresie mojego życia – zaczęła w końcu. – Właśnie rozstałam się z mężem. Mieszkaliśmy niedaleko Amsterdamu. Pracowałam tam w fabryce czekolady, jako kontrolerka jakości. Po rozwodzie nie chciałam zostać w stolicy. Pochodziłam stąd, ze wschodu kraju. Wróciłam więc, jak to się mówi, na stare śmieci. Pamiętam, że chwilę po przyjeździe siedziałam na dworcu w Deventer, z walizką pełną ubrań i z gigantycznym pudłem czekoladek, które sprezentowali mi na pożegnanie koledzy z pracy. Wstydziłam się pójść do domu rodziców, ale nie miałam innego wyjścia. Usiadłam na ławce, z bagażem pod

nogami i z bombonierką na podółku. Otworzyłam opakowanie, a lzy ciekły mi ciurkiem na błyszczące w świetle dworcowych latarni czekoladki...



– Co się stało? Czy mogę pani w czymś pomóc? – Nagle tuż obok mnie usiadła przepiękna szczuplutka kobieta z płowymi włosami związanymi na karku w kok. – Dlaczego pani płacze?

– Moje życie właśnie dobiegło końca – powiedziałam i rozszlochałam się jeszcze bardziej. – Jestem sama, bez dachu nad głową i oprócz kilku sukienek nie mam kompletnie nic.

– Bzdura! – zaprotestowała nieznajoma i wskazała drobną dłonią nieszczęsne pudełko czekoladek. – Masz jeszcze bombonierkę. To van Houten, nieprawdaż? Wiesz, mnie też czekolada uratowała życie... – dodała tajemniczo. – Mogę?

Sięgnęła po jedną z pralinek, otoczoną orzechową posypką. Kiedy włożyła ją do ust, przymknęła oczy, a na jej pięknej twarzy pojawił się wyraz błogości i szczęścia. Miała taki piękny, szczery uśmiech. Ty śmiejesz się tak samo, Nino...

Po kilku dniach spotkałyśmy się znowu. Emma opowiedziała mi, że marzy o otwarciu własnej cukierni. Podobno przed przyjazdem do Holandii była w zakonie. To tam nauczyła się piec torty i ciasta. A także robić czekoladowe karmelki, które siostry produkowały domowym sposobem, zbierając fundusze na cele charytatywne. Emma po przeprowadzce do Holandii od razu zapisała się do szkoły kulinarnej. Jej marzeniem było zdobycie tytułu *Master Chocolatier*.

– Czekolada daje ludziom szczęście, Evelien – mawiała. – A ja lubię, kiedy ludzie są szczęśliwi. Lubię ich karmić i patrzeć, jak przymykają z lubością oczy, jak ocierają koniuszkiem palców lepkie od słodyczy usta, jak na ich twarzach pojawiają się figlarne miny niepoprawnych łasuchów... Czekolada jest jak dzieciństwo. Jak beztroska letniego popołudnia. Jak poczucie bezpieczeństwa. To słodycz, której przez tyle lat tak bardzo mi brakowało.



Evelien westchnęła, a potem spojrzała uważnie wprost na Ninę. Jej oczy pociemniały.

– Julian od początku sprzeciwiał się, żeby jego żona pracowała..

– Julian? – Nina zerknęła pytająco. – To jej mąż, prawda?

Evelin pokiwała głową. Znowu się zamyśliła. Chyba nie chciała o nim mówić. Przez jej twarz przemknął niezauważalny cień.

– Minęło kilka dobrych lat, zanim Emma przyznała, że już w momencie, gdy zobaczyła mnie na stacji z tym pudłem czekoladek, wiedziała, że będziemy nierozłączne. Uznała pralinki i łyzy za dobry znak. Przeznaczenie. Wierzyła w takie rzeczy. Pod tym względem była staroświecko zabobonna.

– Moja matka też taka jest – wyznała cicho Nina. – Cały czas jest przekonana, że zabicie lustra przynosi pecha.

– *Een spiegel breken zou zeven jaar ongeluk betekenen*^[6]. – Evelien się roześmiała, ale jej oczy pozostały smutne.

– Co było dalej? – zapytała Nina i poprawiła się na kanapie, podciągając pod siebie stopy.

– Emma zaprowadziła mnie na Walstraat i wtedy po raz pierwszy zobaczyłam malinową kamienicę. W tym czasie tutaj, na parterze, znajdowała się pasmanteria. Budynek należał do wiekowej matrony, wdowy po znanym w okolicy prawniku. „Eve – wtedy nazwała mnie tak po raz pierwszy – za jakiś czas ta kamienica będzie moja. I to właśnie tutaj otworzę swoją chokolaterię. Będzie się nazywała Malinowa Bombonierka. Obiecuj, że mi pomożesz. Przecież tak samo jak ja kochasz ludzi i... czekoladę” – Evelien urwała.

– Mów dalej! – zaprotestowała Nina.

– Na dziś wystarczy – odparła zdecydowanie Evelien. – Czeka nas jeszcze mnóstwo pracy. I nadal nie rozumiem, dlaczego gnieździsz się w tej klitce.

Pomimo namów Evelien, żeby Nina przeniosła się do obszerniejszej i wygodniejszej sypialni Emmy, panna Kostrzewska zdecydowała się pozostać w pokoiku gościnnym. Zdążyła się już do niego przyzwyczać, poza tym, choć brzmiało to irracjonalnie, obawiała się trochę nocowania w łóżku ciotki. A co, jeżeli Emma właśnie tam dokonała żywota? Wstydziła się o to pytać Evelien w obawie, że ta uzna ją za wariatkę. Co miała jej powiedzieć? Że wierzy w duchy?

Poza sypialnią i pokojem gościnnym na piętrze znajdowała się kuchenka i niewielki salonik z przepiękną panoramiczną szybą wychodzącą na zarośnięty ogród na tyłach kamienicy. Pokój umeblowano wręcz ascetycznie. Oprócz stylowej komody, wygodnej kanapy i stolika kawowego stał tu jeszcze przedpotopowy telewizor, który z pewnością pamiętał czasy przed narodzinami Niny. W końcu łączącego pokoje ciemnego korytarzyka stała wiekowa szafa zamknięta na klucz. Łazienka była tak mała, że z trudem mieściła kabinę przysznicową, sedes i umywalkę dla krasnoludków. Nina ze zdumieniem zauważyła, że w suficie widnieje drewniana kłapa ze zwisającym ze środka sznurkiem. Przez chwilę korciło ją, żeby za niego

pociągnąć, ale w końcu rozsądek zwyciężył nad ciekawością. Następnym razem zapyta Evelien, co to za ustrojstwo.

Ech, w kolejce czekało jeszcze tak wiele pytań... Ale po cóż się śpieszyć. Na poznanie historii życia Emmy miała przecież cały rok.

[6] hol. przysł. Zbicie lustra przynosi siedem lat pecha.

ROZDZIAŁ 24

Za późno na żal



W salonie państwa Kostrzewskich rozbrzmiewała cicho muzyka. Witold zwykle po kolacji kładł jedną z ulubionych płyt winylowych na talerzu starego gramofonu i z pietyzmem, tak aby nie uszkodzić delikatnej powierzchni krążka, nastawiał igłę. Dzisiaj w repertuarze królowali Bach i Debussy. Pan domu miał słabość do muzyki klasycznej. Niczym najlepsza pigułka na stres uspokajała emocje i łagodziła nerwy. A od kiedy krnąbrna córeczka wyjechała samopas do Holandii, smutków w domu przy Parkowej nie brakowało.

– Witoldzie, czy mógłbyś trochę przyciszyć te deprymujące dźwięki? – Spod okna z rozłożystego fotela w czerwone róże rozległ się głos Aurelii.

Już od kilku dni narzekała na migrenę, Kostrzewski musiał więc chodzić wokół małżonki na paluszkach. Zwykle bywało na odwrót.

– Dalej boli? – zapytał z troską i przykręcił głośność.

Podszedł do Aurelii i położył dużą ciepłą dłoń na jej głowie. Drobne czułości nie były w rodzinie Kostrzewskich stałym elementem codzienności, ale w wyjątkowych wypadkach nawet nieskory do wylewności i cikliwych gestów Witold potrafił się przełamać.

– Nie możesz tak się zamartwiać, kochanie. Nina sobie poradzi... – dodał Witold i przysiadł na oparciu fotela.

Kostrzewska potrząsnęła głową. Ufryzowane starannie jasne loki (migrena migreną, ale włosy musiały być ułożone!) rozsypały się na jej ramionach.

– Tym razem nie chodzi o Ninę... Brak mi Emilii – wyznała Aurelia. – Nie mogę uwierzyć, że jej już nie ma. Nie umiem, nie potrafię przepracować jej śmierci.

– Rozumiem, choć właściwie nie do końca... – uczciwie przyznał Witold. – Nie widziałyście się przecież całe lata. Według twoich relacji to Emilia odmawiała kontaktu.

– I dlatego uważasz, że przez to mniej ją kochałam? – obruszyła się Kostrzewska. – Przez cały czas pisałam do niej listy. Mało tego, ja nadal to robię... – Głos Aurelii załamał się nieco. – Pomimo że nigdy nie odpowiedziała na żadną moją wiadomość... Nie, przepraszam – zreflektowała się błyskawicznie. – Odpisała, ten jeden jedyny raz, kiedy poprosiła mnie o stare babcine przepisy na ciasta.

– I o naszą córkę – trzeźwo podsumował Witold. – Ładnie to sobie obmyśliła. Ty naprawdę nie wiedziałas, że ona prowadziła w Holandii ten sklep z czekoladą?

– Nie miałam o tym pojęcia – przyznała Aurelia. – Choć ta prośba o receptury wydała mi się dziwna, nie przypuszczałam, że kryje się za tym taka zagadka. A właściwie jej rozwiązanie.

– Żadna zagadka. – Jej pragmatyczny mąż wzruszył ramionami. – Po prostu twoja siostra bez żadnej konsultacji z nami próbowała znaleźć sobie na stare lata pomocnicę.

Aurelia obrzuciła męża złym spojrzeniem.

– Emilia spadła nam z nieba – obruszyła się. – Gdyby nie ona, kto wie, czy Nina nie wylądowałaby na kozetce u psychiatry. Dlatego proszę cię o zaprzestanie szkalowania jej dobrego imienia. Tym bardziej że mówimy o zmarłej. Poza tym zostawiła Ninie spadek. Twoja niewdzięczność jest rażąca!

– Spadek! Patykiem na wodzie pisany i obwarowany dziwnymi warunkami! – Kostrzewski przewrócił oczami. – Dobrze, dobrze, nie nakręcaj się tak. Już nic nie mówię. Może w końcu mi zdradzisz, dlaczego Emilia tak się na ciebie obraziła? Rozumiem kilkudniowe dąsy, ale ponad ćwierć wieku? Coś ty jej tak naprawdę zrobiła?

– To dawne dzieje, Witku... Grzebanie w starych ranach już nic nie zmieni, nawet jeżeli bardzo bym chciała – wywinęła się od odpowiedzi Aurelia. – Boli mnie tylko jedno... Dlaczego Emilia nawet słówkiem nie pisnęła, że jest śmiertelnie chora? Przecież mogliśmy jej pomóc, wesprzeć... – Ukryła twarz w dłoniach. Pomiędzy jej długimi palcami zaczęły spływać łzy.

Witold poczuł się bezradny. Jak zawsze, kiedy któraś z bliskich mu kobiet płakała. W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi. Kostrzewski zerknął zdziwiony w stronę wejścia. Nie spodziewali się dzisiaj już żadnej wizyty.

Aurelia wyciągnęła z kieszeni chustkę i szybko wydmuchała nos.

– Otwórz, proszę – jęknęła. – Mam nadzieję, że to nie Eugenia. Wymyśl coś, nie wiem, powiedz, że mam migrenę. Naprawdę nie mam nastroju na jej paplaninę.

Kostrzewski wstał z fotela, obciągnął koszulę i westchnął rozdzierająco. Odprawienie jego siostry wydawało się trudniejsze niż ujarzmienie dzikiego zwierza. W drodze do wyjścia próbował naprędce wymyślić jakąś historyjkę, która w bezkrwawy sposób zmusi Eugenię do odwrotu, ale każda wymówka nawet jemu wydawała się mało wiarygodna. W końcu postanowił pójść na żywioł.

– Eugenio, jak to miło, ale... – zaczął Witold, chwycił za klamkę i zamarł.

W wejściu stała młoda dziewczyna. Miała na sobie niemiłosiernie wygniecioną sukienkę i białe trampki. Witold początkowo nie mógł dopasować jej osoby do żadnego nazwiska, choć wydawała mu się znajoma. Dziewczyna, a właściwie kobieta, widząc konsternację na jego twarzy, pośpieszyła z wyjaśnieniami.

– Nazywam się Marianna Łagiewska – powiedziała cicho i szybko obejrzała się za siebie.

– Proszę, niech pani wejdzie. – Witold usunął się na bok i uczynił ręką zapraszający gest. Nadal nie wiedział, kim jest tajemnicza Marianna.

– Nie, to nie jest konieczne – zaprotestowała gwałtownie przybyszka. – Gdyby... Nina mogła na chwilę... Nie chciałam dzwonić, wolałam przyjść i osobiście się z nią rozmówić. Nie wiem, czy pan pamięta, ale prowadziłyśmy razem księgarnię. Byłam... jestem jej przyjaciółką. Trochę się ostatnio pokłóciłyśmy, ale nadal jesteśmy sobie bardzo bliskie... – Marianna urwała i przełknęła głośno ślinę. Wyglądała na wystraszoną.

W głowie Witolda nagle rozbłysło światło! Oczywiście! Jak mógł nie poznać współniczki swojej córki? Co prawda nie widywali się często, ale Nina dużo o niej opowiadała. Zdecydowanie musi zacząć przyjmować preparaty pomagające zachować lepszą pamięć i koncentrację! Nawet się nie spostrzegł, gdy dopadły go dolegliwości wieku... hm... starczego?

– Czy mogę z nią porozmawiać?

Cichy głos wdarł się w geriatryczne myśli Witolda. Zreflektował się w mig i zamachał gwałtownie.

– Niestety to niemożliwe – odrzekł twardo i nagle ogarnęły go dziwne podejrzenia.

Po co ta dziewczyna tutaj przyszła? Skoro się rozstały, i to – jak sama powiedziała – w niezbyt przyjaznych okolicznościach, lepiej będzie, jeżeli zostawi jego córkę w spokoju. Kto wie, czego od niej chciała. Nie daj Boże zaraz zażąda, żeby reaktywowały ponownie ten skazany na porażkę książkowy biznes? Absolutnie nie mógł do tego dopuścić!

– Pani Marianno... Nie chcę być niegrzeczny – zaczął wolno, wymawiając dobitnie każde słowo – ale skoro nawet nie wie pani, że Nina wyjechała do Holandii, to chyba już dawno nie

jesteście ze sobą tak blisko, jak pani twierdzi...

Marianna drgnęła. Wyglądała, jakby się czegoś bała.

– Do Holandii? Kiedy? – wyjąkała. – Może... mogłabym się z nią skontaktować telefonicznie?

– Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby pani tego nie robiła. – Witold ściszył głos, zerknął w głąb domu, po czym wyszedł na zewnątrz i starannie zamknął za sobą drzwi. – Proszę zostawić ją teraz w spokoju – powiedział stanowczo. – Nina z trudem pozbierała się po tej waszej... sprzeczce. – Łgał jak z nut, gdyż tak naprawdę nie miał pojęcia o żadnej kłótni, ale głęboko wierzył, że istnieje coś takiego jak święte kłamstwo dla dobra bliskiej osoby.

– Ale... ja tylko chciałam... – zaczęła niepewnie Marianna.

Witold zgromił ją wzrokiem.

– Nie obchodzi mnie, co pani chciała. Jeżeli naprawdę pani na niej zależy, proszę jej dać rozwinąć skrzydła. Nie ma żadnej potrzeby, żeby dla własnego egoistycznego widzimisię burzyć spokój mojej córki. Nina zaczyna właśnie nowy biznes i proszę jej kibicować. Najlepiej z daleka – pouczył. – Jeżeli będzie chciała, sama się do pani odezwie. Mam nadzieję, że wyraziłem się wystarczająco jasno?

Rękawy zakasane, pora do pracy!



Nina już dawno tak się nie napracowała. Bolały ją wszystkie mięśnie, łącznie z tymi, o których istnieniu nie miała do tej pory zielonego pojęcia. Bezlitosne dziewczyny cioci Emmy już od kilku dni przepuszczały ją przez prawdziwą czekoladową wyżymaczkę.

– Żeby pokochać Malinową Bombonierkę, tak naprawdę, całym sercem, musisz od podszewki poznać tajniki tej roboty! – zakomunikowała Isa Hoes, czyli zadziorny „Paluszek”, mieszając z werwą, godną Herkulesa, w srebrnym zbiorniku z gęstą czekoladową masą.

Tuż obok niej stały z poważnymi minami „Kuleczka”, czyli Kristen Dekkers, i „Eklerka” – Nora Mol. Wszystkie, łącznie z Niną, ubrane były w białe płócienne fartuchy i zabawne czepki na schludnie przyczesanych włosach. Nina śmiała się do rozpuku, przymierzając rano przed lustrem staroświeckie nakrycie głowy. Przypominała jak żyw Eugenię, która wzorem prababek nakładała takie ustrojstwo przed pójściem do łóżka, po to, jak twierdziła, żeby chronić włosy przed szkodliwym dla ich kondycji pocieraniem o poduszkę.

– Najważniejsze, oczywiście oprócz jakości składników, są dobre formy. – Nora, mówiąc to, podniosła przezroczystą blaszkę z wgłębieniami, na których dnie widniały fikuśne zawijasy. – To foremki poliwęglanowe. Dzięki nim pralinki mają piękny połysk.

– I bardzo łatwo się je czyści! – pisnęła praktyczna Isa. – Musimy je zawsze bardzo dokładnie wycierać. I uważać, żeby nie pozostawić w zagłębieniach nawet najmniejszej kropelki wody ani żadnych odcisków palców.

– Dokładnie tak samo jak na miejscu zbrodni – zażartowała Nina, ale dziewczyny zgromiły ją wzrokiem. – No dobra, dobra, już nic nie mówię! – Pokajała się i przybrała poważną minę. –

Dlaczego to wycieranie do sucha jest tak ważne? – Spojrzała na Isę wzrokiem bardzo pilnej uczennicy.

– Nawet najmniejszy ślad wilgoci spowoduje matowe plamy na czekoladzie, a nawet, nie daj Boże, nalot cukrowy!

Nina z powątpiewaniem pokręciła głową. Czuła, że ilość informacji, które musiała przyswoić, po prostu ją przytłacza. Jej entuzjazm chyba był nieco przedwczesny. Nigdy nie pojmie sztuki produkcji bombonierek! A już na pewno nie w dwanaście miesięcy!

– Czekolada wymaga pokory. Uczucia. Delikatności... – Kristen błyskawicznie dostrzegła niepewność w oczach Niny. – Uczy cierpliwości i nagradza pięknem. Tak jak życie... Nie można się tutaj śpieszyć. Trzeba starannie mierzyć swój czas, tak mawiała twoja ciocia. Nie patrz z takim przerażeniem, Nino. My jeszcze nie tak dawno byliśmy tak samo zielone jak ty. Emma nam wszystko wyjaśniła i pokazała. Ty też się nauczysz. We wszystkim ci pomożemy. Nie bój się. Po prostu patrz. I słuchaj.

– Teraz przez chwilę podgrzewamy foremki opalarką. – Isa przesuwiała nad przezroczystą blaszką urządzenie przypominające nowoczesną suszarkę do włosów. – Nie za długo, gdyż ich temperatura musi być nieco niższa niż temperatura czekolady. Dzięki temu na bombonierkach nie powstaną plamy ani zszarzenia.

– Teraz zamieszaj delikatnie masę szpatułką i wlej ją do foremek. Tutaj masz specjalną chochelkę – poleciła Kristen.

Nina posłusznie chwyciła za chochlę. Delikatnie zanurzyła ją w gęstej aromatycznej masie. Czekolada miała intensywny lśniący kolor i idealnie gładką konsystencję.

– Trzymaj formę pod kątem, żeby dokładnie wypełnić wszystkie zagłębienia, aż po brzegi. – Isa delikatnie skorygowała stopień nachylenia ramienia Niny. – I nie martw się, że czekolada spływa na blat. Nie bój się jej, Nino. Nie wolno się bać. Musisz mieć w sobie spokój. I stanowczość.

To była jedyna rada, którą Nina w tym dniu zdołała zapamiętać. Reszta rozmyła się w natłoku nowości, które z cierpliwością godną zastępu aniołów próbowały przybliżyć jej dziewczyny. Zapisywała wszystko skrupulatnie, ale pomimo że naprawdę się starała, pod koniec pracy nie pamiętała już, co to konszowanie, a co temperowanie. Dotychczas zdarzało się jej temperować wyłącznie ołówki. A to i tak niechętnie! Dobrze, że van Haasteren odciążył ją od papierologii, biurokracji i przepisów. Przynajmniej na razie to jedno miała z głowy. Jutro czekał ją kolejny trudny dzień. Dziewczyny miały dalej formować i nadziewać czekoladki, a ona wraz z Evelien zająć się sprzątaniami i czyszczeniem szklanych gablot. Nina chciała jak

najprędzej otworzyć Malinową Bombonierkę. Każdy dzień, w którym chocolateria była nieczynna, przynosił straty. A ona obiecała sobie, że zrobi wszystko, żeby Malinowa Bombonierka znowu działała pełną parą. Czuła podskórnice, że tego właśnie chciałyby Emma. I dlatego wezwała do siebie siostrzenicę.



Kiedy późnym popołudniem dziewczyny, żartując i śmiejąc się do rozpuku, rozeszły się w końcu do swoich domów, Nina z radością pobiegła na górę. Mało brakowało, a sama zamieniłaby się dziś w czekoladową figurkę. Ciężki intensywny aromat ziaren kakao, rozgniatanych przez Kristen w melanżerze, przesiąkł jej skórę i włosy. W chłodnej łazience z ulgą zrzuciła ubranie. Weszła pod gorący prysznic i, nie żałując sobie żelu o świeżym zapachu konwalii i jaśminu, obficie namydliła obolałe ramiona i plecy. Gorąca woda spływała kojącą falą po jej płaskim brzuchu i długich, szczupłych nogach. Nina w myślach planowała już kolejne ruchy jako właścicielka czekoladowego biznesu. Intensywny wysiłek fizyczny zdecydowanie dodawał energii. Jak to mawiała babcia Michalina? „Praca i najcięższy smutek rozwieje”. Tylko czy babcia tak naprawdę kiedykolwiek umiała się uśmiechać?

Nina wyteżyła pamięć. Michalina Dobrzycka jawiła się w jej wspomnieniach jako surowa i niezwykle wymagająca kobieta. Strofowała jej matkę nawet w obecności innych ludzi, nieustannie ją krytykowała i pouczała. Aurelia nigdy nie protestowała, potakiwała rodzicielce we wszystkim i pokornie zgadzała się na jej nedorzeczne niekiedy pomysły. Z biegiem lat Nina dostrzegała coraz więcej i potrafiła obiektywnie ocenić toksyczne relacje łączące dwie najbliższe jej kobiety. Nie podlegało najmniejszej wątpliwości, że jej matka dawała się sterować babci. Kiedy po jednej z rodzinnych awantur, którą jak zwykle rozpętała Michalina, Nina odważyła się w końcu zapytać matkę, dlaczego pozwala się tak traktować, Aurelia odpowiedziała wtedy wymijająco:

– Mama ma już swoje lata. Nie jest zła... jest zgorzkniała i nieszczęśliwa. Wiele przeszła... Może kiedyś to zrozumiesz, a na razie po prostu to zaakceptuj.

Teraz, z perspektywy czasu i wiedzy, którą posiadała Nina, rzeczywiście rozumiała więcej. Aurelii na pewno chodziło o Emmę. Babcia w tak głupi sposób straciła jedną z córek, ale przecież nie musiała się jej wyrzekać. Z powodu wystąpienia z zakonu? Czyż to aż taki wielki grzech? Większym byłoby przecież tkwienie w kłamstwie. Chyba że było coś, o czym Nina jeszcze nie wiedziała. W jednym musiała przyznać Emmie rację – jej siostra rzeczywiście siedziała pod pantoflem matki. Nie dziwota, że ciocia również to miała jej za złe.

Nina sięgnęła po szampon. Teraz tylko jeszcze umyje włosy i znowu będzie mogła przynieść góry. Na wieczór zaplanowała zapoznanie się z recepturami czekoladek, które od lat wytwarzała Emma. Nina chciała wprowadzić kilka nowych produktów, musiała to jednak najpierw przedyskutować z Evelien. Nie do końca wiedziała, jakie są ulubione smaki Holendrów, ale kusiło ją bardzo, żeby czymś zaskoczyć ich podniebienia. Czymś, czego nie produkowała żadna chokolateria w okolicy. Odkrywczym, nowatorskim. I miała już pomysł, co to może być.

Zakręciła kran. W łazience unosiły się kłęby gorącej pary. Dziewczyna stanęła na palcach i z trudem sięgnęła do miniaturowego lufcika nad kabiną prysznicową. Do środka wpadło przesycone zapachem deszczu powietrze. Nina z lubością przymknęła oczy, czując chłodny dotyk na rozgrzanej kąpielą skórze. W tym momencie panującą w kamienicy błogą ciszę przerwał głośny, urwany jakby w połowie dzwonek do drzwi. Nina zamarła z ręcznikiem w rękach, a jej czoło przecięła pionowa zmarszczka. Goście? Nie! Bo któż mógłby ją odwiedzić? Nikogo jeszcze nie знаła. To na pewno któraś z dziewczyn zapomniała torebki. Isa... Notorycznie gubiła swój portfel i klucze.

Nina chwyciła wiszący tuż obok lustro krótki jedwabny szlafrok i pognęła bosą na dół, gubiąc po drodze niedbale zamotany na głowie ręcznik. Długie pasma włosów skręciły się pod wpływem wilgoci w spiralki, które obramowały owal jej twarzy, pięknie podkreślając wydatne kości policzkowe.

Przed drzwiami Bombonierki, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę i dzierżąc ogromną papierową torbę, stał wysoki, barczysty mężczyzna z zamotanym na karku ciemnym kucykiem. Widząc przez szybę zbliżającą się ku niemu postać, wyprostował plecy i uśmiechnął się, unosząc nonszalancko lewy kącik ust.

– A co ty tutaj robisz? – Nina stała w progu, z trudem maskując zdziwienie. – Jeżeli przyszedłeś się na mnie wyżywać, od razu uprzedzam, że nie mam ani siły, ani ochoty na kolejny odcinek tego żenującego serialu.

– Wręcz przeciwnie. Przybywam w pokojowych zamiarach, niczym niewinny gołąbek.

Val wypełniał swoją wysportowaną sylwetką framugę szklanych drzwi. Błękit jego koszuli pięknie harmonizował z opaloną skórą. Eugenia mawiała o takich facetach, że są przystojni jak sam pan diabeł.

– Chyba pora zakopać topór wojenny, nie uważasz? – Mrugnął ciemnym okiem. – *By the way*, masz niezłe nogi. I całą resztę... No nie patrz tak na mnie! To naprawdę nie moja wina, że witasz gości, kuszając ich negliżem. Mogę wejść?

Nie czekając na odpowiedź Niny, bez pardonu władował się do środka Bombonierki.

ROZDZIAŁ 26

Plan prawie idealny



Valentijn jak ognia unikał obsługiwanie klientów. Nie miał cierpliwości do niezdecydowanych ojców rozglądających się przerażonym wzrokiem po uginających się pod ciężarem pieczywa półkach czy wiecznie śpieszących się matek z rozkrzyczaną progeniturą pod pachą, która bezpardonowo plamiła jego wypucowane gabloty tłustymi paluchami.

– Mamooo, kup mi croooissanta! Z czekoladą, mamooo! Teraaaz!

– Nie będę jadł tej bułki! Jest niedooobra! Tatooo, loooda, chcę loooda!

Od tej kakofonii dźwięków puchły mu uszy i włączał się automatycznie tryb wkurzonego tetryka, co było niezwykle kłopotliwe, zważywszy na odwieczną zasadę każdego biznesu, że klient to nasz pan. Valentijn i jego skrzywiona facjata mogły odstraszać chętnych na wypieki, a ponieważ nie umiał udawać (zdolnościami aktorskimi, nawet marnymi, również nie mógł się pochwalić), wolał trzymać się z daleka od sklepowej lady. Co innego Romeo! Jego brat dysponował anielską cierpliwością, biblijnym spokojem i niewyczerpanymi zasobami pomysłów, jak udobruchać najbardziej zatwardziałego marudę. Z błogim uśmiechem na ustach, często podśpiewując pod nosem, kręcił się pomiędzy półkami, zachwalał szeroki asortyment, wybierał, ważył, pakował, ba, nawet wiązał fikuśne wstążeczki na kartonach z ciastkami.

Dzisiaj jednak wyjątkowo Valentijn na kilka godzin musiał zastąpić brata w cukierni. Próbował intensywnie myśleć o czymś innym, nie zwracać uwagi na otoczenie i z przyklepionym uśmiechem jak automat starać się nie wystraszyć ani jednego amatora ich pulchnych i chrupiących wypieków. I oczywiście, co najważniejsze, nie pomylić niczego w zamówieniach.

Właśnie pakował do firmowej torby pięć croissantów i dwie maślane bułeczki, gdy nagle tuż zza witryny doszedł do niego skrzeczący głos należący do dyrektorowej Mies Smit. Jak ćwierkały wokół wszystkie wróble, podobno kończyła w tym roku sto lat. Zważywszy na jej doskonałą kondycję i świetną sylwetkę, wyglądała na minimum dwadzieścia lat mniej.

– Podobno Malinowa Bombonierka otwiera się już za tydzień – perorowała do stojącej obok wystrojonej w kapelusz z pawim piórkim mecenasowej Janiny Klundert. – Już się nie mogę doczekać tych ich mlecznych pomadek. A pamiętasz pistacjowe pralinki z nutką czekolady deserowej? Prawdziwa poezja smaku! Kupowałam je na kilogramy! Emma, świeć, Panie, nad jej duszą, pakowała je do lakierowanych pudełek. Dzieła sztuki, Janino, dzieła sztuki!

Staruszki weszły do cukierni, nawet na sekundę nie przerywając konwersacji.

– Słyszałam, że będą nowe smaki. I szwajcarska czekolada na gorąco! Podana w prawdziwej porcelanie, a nie w tych ohydnych jednorazowych naczyniach, jak dla robotników na budowie. – Janina wzniosła oczy ku niebu, a raczej ku ozdobionemu wentylatorami sufitowi croissanterii.

Valentijn zgrzytnął zębami i zerknął na stojące tuż za nim ułożone w piramidki plastikowe kubeczki do kakao Chocomel. Zasłonił je szybko szerokimi plecami i, uśmiechając się jak Gregory Peck, filmowy hollywoodzki amant z czasów zacnych i wiekowych pań, oznajmił słodko (prawie tak słodko jak cholerna pistacjowa pralinka z tej diabelskiej Bombonierki):

– Dla stałych klientek dokładam dwa berlinerbollen z KONFITURĄ wiśniową. I zapraszam ponownie. – Jego głos ociekał całą toną marmolady.

Dyrektorowa Mies Smit rzuciła na Valentijna karcące spojrzenie.

– Gdyby bywał pan tu częściej – zagrzmiała – wiedziałby pan, że nie jadam pączków. Ale dziękuję za nieudolne próby zatarcia tej pańskiej nadąsanej miny! I proszę pozdrowić Romea. Szkoda, naprawdę wielka szkoda, że go tu dzisiaj nie ma. Konkurencja dobrze wam robi. To najlepszy sposób na walkę o konsumenta – wypuściła ostatnią strzałę ironii Mies.

W oczach Valentijna błysnęła złość. Jak widać, panna z Polski nie zasypiała gruszek w popiele. Ale żeby podbierać mu klientów, kusząc ich porcelanowymi skorupami?! Niedoczekanie, już on jej pokaże kreatywność w biznesie! Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Zobaczmy, kto kogo wyprzedzi w tym wyścigu. On, Valentijn Jeurissen, nie da się tak łatwo zdeklasować. Teraz wystarczyło tylko przekonać Romea do ekspansywnej walki. Ale to, jak zwykle, bułka z masłem.

Od czasu, kiedy zaczęli prowadzić ten biznes we dwóch, podzielili się rolami niejako z rozpędu, automatycznie kierując się tak odmiennymi od siebie braterskimi cechami charakteru. Analityczny Valentijn ogarniał papierologię, dostawców, asortyment i receptury oraz nowe kampanie promocyjne, a otwarty i bezpośredni Romeo zajmował się kadrami, wystrojem croissanterii, bieżącymi usterkami i zamówieniami. Bywał w cukierni codziennie. Przychodził jako pierwszy i wychodził ostatni, bez zmrużenia oka akceptując, że jego brat nie cierpi siedzenia w jednym miejscu, użerania się z personelem i woli pracować na własnych zasadach. Chociaż tak naprawdę słowo „pracować” nie było tutaj odpowiednie. W tym przypadku zdecydowanie bardziej pasowało określenie DYRYGOWAĆ. Od kiedy Romeo pamiętał, Valentijn lubił przewodzić i liderować. Zawsze i wszędzie musiało być dokładnie tak, jak to sobie wymyślił. Owszem, potrafił wysłuchać zdania rozmówcy, ba, nawet mu potaknąć, ale potem i tak robił swoje. Romeo nie zamierzał zaprzeczać, że Val ma wrodzone zdolności przywódcze oraz niezły nos do biznesu, nie sprzeciwiał się dotychczas jego nawet najbardziej szalonym ideom, ale teraz, niespodziewanie chyba nawet dla samego siebie, po raz pierwszy w życiu odważył się powiedzieć „pas”.

Bracia siedzieli właśnie nad rozłożonymi papierami na wypełnionym bujną roślinnością tarasie Romeowego apartamentu. Wciśnięty pomiędzy spadziste dachy wiekowych kamienic mieścił jedynie niewielką drewnianą huśtawkę pod parasolem oraz stół i cztery krzesła ozdobione miękkimi poduszkami w szerokie pasy. Valentijn, przyzwyczajony do pustej industrialnej przestrzeni swojego mieszkania, w domu Romea dostawał klaustrofobii. Miał wrażenie, że odrapane ściany kamienic osaczają go z każdej strony i za moment przeprowadzą na niego zmasowany atak. Próbował sobie wmówić, że to dziecinada, ale paniczny lęk opierał się wszelkim rozsądnym argumentom. Valentijn dodawał więc sobie animuszu, konsumując schłodzone lokalne piwo Davo.

Braterskie zebrania organizowali co miesiąc, szczegółowo omawiając na nich ostatnie wyniki sprzedaży i prognozy na nadchodzące miesiące. Pomimo że Romeo doskonale wiedział, że brat będzie pił alkohol, zawsze, ale to zawsze stawiał na stole imbryk i fikuśne filiżanki z cieniutkiej wiedeńskiej porcelany. Te rytuały kultywowała ich matka. Romeo lubił wracać w codzienności do wspomnień i w ten właśnie sposób przywoływać je z otchłani zawodnej pamięci. Valentijn wręcz przeciwnie – nie chciał rozmawiać o tragicznie zmarłych rodzicach, bronił się nawet przed oglądaniem od czasu do czasu ich wspólnych zdjęć. Oni odeszli. Na zawsze. A jednak Romeo uparcie mu o nich przypominał.

Tak było i tym razem. Choć wyjątkowo ten jeden raz ta cholerna porcelana nie kojarzyła mu się z matką. Tym razem była to ta polska Bombonierka i jej zakusy na jego klientów! Valentijn obrzucił złym wzrokiem Bogu ducha winny imbryk i ugryzł się w język, choć korciło go, żeby rzucić solidnym przekleństwem. Zamiast tego oznajmił buńczucznie:

– Musimy rozszerzyć asortyment. Nawiązałem już kontakt z belgijskim producentem czekolady, Callebaut. Nie będziemy się bawić w żaden tempering – prychnął. – Zamówimy u nich gotowy produkt. Musimy tylko przygotować specjalne pomieszczenie do przechowywania. Z dala od światła i wilgoci.

Jak zwykle przeprowadził już solidny research.

– Pomieszczenie do przechowywania czego? O czym ty mówisz? – Romeo ze zdumieniem patrzył na brata.

– Bombonierek! Przecież mówię! – rozsierdził się Val. – Będziemy sprzedawać belgijskie czekoladki. – Nie zamierzał oczywiście informować Romea o prawdziwych powodach swojej nagłej decyzji. – Te wyroby doskonale wpasowują się w charakter naszej cukierni. Mamy croissanty z czekoladą, czekoladowe ciastka, amerykańskie brownies, to dlaczego nie pralinki? Callebaut oferuje setki wariacji na każdy temat. Od najbardziej popularnych do całkowicie nieznanym. Słyszałeś kiedyś o czekoladce o smaku bekonu?

– Nie. I nie zamierzam nawet tego próbować – błyskawicznie odparował Romeo. – Poza tym moja odpowiedź na twój genialny pomysł brzmi „nie”. Nie będziemy rozszerzać asortymentu NASZEJ croissanterii o żadne bombonierki! *Punkt!*[\[7\]](#)

– Oszalałeś? – Valentijn patrzył na brata jak na zjawę. – Od kiedy to podważasz moje decyzje biznesowe? Dotychczas akceptowałeś wszystko bez sprzeciwu. I, jak widać po analizach zysków, bardzo dobrze na tym wychodziliśmy.

– Tym razem jednak się nie zgadzam. – Romeo stanowczo pokręcił głową. – Mam do tego prawo. Uważam, że jedna chokolateria na ulicy wystarczy. Oni robią to od lat, tu, na miejscu. Mają swoich klientów, swoje receptury. Ciężko na to pracowali. Nie będę sprowadzał żadnych pralinek z Belgii. To nie fair!

Twarz Valentijna przybierała właśnie różne odcienie czerwieni. Ta ostatnia faza, szkarłatna, zdawała się najbardziej widowiskowa.

– A więc znowu kłócimy się o to samo! – warknął. – Ta dziewczyna nas w końcu rozdzieli. Nie widzisz tego? Od kiedy biznes konkurencji jest ci droższy od zawartości własnej kieszeni? Oni nie będą mieli obiekcji, żeby nas wykurzyć... – Tu ugryzł się w język. W samą porę.

– W tym świecie nie zawsze chodzi o pieniądze – postawił się Romeo. – Wiem, że trudno ci to pojąć, ale są również inne wartości. Zapomnij o Belgii i o czekoladkach. Mamy wystarczająco dużo chętnych na nasze pieczywo. Bez wydziwiania.

– Czyli blokujesz moją kreatywność, tak? Z zimną krwią? *Godverdomme!* To się doczekałem braterskiej wdzięczności!

– Nie dramatyzuj i nie bluźnij, bo to do ciebie niepodobne. Dramatyzowanie, *of course!* – Skrzywił się. – Wolę zarobić mniej, ale mieć dobre kontakty z sąsiedztwem. Uwierz mi, lepiej działać uczciwie i się uzupełniać niż kopać pod sobą dołki. Karma zawsze wraca. A teraz pozwól, że zagłębię się w końcu w te cyferki i raporty, które tutaj ze sobą ofiarnie przyniosłeś. A co do Niny, bo, jak widać, bardzo cię ten temat frapuje, to tak, nie ukrywam, podoba mi się. Jest sympatyczna, odważna, nie ma w niej zawiści. Chętnie poznam ją bliżej – ciągnął, patrząc bratu prosto w oczy. – I wiesz co, powiem więcej! Zabieram się od razu do działania! Zamierzam ją zaprosić na kolację. Muszę pytać o zgodę starszego brata czy jestem już na tyle dorosły, że mogę to zrobić bez jego wiedzy? Jak myślisz? – Uśmiechnął się drwiąco, z ironią, jak nie on.

Valentijn zmełł w ustach kolejne przekleństwo, chwycił butelkę i wypił duszkiem całe piwo. Nie spodziewał się takiej przeprawy z Romeem. Ta cholerna dziewczyna kompletnie go opętała! Teraz on, jako głowa rodzinnego biznesu, musiał jak najszybciej wymyślić jakieś sensowne rozwiązanie. Nie mógł przecież wyznać bratu prawdy o cholernych filizankach. Ten jeszcze gotów go posądzić o zazdrość. Porcelana, psia krew! Dobrali się jak w korcu maku!



Nazajutrz, po nieprzespanej nocy i analizie tysiąca prawdopodobnych i całkiem niedorzecznych scenariuszy, Valentijn w końcu wpadł na niezły, zdawałoby się, pomysł. Musiał tylko na chwilę wpaść do croissanterii po słodki wabik.

Podśpiewując pod nosem, przywdział białą koszulę z egipskiej bawełny, niemiłosiernie powycierane džinsy i zamszowe mokasyny. Wilgotne nieco po porannym prysznicu włosy związał w zadziorną kitkę. A, moment, zapomniałby o najważniejszym – kilka kropel Acqua di Gio Armaniego na rozgrzaną gorącą wodą skórę. Przez ułamek sekundy zerknął na swoje odbicie w lustrze. Patrzył na twarz swojego ojca. Intensywnie zielone tęczęwki, drobne zmarszczki w kąciakach oczu, a nawet włosy czesał tak samo. Tylko że u niego czarne kosmyki przeplatały srebrne pasma...

Valentijn zacisnął powieki. Najchętniej walnąłby pięścią w sam środek szklanej tafli, ale holenderski pragmatyzm powstrzymał go przed niszczeniem czegoś, za co zapłacił kilkaset euro. Poza tym nie chciałoby mu się potem sprzątać. Poczł nagłą irytację, którą już tylko milimetry dzieliły od prawdziwej złości. W życiu nie pozwoli na to, żeby ktokolwiek kiedykolwiek zagroził jego cukierni. Nawet jeżeli miałby się o to kłócić z Romeem do końca świata. Kochał brata nad życie, ale – z całym szacunkiem dla ich więzi – to on lepiej wiedział, co jest dobre dla wspólnego biznesu. I na pewno nie była to ta przemądrzała dziewczucha. Ale nie należało jej ignorować. Niedocenianie przeciwnika to największy błąd w dziejach ludzkości.

[\[7\]](#) hol. kropka

Tyranozaur w składzie porcelany



– Nadal nie rozumiem, co tutaj robisz? – Nina, popatrując spod byka na starszego z braci Jeurissenów, ciasniej zawiązała pasek kusego szlafroka.

Valentijn mrugnął do niej i wyciągnął przed siebie wypełnioną po brzegi papierową torbę. Dobywał się z niej zniewalający zapach świeżego pieczywa i truskawek.

– Chyba ostatnio... niezbyt elegancko się zachowałem – powiedział i uśmiechnął się po swojemu, czyli unosząc lekko lewy kącik ust. – Proszę, bierz. Wszystko dla ciebie. Nie żałowałem niczego.

– Ach, czyli to pieczywo pod hasłem „kajanie się gburą” – parsknęła Nina. – Tylko niestety bez najważniejszego i najtańszego dodatku w pakiecie... Słowa PRZEPRASZAM.

– Moje croissanty wystarczą za wszystkie „przepraszam” świata! Ale jeżeli aż tak BARDZO ci zależy, to OK. Sorry. Zachowałem się jak ostatni cham. Troglodyta czy cokolwiek chcesz. O, tyranozaur! Brzmi wystarczająco brzydko. Tak jak mój haniebny postępek... *By the way*, czy myśmy się już sobie oficjalnie przedstawili?

Nina potrząsnęła przecząco głową i skonsternowana przestąpiła z nogi na nogę. Nie wiedziała, czy Valentijn żartował, czy mówił poważnie, ale zdecydowała się na wersję numer dwa. Może rzeczywiście warto puścić w niepamięć ten fatalny początek ich znajomości i zacząć wszystko od nowa? W końcu była skazana na jego sąsiedzko-biznesowe towarzystwo przez cały rok. Fajnie byłoby wymieniać się doświadczeniami i wypić od czasu do czasu kieliszek wina w knajpie na placu de Brink.

A tymczasem Valentijn w duchu zacierał rączki. Czytał z jej twarzy jak z otwartej książki. Rybka połknęła przynętę. Roześmiał się i rozluźnił w końcu napięte mięśnie karku.

– Jestem Valentijn – rzucił i zerknął ponad jej ramieniem na rozstawione w pomieszczeniu sklepowym drabiny. – Możesz mi mówić „Val” – dodał łaskawie. – Ale nigdy Vaaltje. Nie cierpię tego zdrobnienia! Jest typowo holenderskie. – Przewrócił oczami, tak że było widać same białka.

– A ja Nina. Po holendersku... Ninaatje? – Przymknęła łobuzersko powiekę.

Valentijn spojrział na nią z uznaniem. Trzeba jej było przyznać – miała niezły refleks.

– Robisz remont?

Zaplanowana na początek część artystyczno-pojednawcza już się skończyła, bez żadnych oporów wyminął więc Ninę i, schylając się pod rozwieszoną w progu foliową płachtą, wszedł do sklepu. Pomimo że wszędzie stały puszki z farbą, pojemniki z pędzłami, rolki tapety i drobne przedmioty w plastikowych skrzynkach, panował tu przemyślany rozgardiasz. Panna Bombonierka lubiła, jak widać, planowane szaleństwa.

– Chciałam trochę odświeżyć ściany i wprowadzić kilka zmian – ożywiła się Nina. – Wnętrze zostanie śnieżnobiałe, tak samo ubrania pracowników, ale wprowadzę tutaj także elementy błękitu i malinowej czerwieni. W końcu moja chocolateria ma ten kolor w swojej nazwie.

Valentijn skrzywił się nieznacznie, ale w mig zamaskował grymas szerokim uśmiechem.

– Skąd pomysł na błękit? – zapytał i podszedł do zabezpieczonej folią potężnej gabloty. Mogła pomieścić całą tonę najwymyślniejszych czekoladek.

Nina bez słowa nachyliła się nad jedną ze skrzynek i wyjęła z niej okrągły szary pakunek. Rozchyliła nieco papier, a potem delikatnie, niemal niezauważalnie pogładziła opuszką palca coś, co znajdowało się w środku. Valentijn z ciekawością wyciągnął szyję. Dostrzegł fragment pokrytej rysunkami błękitnej porcelany.

– To najbardziej znana holenderska ceramika z Delft. Mówimy na nią *delfty*. Pokaż ten talerz. – Sięgnął w kierunku jej rąk.

Miała delikatne, gładkie palce. Przez ułamek sekundy miał ochotę zacisnąć je lekko w swojej dłoni. Zamiast tego rozerwał do końca papier i odwrócił talerz spodem do góry.

– Popatrz tutaj. Widzisz tę sygnaturę? – Valentijn ściągnął brwi i przygryzł nieco wargę. Robił tak zawsze, kiedy intensywnie się nad czymś zastanawiał. – Układa się w napis *RAAM. Handgemaakt*. Oznacza to, że ten talerz wyprodukowano w Arnhem. Wszystko jest ręcznie malowane. Ta fabryka już niestety nie istnieje. To prawdziwy kolekcjonerski rarytas. Skąd go masz, jeżeli można wiedzieć? – Spojrzął na Ninę z nieudawanym zainteresowaniem.

– Evelien zabrała mnie na targ staroci – odpowiedziała otwarcie. – Tutaj niedaleko. Podobno w każdy piątek można znaleźć tam takie perełki. Kupiłam jeszcze wazon i kilka porcelanowych wiatraków. Stąd ten pomysł na błękit. Jestem zakochana w tym kolorze – przyznała. – Tylko obawiam się, czy nie będzie się gryzł z maliną.

– Zależy, jakich użyjesz odcieni. – Wzruszył ramionami. – Jeżeli postawisz na błękit z Delft, czerwone dodatki muszą być zbliżone do pomarańcza. Ponieważ ten niebieski jest żywy, malinowy również taki musi być. Co innego, gdy kolory są przydymione...

Nina patrzyła na niego z zaskoczeniem przemieszonym z rozbawieniem.

– Skąd ty to wszystko wiesz?! – wykrzyknęła. – Myślałam, że jesteś znawcą ciastek i croissantów, a z ciebie prawdziwa alfa i omega.

Valentijn, słysząc komplement, łypnął na nią podejrzliwie, ale Nina mówiła serio. Na jej twarzy nie widniał nawet ślad ironii.

– Moja matka lubowała się w tych tematach – rzucił lekko. – Była projektantką wnętrz. Stąd te *delfty* i kolory. Lubilem słuchać, jak opowiadała o swojej pasji.

Nagle poczuł rozdrażnienie. Ta rozmowa nie szła w kierunku, który sobie umyślił. Ta dziewczyna swoimi pytaniami wytrącała mu oręż z ręki, a on w żadnym wypadku nie mógł pozostać bezbronny.

– To cudownie! – Klasnęła z zachwytu. – Może mogłaby wpaść do mnie i udzielić kilku wskazówek? Chętnie posłuchałabym rady kogoś doświadczonego. Jak myślisz?

– To niemożliwe – mruknął. – Mama... raczej nie będzie mogła przyjść.

Urwał, odwrócił głowę i wtedy to zobaczył. Zza stojących w głębi pomieszczenia kartonów przebijała ujarzmiona ściana roślinności. Kamienica Emmy, podobnie jak i budynek należący do braci Jeurissenów, dysponowała pięknym ogródkiem na tyłach posesji. Valentijn już dawno zagospodarował zieloną przestrzeń i przystosował ją dla potrzeb cukierni. Stoliki i parasole na świeżym powietrzu stanowiły nie lada atrakcję dla gości chcących wypić kawę na zewnątrz. Emma nie wydawała się nigdy zainteresowana urokliwym skrawkiem własnej ziemi. Ogródek przez lata zarósł i przypominał dżunglę. Poniewierały się tam zawsze jakieś starocie oraz przedpotopowa, pokryta rdzą witryna z początków działalności Bombonierki. Teraz wszystko wskazywało na to, że ktoś wziął się za porządkowanie ogródka. Klamoty zniknęły, stare popękane kamienne płyty zamieciono i przycięto szalejące wzdłuż muru powoje. W kilku ogromnych donicach pyszniły się teraz dorodne różnokolorowe surfinie i krwistoczerwone drobniutkie pelargonie. W rogu podwórka piętrzyły się nierozpakowane jeszcze plastikowe krzesła i jakieś płaskie kartony.

Jeurissen poczuł, że cała krew uderzyła mu do twarzy.

– Co to znaczy?! – wrzasnął. Jego dobre maniery ulotniły się jak kamfora. – Czyli to wszystko prawda, tak? – Stał na środku sklepu w lekkim rozkroku, jakby szykował się do ataku.

– Co cię napadło?! Nie wiem, o czym mówisz! – Nina gwałtownie zbladła. Widząc wściekłość w oczach Jeurissena, postąpiła krok w tył.

– Jakim prawem otwierasz tutaj ogródek? – zagrzmiał. – Czyli pogłoski o planach serwowania w tej budzie gorących napojów w prawdziwej porcelanie to nie plotki?! Dotychczas na Walstraat tylko my mieliśmy je w ofercie! Nie mogłaś poprzestać na tej cholernej czekoladzie? *Niet te geloven!*^[8] – sapnął. – W końcu pokazałaś swoje prawdziwe oblicze! A ja przyszedłem tutaj w pokojowych zamiarach! ŻMIJA!

Nina poczuła, że początkowa fala zaskoczenia zamienia się w prawdziwy tajfun furii.

– Ty jesteś nienormalny, Jeurissen! – syknęła. – A ja, naiwna, myślałam, że można z tobą normalnie pogadać! Pokojowe zamiary, dobre sobie! Przyszedłeś tutaj na przeszpiegi! Powęszyć jak złodziej! Zabieraj te swoje cholerne bułki i wynoś się stąd! – Nina chwyciła za impetem za stojącą przy drzwiach torbę i rzuciła nią w kierunku Valentijna. Ze środka wysypały się okrągłe ciastka z kawałkami zatopionej w lukrze czekolady i pokryte chrupiącą skórką rogaliki. – Nie życzę sobie kontaktu z tobą, rozumiesz? *You're crazy!*

Valentijn poszarzał na twarzy.

– Czyli wojna? – warknął przez zęby. Mięśnie jego szczęki drgały złowieszczo.

– Wojna! – potwierdziła twardo Nina. – A teraz zjeżdżaj stąd. Od dziś do odwołania jesteś w mojej Bombonierce *persona non grata!*

^[8] hol. Nie wierzę!

ROZDZIAŁ 28

Złość matką kreatywności



Tak naprawdę Nina jeszcze długo nie zamierzała korzystać z ogródka. To Evelien wpadła na pomysł, żeby go uporządkować z zamysłem „a potem się zobaczy”. Kupiły kilka stolików, cztery parasolki i piękne ażurowe krzeselka na przecenie, którą oczywiście wypatrzyła Eve. Jedno z centrów ogrodniczych pod miastem wyprzedawało cały asortyment i grzechem było nie skorzystać. Przy okazji Nina nabyła również donice z pachnącą obłędnie lawendą i kwiaty, które idealnie komponowały się z tłem ceglatego muru otaczającego ogródek. Evelien, szalejąc z sekatorem i grabiami, usunęła prawie całą dziką roślinność i dopiero wtedy Nina mogła docenić urok tego zakątka. Jednak najpierw chciała zająć się dopieszczeniem wystroju chokolaterii, produkcją kolejnych bombonierek i być może reklamą w lokalnych mediach. Urządzenie kawiarni na świeżym powietrzu było na ostatnim miejscu jej listy zadań. Do teraz...

Wizyta tego wariata przewróciła do góry nogami wszystkie uporządkowane plany Niny. Co za tupet! Ten człowiek naprawdę myślał, że może jej cokolwiek nakazać lub zakazać. Od niechlubnego występu Jeurissena minęły już dwa dni, a ona na samą myśl o nim, jego butnej minie i żenujących manierach dostawała szewskiej pasji. Postanowiła nie mówić o niczym dziewczynom z Bombonierki, tym bardziej że na tyłach biznesu praca trwała w najlepsze.

Nina w przerwach w malowaniu i dekorowaniu wnętrza z zapalem pomagała rozpakowywać worki z ziarnem kakaowym. Emma miała swoje ulubione gatunki i sprowadzała je głównie z Ekwadoru, Dominikany i Ghany. Ghana dominowała nugatowym, orzechowym smakiem, Dominikana zniewalała cytrusową nutą, a Ekwador kwiatowym, jaśminowym aromatem. Było z czego wybierać. W selekcji kakao przodowała Kristen.

Wysypywała wszystko na stół i z prawdziwą lubością wpatrywała się w przypominające obłe kamyczki ziarna.

– Pamiętaj, wybieraj te najładniejsze, nieuszkodzone. Odrzucaj te popękane, chropowate – mówiła, ani na chwilę nie przestając pracować. Jej długie, zwinne palce przebierały z niewiarygodną zręcznością i szybkością. – Lata doświadczeń. – Machała ręką, widząc zachwycone spojrzenie swojej szefowej, a zarazem uczennicy.

Następnie wyselekcjonowane ziarna musiały zostać uprażone w specjalnym piekarniku.

– W ten sposób wydobędziemy z tych drobinek esencję smaku – tłumaczyła Nora z zaczerwienioną od wysokiej temperatury pieca twarzą. – Pod wpływem gorąca ziarna skruszeją i oddzielią się od łupinek.

W końcu w ruch szedł groźnie wyglądający, przypominający ogromny młynek melanżer. Przejęta Nina nabierała pełne garście uprażonych i skurczonych ziaren, po czym wrzucała je do pracującej na pełnych obrotach maszyny, w której powstawała miazga kakaowa. Już po chwili całą kuchnię wypełniał niezwykle intensywny niepowtarzalny aromat. Czegóż tu nie było czuć! Zapach orzechów przepleciony misternie drzewnymi nutami, lekka wanilia, gęsta jak dym trufla, kropla nugatu i ciężka wędzona śliwka. Nina pociągała nosem, w jej głowie wirowała feeria nieznanych jej wcześniej zmysłowych doznań. Pomimo zmęczenia i obolałych mięśni ramion ogarniała ją euforia. Dziewczyny uśmiechały się ciepło i trącały łokciami, widząc ekscytację na twarzy swojej młodej szefowej.

– Połknęła bakcyła. Emma byłaby taka szczęśliwa...To krew z jej krwi – szeptały, ocierając dyskretnie mokre od wzruszenia oczy.

Dobrą czekoladę można zrobić tylko wtedy, jeżeli kocha się ją bezwarunkowo, a jej gęsta konsystencja zagarnia czułą falą każdy, nawet najmniejszy zakątek serca.

Kiedy z melanżera zaczęła się wylewać gotowa już miazga, Nina odruchowo zatopiła z niej swój palec i oblizła go łapczywie, a potem skrzywiła się niemiłosiernie i wypluła wszystko na dłoń.

– To jest ohydne! – zawołała. – Tego się nie da jeść! Ta miazga jest kwaśna i chropowata, bleee!

Gromki śmiech dziewczyn wypełnił kuchnię aż pod sam sufit.

– Głuptasie, teraz pora na konszowanie. – Nora zachichotała. – Czyli dokładne rozmieszanie masy z cukrem. Kiedyś robiło się to ręcznie, teraz na szczęście mamy robota.

– Długo będziemy tak mieszać? Ja już chcę próbować! – Nina wyglądała jak mała dziewczynka, która nie może doczekać się łakoci.

– Minimum dwa dni, moja słodziutka. A potem temperowanie. Ale to już widziałas. – Kristen zawiązała mocniej swój fartuch i klasnęła kilkukrotnie. – No już, włączajcie maszynę. Nie ma na co czekać.

Wieczorem po dniu pełnym wrażeń Nina zasypiała kamiennym snem, ledwo przyłożyła głowę do poduszki. Szkoda tylko, że w tej beczce czekolady znalazła się łyżka dziegciu. Pod postacią pana walniętego Walentego Jeurissena!



– Kristen! – Nina, siedząc na kanapie w saloniku, cały poranek bazgrała coś w swoim kajecie, a potem z zadowoloną miną zeszła w końcu na dół.

W kuchni krzątała się już jej ulubiona „Kuleczka”. Wystrojona w nowy fartuch, z zapalem napelniała foremki cukiernicze czekoladową masą. Na marmurowym blacie leżały już poukładane równo krwistoczerwone praliny z wiśnią, pistacjowe pomadki oblane czekoladą deserową oraz mleczne pastylki z trufłą.

– Tak? – Kristen spojrzała lekko nieobecny wzrokiem na Ninę.

Od kilku dni martwiła się o swojego męża. Henk Dekkers, dotychczas pełen wigoru czterdziestoletni mężczyzna, już od jakiegoś czasu stracił całą energię. Po zjedzeniu kolacji niczym sterany życiem staruszek w ciągu pięciu minut zasypiał na kanapie i wstawał z niej dopiero w środku nocy, tylko po to, żeby przenieść się do łóżka. W końcu Kristen zapędziła go do lekarza i teraz właśnie z niepokojem oczekiwała na telefon z diagnozą. Martwiła się, żeby to nie było nic poważnego.

– Tak się zastanawiam... – Nina, nie dostrzegając zafrasowania na twarzy swojej pracownicy, przymrużyła lekko oczy. – Czy nie powinnyśmy zacząć parzyć w Bombonierce kawy?

– Tutaj? Dla nas czy dla klientów? – zapytała zdziwiona Kristen. Do tej pory proponowały kofeinę wyłącznie w nadzieniach do pralinek.

– Oczywiście, że dla klientów. Musiałabym kupić nowoczesny ekspres, ale myślę, że pan notariusz bez problemu zgodzi się na ten wydatek. Podawałybyśmy ją w prawdziwych błękitnych filiżankach z Delft. Żadna tektura, jak u niektórych barbarzyńców, którzy uważają się za profesjonalistów. – Prychnęła z przekąsem.

Kristen nie miała pojęcia, o jakich barbarzyńcach prawi Nina, ale pomysł z filiżankami jak najbardziej przypadł jej do gustu.

– Mam w domu *delfty* po babci! Tuzin, z podstaweczkami, w wiatraki. Bardziej holendersko już się nie da. Mogę je przynieść, jeżeli chcesz.

– Czy chcę?! Ja tego pragnę najbardziej na świecie! Na pchlim targu udało mi się upolować tylko kilka takich cudeniek. Kristen, jesteś aniołem! – Rozpromieniła się. – Oczywiście kawa będzie najlepszej jakości, muszę jeszcze pomyśleć nad marką.

– Douwe Egberts, żadna inna – oznajmiła stanowczo Kristen. – To największy producent w tym kraju. Chyba że chcesz wesprzeć lokalną firmę, to polecam Konkeltje z pobliskiego Zwolle.

– A wiesz, jaką kawę podają w... croissanterii? – Nina starała się z całych sił, żeby nie zdradzić żadnych emocji w głosie.

– U nich piją na pewno oryginalne włoskie specjały. Valentijn musi mieć to, co najlepsze. – Kristen śmiesznie wyduła usta.

– To w takim razie my będziemy serwować lokalny produkt – zdecydowała Nina. – I na tym hasle oprę swoją kampanię promocyjną. Nie uważasz, że to doskonały pomysł?

ROZDZIAŁ 29

Sakramencka sierota i *Pan Tadeusz*



Aurelia Kostrzewska w końcu wyprawiła męża z domu. Szczerze mówiąc, była przekonana, że gdyby nie te jego częste wyjazdy służbowe, z pewnością już dawno by się rozwiedli. Pedantyzm, drobiazgowość, a raczej – nie bójmy się tego słowa – upierdliwość jej męża doprowadziłyby do szewskiej pasji samego świętego Piotra, a co dopiero taką grzeszną i ziemską istotę jak ona. Witold planował z miesięcznym wyprzedzeniem nawet tak prozaiczne czynności jak wyrzucanie śmieci. Analizował zagraniczne giełdy, wahania kursów spółek i zmieniające się ceny funduszy inwestycyjnych nawet wtedy, gdy wybierał się po zakup bułek i masła. Bezustannie porządkował, zbierał, układał, gasił, zamykał i zakręcał.

Kiedy punktualnie o siódmej rano tylne światła volvo małżonka zniknęły w końcu za bramą, Aurelia błyskawicznie wyciągnęła drewnianą podstawkę starannie wsuniętą przez Witolda pod jej ulubiony kubek z kawą (na blacie robiły się brzydkie brązowe kręgi!), oswobodziła stopy z kłapek i, patrząc z dumą na swój staranny pedicure, położyła nogi na stole. Tuż obok wypełnionego owocami koszyka. Nogi i owoce! Witold niechybnie zszedłby na zawał. Aurelia zachichotała pod nosem, wizualizując sobie zastygłą w paroksyzmie oburzenia twarz małżonka, łyknęła kawę i sięgnęła po ukryty w szufladzie kolorowy magazyn dla kobiet. Do kawki i gazetki jak nic pasowałby papieroszek, ale ryzyko wyszpiegowania przez komisarza Kostrzewskiego nawet najmniejszej paczki cygaretek ukrytych na jego włościach było zbyt duże. Dlatego nie trzymała ich nigdy w domu. Ale skoro kocur wybył z kwatery, myszy mogą poharcować. Aurelia postanowiła, że dziś będzie dzień papierosa. I pizzy. I wina. Najlepiej czerwonego, a co!

W willi panowała kojąca cisza. Może AŻ za kojąca. Aurelia zmarszczyła czoło. Mogłaby przysiąc, że wchodząc bladym światem do kuchni, nastawiła swoją ulubioną audycję muzyczną. Witold na pewno wyłączył radio! Zerwała się z krzesła i mimochodem zerknęła w okno. Oho, chyba nazbyt pochopnie narzekala na ciszę. Na podjazd wkraczała właśnie sąsiadka Kostrzewskich, Irmina Mazurek, odziana w przykusawy nieco różowy sweterek i dzinsową spódnicę wysoko przed kolana. Spod sweterka wylewał się obfity brzuch ozdobiony tatuażem *Love me forever*. Obok Irminy dreptała długa i chuda jak tyczka najstarsza latorośl Mazurków, Andżelika Vivian. Najwyraźniej miała jakąś przeprawę z matką, gdyż po jej zaczerwienionych i spuchniętych policzkach spływały rzęsiste łzy.

Aurelia rzuciła tęskne spojrzenie w kierunku gazety i stygnącej kawy, po czym ruszyła do wyjścia.

– Skaranie boskie z tą dziewczuchą! – sapnęła Mazurkowa zamiast powitania. – Tyle czasu miała, tyle czasu, ale oczywiście jak zwykle wszystko na ostatnią chwilę! A ty, człowieku, niczym Harry Potter, czy jak mu tam, wyczaruj i z koziej dupy, za przeproszeniem, wyciągnij! No nigdzie nie ma!

Kostrzewska zdębiała, a latorośl Mazurków zaczęła zawodzić wniebogłosy. A do niedawna zdawało się, że to tylko z Witoldem cyrk na kółkach.

– Co się stało, pani Irmino? A ty przestań płakać! To niedobre na młodą cerę! – huknęła Aurelia do dziewczyny.

Andżela łypnęła na nią spod byka, ale, o dziwo, przestała ryczeć. Jak widać, złowieszczą wizja brzydkiej cery podziałała natychmiastowo.

– Co się stało, co się stało! Nic! – zaterkotała znowu Mazurkowa. – Tylko ja, matka, jak zwykle na ostatnią chwilę dowiaduję się, że ta bździągwa lekturę ma przeczytać! Na jutro! A w żadnej, żadniusieńkiej bibliotece już cholery nie ma. Znaczący nie cholery, tylko tego... *Pana Tadeusza*. Wszystkie już wypożyczone! Stary nawet zainwestować chciał i w księgarni kupić, ale gdzie tam, pustki! Bardziej zapobiegliwe i sprytniejsze uczennice jak zwykle moją ciamajdowatą córę wyprzedziły, a jakże! Ona zawsze, ale to zawsze na szarym końcu!

Broda panny Mazurkówny znowu zaczęła niebezpiecznie drgać. Aurelia, chcąc na czas zapobiec kolejnej rodzinnej awanturze, pośpieszyła z odsieczą.

– Ale co to za problem, pani Irmino? Ja mam *Pana Tadeusza* w domowej biblioteczce. Co prawda to przedpotopowy egzemplarz, jeszcze po mojej matce, ale o ile mi wiadomo, żadnych zmian w tekście od tego czasu nie przeprowadzano.

– Złociutka, życie mi ratujesz i tej, no, ukłoń się pani z wdzięcznością, sierocie sakramenckiej! Jak lektury nie przeczyta, to pasek czerwony o kant dupy, za przeproszeniem, rozbić, a stary taki na te paski łasy jak na moje kotlety w panierce – rozpędziła się Mazurkowa.
– Pod piwo doskonałe.

– Zaraz wracam – zdążyła szybko wtrącić Kostrzewska. – A wy wejdźcie do środka. Zapraszam – zachęciła i otworzyła szeroko drzwi.

Mazurkowe wkroczyły do przestronnego holu, a Aurelia pośpieszyła do biblioteki. Tym razem pedanteria Witolda w końcu miała się na coś przydać. Gdyby nie jego upór w układaniu dzieł autorami według alfabetu, szukałaby lektury do wieczora, a kto wie, czy wśród tysięcy woluminów, które nagromadzili przez wszystkie lata, udałoby się ją namierzyć. A tak, proszę, na samym środku biblioteczki, jak wół. A raczej M jak Mickiewicz. Aurelia pociągnęła za grzbiet stojącego na półce dzieła i wyciągnęła książkę. Jej palce omsknęły się niefortunnie na śliskiej obwolucie i książka wysunęła się z jej rąk.

– Niezdara z ciebie, Kostrzewska – mruknęła pod nosem i schyliła się po leżące na parkiecie przepięknie wydane dzieło.

Spomiędzy rozwartych stronic wysunęła się nagle niemiłosiernie wygnieciona koperta. Aurelia zmarszczyła brwi i chwyciła za cienki papier. Koperta była pożółkła, z lewej strony zachlapana jakąś brunatną cieczą. Na jej wierzchu widniało imię i nazwisko matki i stary adres ich rodzinnej kamienicy w Otmuchowie. Kostrzewska po sekundzie namysłu otworzyła list. W środku koperty znajdowało się napisane na maszynie pismo z pieczętką szpitala psychiatrycznego w Trzebiezynie.

Trzebiezynie? Przecież to tam...

Aurelia błyskawicznie przebiegła wzrokiem ciasno zapisane linijki tekstu. Mniej więcej w jego połowie zbladła i chwyciła za oparcie stojącego obok wysokiego fotela.

– To niemożliwe... – szepnęła. – To nie może być prawda.

Czyżby jej własna matka aż tak ją okłamała?

Lifting, krewetki i Amsterdam



– Tak, tak, oczywiście. Potwierdzam odbiór całego zamówienia. Moje nazwisko Jeurissen. Kiedy mogę się spodziewać dostawy? Tak szybko? To wspaniale! Tak, proszę dołączyć fakturę, szczegóły prześlę za moment mailem. To czysta przyjemność robić z państwem interesy! *Dag!*^[9] – Valentijn z uśmiechem od ucha do ucha rzucił smartfon na biurko, tuż obok srebrzystego laptopa, i roześmiał się w głos, jak urwis.

Za oknami jego apartamentu rozpadał się rzęsy deszcz. Mina mu trochę zrzędła. Kraina Deszczowców... Wbrew pozorom w Holandii nie padało tak często, ale jeśli już, to od razu z przytupem. Miejscowi mówili na taką ulewę *de regen komt met bakken uit de hemel*^[10], a on właśnie dzisiaj zamierzał odpalić po raz pierwszy od roku swoje śmietankowe cabrio. Samochód już wystarczająco długo nastął się w garażu. Valentijn nabył go rok po katastrofie samolotu Malaysia Airlines. Wpadł wtedy w szal zakupów, próbując zrekompensować gadżetami cholerną wyrwę w sercu po stracie rodziców. Amerykański oldtimer Vala, austin-healey z 1957 roku, robił furorę na ulicach miasteczka, a jego właściciel w tym czasie rozpaczliwie pragnął być w centrum zainteresowania.

Nawet na sekundę nie mógł zostać sam. Ogarniała go wówczas czarna jak smoła mgła, w której topił się codziennie, nie mogąc złapać oddechu. Dziesiątki dziewczyn, alkohol, dragi... równia pochyła ku przepaści, nad którą w pewnym momencie wisiał, trzymając się kurczowo powierzchni tylko jednym palcem. Romeo, rozpieszczany przez całą rodzinę beniaminek, paradoksalnie radził sobie lepiej, ale na nim nie spoczywała aż tak wielka odpowiedzialność. Był jeszcze w szkole, święcie przekonany, że jego idol i bohater, starszy

brat, podoba wszystkim. „Jestem z ciebie dumny!” – wykrzykiwał do telefonu z bezpiecznego kokonu uczniowskiego świata. A wielki brat budził się z kacem, unurzany we własnych wymiocinach, w oparach marihuany, i wył w łazience w przyłożony do ust ręcznik, przeklinając cały świat. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że Valentijn Jeurissen, syn TEGO Jeurissena, uznanego przedsiębiorcy, człowieka sukcesu, znanego filantropa, po prostu, kurwa, sobie nie radzi. Gdyby nie cholerna ambicja Valentijna i pomoc, która nadeszła z najmniej spodziewanej strony, już dawno poszedłby na dno. A Romeo razem z nim.

A teraz ten cholerny szczeniak, nieświadomy tego piekła, przez które przeszedł, będzie mu mówił, jak ma prowadzić biznes?! I zabraniał jego rozwoju?! Niedoczekanie! Nawet gdyby mieli się pokłócić na śmierć i życie, nie da mu zepsuć tego wszystkiego, co przez lata wypracował. To tylko Romeowi wydawało się złudnie, że zrobili to wspólnie. „Nie, stary” – polemizował w myślach z bratem Valentijn. „Do wszystkiego doszedłem sam, chroniąc twoją dupę przed upadkiem. Dlatego teraz potulnie zgodzisz się na te pieprzone czekoladki! Nie masz wyjścia. Ja i tak to zrobię, z twoją zgodą lub bez!”.

Nagły dźwięk telefonu ocucił go z wyimaginowanej kłótni z Romeem.

– Tak, już wysyłam te dane. Moment – rzucił do słuchawki, z całej siły próbując powstrzymać się od warczenia, ale po sekundzie jego rysy złagodniały. Przez dłuższą chwilę słuchał kobiecego głosu po drugiej stronie telefonu, a potem powiedział miękko: – Oczywiście, że będę, Marion. Niech się nie martwi. Przekaż jej, że postaram się jeszcze dziś. I powiedz, że mam dla niej prezent.



W tym czasie Nina, trzymając obiema dłońmi rączkę parasola, przeskakiwała przez gigantyczne kałuże na placu de Brink. Wiatr szarpał jej włosy, woda chlupała w sandałach (teraz już rozumiała, dlaczego Evelien kazała jej jak najszybciej kupić kalosze), a lekką bawełnianą sukienkę można było wyzymać, ale nic, nawet taka ulewa, nie mogło popsuć jej dobrego humoru. Malinowa Bombonierka po gruntownym liftingu w końcu otwierała swoje podwoje. Ileż tam było teraz energii, ileż barw! Czekoladki, pięknie ułożone w piramidki, wyeksponowane w lśniących gablotach, kusily bogactwem smaków. Starannie odmalowane ściany lśniły świeżością, a pasiasta błękitno-biała tapeta i malinowe dodatki ożywiały całe pomieszczenie. Na półkach pyszniły się stare puszkę po kakao i czekoladkach legendarnej holenderskiej marki Van Houten. Puszki ozdabiały geometryczne wzory w kolorach malinowym, pomarańczowym i herbatnikowym, które idealnie komponowały się z wnętrzem.

Przyniosła je razem z błękitnym fajansowym kompletem Kristen. Podobno jej babcia pracowała kiedyś w nieistniejącej już fabryce Van Houten w Weesp koło Amsterdamu. Zamknięto ją w latach siedemdziesiątych, a nazwę firmy przejął belgijski czekoladowy gigant.

Nina starannie powiesiła na ścianach akwarelki przedstawiające Deventer przed laty i powiększone zdjęcia pierwszych pistacjowych czekoladek stworzonych w manufakturze ciotki Emmy. Papierową teczkę wypełnioną tymi cudami Nina znalazła przez zupełny przypadek na strychu kamienicy. Właściwie ten strych też odkryła przez przypadek...

Pewnego popołudnia po pracy przyznała się Evelien, że zastanawia ją zwisający z sufitu w łazience sznurek. Ta się roześmiała i poradziła, żeby następnym razem po prostu nie bała się za niego pociągnąć.

– Jesteś pewna? – zapytała, patrząc z powątpiewaniem. – Nie wywołam tym żadnej budowlanej katastrofy? Łącznie z oberwaniem dachu i zawaleniem kamienicy? – nakręcała się Nina. – W razie czego, to będzie twoja wina.

Nowa holenderska przyjaciółka dusiła się ze śmiechu.

– Zgoda! Ciągnij na moją odpowiedzialność!

Wieczorem, już po prysznicu, Nina z niepewną miną otuliła się szlafrokiem i łypnęła w kierunku na pozór niewinnie wyglądającej linki.

„Raz kozie śmierć. Niech się dzieje wola nieba” – pomyślała niczym rejent Milczek z Fredrowskiej *Zemsty* i chwyciła za sznurek. Nad jej głową zazgrzytało złowieszczo, kłapa w suficie się uchyliła i wysunęły się z niej niemiłosiernie zakurzone schodki prowadzące na strych.

– O, mamó! – Nina czym prędzej wdrapała się na górę.

To właśnie w pierwszym, stojącym tuż pod skośną ścianą kartonie odkryła akwarelki i mnóstwo zdjęć czekoladek. Teraz wisiały na honorowym miejscu w Bombonierce, oprawione w cieniutkie błękitne ramki. Emma byłaby z niej dumna, wiedziała to na pewno.

Niebo pokryte nisko zwieszającymi się nad miastem grafitowymi chmurami pociemniało jeszcze bardziej, a Nina, strzepując krople deszczu z parasolki, skryła się pod markizą straganu z owocami. Jak co piątek na placu de Brink odbywał się targ spożywczy. Miniaturowe kramy wypełniały warzywa od okolicznych farmerów, świeże ryby, sery, pieczywo. Panował tutaj swojski harmider. Rolnicy przekrzykiwali się nawzajem, zachwalając swoje plony. Nina rozglądała się za kwiatami. Koniecznie chciała zamówić na wielkie otwarcie trzy tuziny żółtych i czerwonych tulipanów. W Bombonierce dziewczyny, wrywając sobie z rąk instrukcję obsługi, zapoznawały się ze skomplikowanymi funkcjami przywiezionego właśnie

prawdziwego kawowego kombajnu. Nina nie miała cierpliwości do techniki, postanowiła więc urwać się na moment po angielsku, licząc, że po powrocie futurystyczny ekspres nie będzie miał już przed jej energicznym trio żadnych tajemnic.

– Może jabłuszko? – zachęcał, uśmiechając się szeroko, sprzedawca kramu, przed którym stała. – Elstar! Pyszne! Dzisiaj rano zrywane!

Nina pokręciła przecząco głową i w końcu pomiędzy rozstawionymi gęsto budkami dojrzała kolorowy stragan z dziesiątkami wiader tulipanów. Nie zważając na padający coraz mocniej deszcz, ruszyła prawie na oślep (ciężkie krople zalewały jej oczy) w kierunku kwiatowego kramu i wpadła prosto na stojącego tuż przy nim mężczyznę odzianego w żółtą przeciwdeszczową pelerynę.

– *Goedemiddag!*^[11] – zakrzyknął przyjaźnie i objął ją mocno umięśnionymi ramionami.

Znad żółtego kaptura wśród starannie wygolonego zarostu połyskiwały piękne równe zęby.

– Romeo! Skąd się tu wziąłeś?! – wymamrotała Nina i delikatnie wyswobodziła się z uścisku znajomego.

– Mieszkam tutaj, a poza tym pracuję niedaleko. Zapomniałaś? – Patrzył na jej skręcone pod wpływem wilgoci włosy, zarumienioną moką buzię i oczy mu się śmiały.

– Po prostu nie spodziewałam się ciebie na targu. Zwykle uwijasz się jak mrówka w cukierni. W przeciwieństwie do drugiego Jeurissena... – mruknęła cicho, ale Romeo miał bardzo dobry słuch.

– Val pracuje nie mniej ciężko niż ja – przyznał lojalnie. – Po prostu nie lubi stać za kontuarem. Znowu się pokłóciliście? Powiedział ci o swoim pomysle? O tych belgijskich czekoladkach, tak?

– Wręcz przeciwnie. – Nina pokręciła głową. – Napadł na mnie jak furiat, ponieważ dowiedział się, że mam zamiar wstawić do ogródka Bombonierki kilka stolików i serwować kawę. Zaraz, chwileczkę... – Oprzytomniała nagle. – Jakich CZEKOLADEK?!

– Nie martw się – pośpieszył z wyjaśnieniami Romeo. – Storpedowałem ten pomysł. Nasza croissanteria ma wystarczająco dużo asortymentu cukierniczego i nie widzę potrzeby, żeby sprzedawać jeszcze czekoladę. Tym bardziej że nie robilibyśmy jej na miejscu, tak jak ty. Val chciał ją sprowadzać z Belgii, z bardzo znanej lokalnej manufaktury. Tak to sobie umyślił.

Nina w duchu odetchnęła z ulgą. Co innego kawa, którą sprzedawano przecież na każdym rogu, a co innego ekskluzywne bombonierki. Zwłaszcza że otwierała ogródek głównie po to, żeby serwować tam gorącą czekoladę. Valentijn nie miał jej w swojej karcie.

– Nina... Już od dawna chciałem cię o coś zapytać... – Romeo urwał nagle, tak jakby właśnie teraz układał w myślach treść przemowy, którą chciał wygłosić.

Nina zabawnie przekrzywiła głowę. Jeurissen wyglądał na mocno przejętego.

– Może dasz się zaprosić w sobotę na obiad? – wykrztusił w końcu. – Przygotuję jedno z moich popisowych dań. Uwielbiam gotować i chyba nieźle mi to wychodzi. To jak? Dasz się skusić?

– A nie dostaniesz bury od Vala, że bratasz się z konkurencją? – dodała nieco złośliwie.

Romeo skrzywił się nieznacznie i Nina momentalnie poczuła wyrzuty sumienia. Był bardzo sympatyczny, a ona niepotrzebnie się na nim wyżywała. To nie była jego wina, że miał brata idiotę.

– A co dla mnie przygotujesz? – zapytała, uśmiechając się ciepło.

– Krewetki w sosie curry. Z bazylią! – Romeo w mig się ożywił. – Lubisz kuchnię orientalną? Czy może wolisz, żebym przygotował coś typowo holenderskiego? Moja zupa musztardowa podobno jest najlepszą w całym regionie. Tak przynajmniej twierdzi Val... – Zamilkł i zaczerwienił się słodko jak pensjonarka.

– Jesteś bardzo miły, ale w sobotę jadę do Amsterdamu. Jeszcze nigdy nie byłam w stolicy, nie znam miasta, a muszę odszukać tam kogoś bardzo bliskiego...

Nina zamyśliła się na moment. Ostatnio coraz częściej wspominała poznanego w drodze do Deventer Krisa. Nie mogła sobie darować, że rozstali się w tak głupi sposób, nie wymieniając numerami telefonów. Kto wie, czy Kris nadal pracował w tej knajpie w centrum. Postanowiła jednak, że zajrzy do każdego bistro, każdej kawiarni, do wszystkich coffee shopów, nawet gdyby miała go szukać cały weekend!

– Bardzo bliskiego? – Romeowi zrzędała mina.

Nina spojrzała w jego posmutniałe oczy i odruchowo złapała go za rękę. Przyłgął mocno palcami do jej dłoni.

– Nie tak, jak myślisz – wyjaśniła. – Kris jest bardzo sympatyczny, ale to gej, absolutnie mną niezainteresowany. Po prostu bardzo się polubiliśmy. Nadajemy na tych samych falach... To długa historia, kiedyś ci opowiem.

– Mam pomysł! Może moglibyśmy pojechać do Amsterdamu razem? Pomogę ci odnaleźć tego Krisa. Znam miasto jak własną kieszeń. Mój ojciec urodził się na Jordaanie. Mama... pochodziła stąd. Nie wiem, czy Val ci mówił... – Jego twarz pociemniała.

– Tak, wspominał, ale nie rozmawiajmy o nim – urwała temat Nina.

Jak to możliwe, że taki sympatyczny i otwarty facet pochodził z tak nabydycznej rodziny? Pamiętała oburzona minę Valentijna, kiedy zapytała, czy ich matka nie chciałaby wpaść do Bombonierki i doradzić jej w kwestii wystroju. Spojrzał na nią wtedy tak, jakby dopuściła się jakiejś zbrodni! No jasne, jak mogła w ogóle pomyśleć, że wielka pani Jeurissen będzie jej pomagać. Najwyraźniej cała rodzina to snoby, ale Romeowi warto dać szansę.

– Będzie mi bardzo miło, jeżeli zechcesz mi towarzyszyć. O której się umawiamy? – zapytała.

Nawet nie spostrzegła, że Romeo cały czas ścisnął jej dłoń.

[9] hol. Do widzenia!

[10] hol. wiadra wody z nieba

[11] hol. Dobrego popołudnia!

Pierwsze kłody pod nogami



Kristen Dekkers siedziała na twardym krzeselku w przestronnej poczekalni jednego z oddziałów w ultranowoczesnym szpitalu w Deventer. Z nerwów przemieszanych z niepewnością cała się trzęsła. Na jasny materiał sztruksowych spodni skapywały krople kawy z plastikowego kubeczka, który wcisnęła w jej dłoń troskliwa pielęgniarka. Pomimo kilku ciepłych słów życzliwej kobiety Kristen nadal nie mogła uspokoić drżenia kolan. W końcu zerwała się z krzeselka i podeszła do ogromnego panoramicznego okna, które wychodziło na skąpany w zieleni szpitalny parking. Raz po raz wjeżdżał tu jakiś samochód, ludzie przechodzili przez namalowane na wewnętrznej uliczce pasy, rozmawiali między sobą, czasem śmiali się lub milczeli. Na zewnątrz, jakby nigdy nic, toczyło się normalne życie. Jej wczoraj zawalił się cały świat.

Po wstępnej diagnozie okazało się, że Henk ma guz mózgu. Przechodził właśnie dodatkowe skomplikowane badanie tomografem komputerowym, które miało określić stopień złośliwości tej zarazy, a ona zastanawiała się, jak sobie poradzi bez ukochanego męża. Byli małżeństwem od piętnastu lat. Nigdy nawet się mocno nie pokłócili. Henk wspierał ją bezwarunkowo, cierpliwie znosił wszelkie fochy, a czasem nawet napady furii (była jak włoska żona, zapalała się często, ale na krótko), pomagał w domu i troskliwie opiekował się dziesięcioletnimi już bliźniaczkami. Kiedy martwiła się drobiazgami, jak to ona, zawsze pocieszał ją kilkoma magicznymi słowami: „Wszystko będzie dobrze, skarbie. Obiecuję ci to”. I wszystko kończyło się dobrze, tak jak zapewniał.

A teraz kto jej tak powie? Kto wesprze w smutku i pogłodzi po głowie? Dziewczynki były przecież jeszcze takie małe... Świat bez Henka rysował się w najczarniejszych barwach. Nie

mogła dopuścić do tego, żeby ta wstrętna choroba go zabrała. Jeżeli najgorsze przypuszczenia się potwierdzą, będzie walczyć razem z nim do samego końca! I wygrają tę wojnę!

W tej chwili Kristen usłyszała zgrzyt otwieranych dwuskrzydłowych drzwi. Do pomieszczenia wtoczyło się metalowe łóżko na kółkach. Henk leżał na nim z obandażowaną głową, przykryty aż po samą szyję cienką kołdrą. Kristen w dwóch susach dopadła męża.

– *Maak je geen zorgen, schat*^[12] – szepnęła i pogładziła czule pokryty kilkudniowym zarostem policzek męża. – Wszystko będzie dobrze. Słyszysz? Będzie dobrze. Obiecuję ci to!



W Bombonierce trwały ostatnie przygotowania do wielkiego otwarcia. Nina już od wczesnych godzin porannych oswajała obsługę ekspresu do kawy i raz po raz klęła pod nosem (oczywiście po polsku!). Wiedziała już, w jaki sposób dobierać najważniejsze parametry, jak stopień palenia ziaren, temperatura wody oraz czas parzenia, ale ciągle nie mogła opanować prawidłowej obsługi dyszy do spieniania mleka. Isa popatrywała z niepokojem na walczącą z maszyną szefową i zawiązała kolejną wstążeczkę na miniaturowym pudełku z logo chocolaterii. Na stole pod ścianą ułożone równo jeden obok drugiego stały dziesiątki takich pudełeczek. Na wieczku każdego z nich dziewczyny wypisały malinowym flamastrem hasło *Try me*. W środku pod błękitną kołderką z bibuły ukrywały się trzy miniaturowe pralinki w kolorowych posypkach. Słodkie niespodzianki czekały na wszystkich klientów, którzy odwiedzą Bombonierkę w dniu otwarcia.

Całą akcję promocyjną wymyśliła Nina. Wpadła również na pomysł nadawania każdej czekoladce zabawnego i słodkiego imienia. I tak pralinki z ganaszem z owoców leśnych nazywać się miały odtąd Poziomkowy Kawalek Nieba, mleczne ze słodkim gęstym nadzieniem orzechowym – Nugatową Ucztą, a ciemna czekolada z crème fraîche i nutą pomarańczy otrzymała nazwę Waniliowa Dama w Oranżu. Dziewczyny bawiły się przednio, wymyślając coraz to nowe przydomki dla ulubionych pralinek. Praca wręcz paliła się im w rękach. Nie mogły się doczekać pierwszych amatorów ich słodyczy. W Bombonierce wirowały dobre wibracje. Pozytywna energia i aromaty świeżo parzonej kawy i czekolady mieszały się ze sobą, tworząc niepowtarzalną, wręcz unikatową aurę tego miejsca.

– Tak to jest, gdy robi się coś z miłością i wkłada w swoją pracę całe serce – powiedział zaledwie wczoraj do Evelien notariusz van Haasteren.

Stara przyjaciółka przyniosła do jego kancelarii comiesięczną porcję listów, faktur i rachunków. I jak zwykle zdała szczegółowe sprawozdanie z postępów prac w Bombonierce.

– Powiem ci szczerze... nie przypuszczałem, że ten szaleńczy plan naszej Emmy się powiedzie. Kiedy oznajmiła mi niespodziewanie, że zamierza ściągnąć do Deventer swoją siostrzenicę, której notabene nigdy wcześniej nie widziała, w duchu pukałem się w czoło.

– To samo było ze mną – przyznała ucziwie Evelien. – Oboje jednak doskonale wiemy, że Emma całe życie miewała szalone pomysły. Nigdy nie płynęła z nurtem, tylko zawsze pod prąd... Nina jest taka sama. – Z aprobatą pokiwała głową. – I przypomina mi ją tak bardzo z wyglądu!

Lars potaknął.

– Doskonale sobie radzi – odrzekł i z przyjemnością nadgryzł kawałek truskawkowej czekoladki.

Evelien zawsze przynosiła mu ulubione smakołyki. Wszyscy wokół wiedzieli, że był niepoprawnym łasuchem.

– To prawda – przyznała. – Ale nie zapominajmy, że duża w tym twoja zasługa, Lars. Wziąłeś na siebie całą księgowość i administrację Bombonierki.

– Zawsze to robiłem! – Van Haasteren roześmiał się ciepło. – Emma nie miała głowy do cyferek. Była duszą kreatywną. Ciągłe mi powtarzała, że woli dwa dni konszować ręcznie czekoladę i padać potem ze zmęczenia niż użerać się z fiskusem.

– Gdyby chciała, pewnie i tę księgowość opanowałyby w mig. Zawsze szybko się uczyła. Miała dryg do biznesu... Pamiętam, jak zaczynałyśmy od zera... Ech, stare dobre czasy! Dasz wiarę, że pierwsze czekoladki robiłyśmy z ziarna wyłuskanego ręcznie?

Evelien powędrowała myślami do przeszłości. Lars od razu podchwycił temat. Uwielbiał wspominać Emmę. W ten sposób cały czas była między nimi.

– Jasne, że pamiętam! A potem szedł w ruch prymitywny śrutownik i wywiewanie łuski. Zaraz, zaraz... suszarka do włosów?! – Lars uniósł zabawnie krzaczaste brwi.

– Ha, ha, a jakże! W pół godziny przerabiałymy cały kilogram! Teraz są specjalne odsysacze typu zig-zag, które przetwarzają... kilogram w minutę!

– Gdy tak patrzę na Ninę, to wierzę, że ona zrobiłaby to w trzydzieści sekund! – Notariusz roześmiał się tubalnie.

– Dosyć tej arytmetyki! – Evelien klasnęła. – Najważniejsze, że już za kilka dni Bombonierka ruszy starym trybem i znowu pojawią się w niej ludzie... Teraz w końcu naprawdę wierzę, że wszystko się ułoży. My jesteśmy już za wiekowi na takie eksperymenty, ale Ninie na pewno się uda.

– Uda! Stoimy za nią murem! – zapewnił uroczyście van Haasteren. – Obiecałem Emmie, że nigdy nie pozwolimy, żeby Bombonierka przestała istnieć.

– Naprawdę wierzysz, że po roku Nina nadal będzie chciała tu zostać? Nie sprzeda chokolaterii? Nie będzie chciała układać sobie życia w Polsce? Przecież z Holandią tak naprawdę nic jej nie łączy...

– Na razie nic – odparł z powagą Lars. – Ale zrobimy wszystko, żeby to się zmieniło, Evelien.

[12] hol. Nie martw się, kochany.

ROZDZIAŁ 32

Braterskie knowania



– Wygląda na to, że mamy problem. – Isa zdjęła czepek i przeczesła dłonią roztrzepane włosy. – Miałam ci jeszcze nie mówić, ale chyba nie ma na co czekać...

– Co się stało? – Nina podniosła rozkojarzony wzrok znad nowej karty napojów. Ciągle dopisywała do listy coś nowego.

– Kristen na razie nie wróci do pracy. Z Henkiem nie jest dobrze. Chyba musimy znaleźć kogoś na jej miejsce.

– To coś poważnego?

– Sądzę, że tak. Nigdy wcześniej, a znamy się już prawie dziesięć lat, nie widziałam jej płaczącej. Kristen to twarda sztuka, nie cierpi się mazgać. Podobno Henk ma tumor.

Nina zbladła i odłożyła na bok długopis.

– Bardzo mi przykro... To ogromny cios. Zadzwońię do niej dziś wieczorem i porozmawiamy. Kristen musi mieć teraz spokój i siły do walki. Tylko gdzie my tak szybko znajdziemy kogoś na zastępstwo? Może masz jakiś pomysł, Isa?

– Wywiesimy kartkę w witrynie Bombonierki. Po Walstraat kręci się mnóstwo ludzi. Na pewno znajdzie się ktoś, kto przynajmniej na okres wakacji szuka sezonowego zajęcia. Popytam też wśród znajomych – obiecała Isa.

– Zaplanowałam na jutro podróż do Amsterdamu, ale w tym wypadku nie ma mowy o żadnych wypadach – postanowiła Nina. Trudno, akcja poszukiwawcza Krisa musiała poczekać. Nie mogła zostawić dziewczyn w potrzebie.

– O jakich wypadach mówicie? – W drzwiach kuchni stanęła nagle uśmiechnięta Evelien.
– Może zabiorę się z wami?

– Kiedy tylko zechcesz. Ale... nie tym razem. Muszę tylko poinformować Romea o zmianie planów – zdecydowała Nina. Błyskawicznie, jak to ona.

Evelien i Isa wymienili pomiędzy sobą szybkie spojrzenia.

– Romeo? NASZ Romeo? Spotykacie się? – Evelien nawet nie próbowała ukrywać podekscytowania. – To cudownie! Wszyscy go uwielbiamy, prawda, Isa?

– Na pewno jest sympatyczniejszy od tego gburą Valentijna. Ten to udaje amerykańskiego gwiazdora filmowego. Myślałby kto, że taki przystojny! Owszem, nie wygląda źle, ale uroda to nie wszystko... – Isa wyduła usta. – A ty, Nina, nie wymyślaj. W Bombonierce wszystko jest gotowe, a tobie przyda się dzień oddechu. Sama mówiłaś, że nigdy jeszcze nie widziałaś Amsterdamu.

– Absolutnie się z tobą zgadzam. – Evelien podejrzenie zbyt entuzjastycznie poparła Isę. – Jedź, wypocznij, baw się dobrze i koniecznie zjedz prawdziwego holenderskiego śledzia w jednym z kramów rybnych na Joordanie. My tu sobie poradzimy.



Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Co prawda nie było łatwo ukryć tak dużego zamówienia przed bratem, ale Valentijn nie takie akcje już przeprowadzał. Croissanteria rozszerzy swój asortyment, czy Romeowi się to podoba, czy nie. Val miał sprzeciw brata centralnie w czterech literach, choć otwarta wojna oczywiście mu się nie uśmiechała. Transport najlepszych belgijskich pralinek miał dojechać na miejsce pojutrze rano. Valentijn zakupił również dispenser, czyli maszynę do przygotowywania gorącej czekolady do picia, a także, sam w to nie wierzył, porcelanowe filiżanki i przepiękne srebrne łyżeczki do kompletu. Teraz pozostało tylko nie dopuścić do tego, żeby Romeo pojawił się w sobotę w croissanterii. Wszystko musiało zostać zainstalowane podczas jego nieobecności. Postawienie brata przed faktem gwarantowało większe powodzenie całej operacji. Gabłota do prezentacji pralinek od środy czekała w kartonie na zapleczu. Valentijn poprosił jednego z pracowników, grubiotkiego jak beczka wina Jorena Kolka, o pomoc. Oczywiście wszystko za plecami brata. Musiał wymyślić jakiś sprytny podstęp, żeby broń Boże Romeo nie plątał się w sobotę pod nogami. Potem na pewno będą pretensje i braterskie dąsy, ale nie przypuszczał, żeby młodszy Jeurissen zbojkotował dostawę.

Cały piątek udawało mu się unikać Romea, ale nadal nie wiedział, jak może mu „zabronić wstępu” do cukierni przez weekend. W końcu Val wpadł na doskonały, jak mu się zdawało, pomysł.

– Stary, co powiesz na kumpelski wypad na żagle nad Veluwemeer? – zagadnął brata. – Wynająłem nam najlepszą łódź w regionie. Twoją ulubioną.

Łgał jak z nut. Nawet nie wiedział, czy miejscowy klub żeglarski dysponuje takim jachtem.

– Cranchi T36 Crossover? – Romeo się ożywił. – Żartujesz?!

– Ani trochę! Dla ciebie wszystko, *broertje!* – łąsił się Valentijn.

Yes! Poszło jak z płatka! Starszy Jeurissen gratulował już sobie w duchu.

– Pojedziesz do Harderwijku jutro rano, a ja dojadę nieco później – zakomenderował szybko.

Teraz musiał zadzwonić do pracującego w klubie kumpla ze szkoły i modlić się, żeby zdążył wykombinować dla nich jakąś łajbę.

– To bardzo miło z twojej strony, Val. – Romeo poklepał brata po ramieniu. – Naprawdę doceniam tę genialną, choć nieco niespodziewaną propozycję, ale niestety mam już plany na sobotę. *Het spijt me*[\[13\]](#). Ale to chyba nie problem? Co się odwlecze, to nie uciecze.

Misternie budowana intryga właśnie legła w gruzach. Czekoladki czekoladkami, ale Val naprawdę miał ochotę na męski wypad. Tak dawno nigdzie razem nie byli.

– Ale... No oczywiście, super – bąknął Valentijn. – Na żagle możemy wybrać się kiedy indziej. A mogę wiedzieć, co to za plany? – zapytał od niechcenia. – Jeżeli to nie tajemnica... – Błysnął białymi zębiskami.

– Żadna! – Romeo uśmiechnął się szeroko. – Jadę z Niną do Amsterdamu.

Valentijnowi momentalnie zrzędała mina.

– W celach towarzyskich? – rzucił zimno. – Jak widzę, kujesz żelazo, póki gorące – dodał zgryźliwie.

Powinien ugryźć się w język, ale ta dziewczyna wywoływała u niego reakcję alergiczną. Tym razem jednak oprócz złości poczuł coś jeszcze. I to niespodziewane COŚ drażniło go najbardziej. Przecież jej nie cierpiał! Działała na niego jak płachta na byka! A jednak wewnętrzny głos w podświadomości krzyczał bezlitośnie: „Dlaczego Romeo nie umówił się z kimś innym?! Z każdą, byle nie z nią!”.

– Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc o metalach ciężkich, ale nie martw się o mnie. Doskonale wiem, co robię – odgryzł się Romeo. – A ty, brachu, aż płoniesz z zazdrości! Myślisz, że tego nie widzę?

Valentijn postukał się w czoło i prychnął jak stary kocur.

– Chyba cię pogięło! Ta Polka jest mi kompletnie obojętna!

– Łziesz jak pies. – Romeo się roześmiał. – Marszczysz nos.

– I to według ciebie wystarczający dowód?

– Oczywiście. Mama zawsze powtarzała, że po tym zdradzieckim szczególe poznaje wszystkie twoje kłamstwa.

– Rób, co chcesz, tylko nie mieszaj w to matki – odpysknął Valentijn. – A na żagle pojedę sam! Bez łaski jaśnie pana! – rzucił i odwrócił się na pięcie.

Pomimo że niespodziewanie dostał w prezencie całą sobotę na przeprowadzenie bombonierkowego planu, czuł się, o ironio, oszukany!

„Skoro Nina chce wojny, będzie ją miała” – pomyślał mściwie. „Pralinki to preludium. Ani się obejrzysz, a będziesz pakować manatki i wracać, skąd przyjechałaś”.

Romeo i ona? Niedoczekanie! *No fucking way!*

[13] hol. Przykro mi.

ROZDZIAŁ 33

Miasto odurzonych kamienic



Punktualnie o ósmej Nina zjawiła się na niewielkim parkingu położonym tuż przy opasającej miasto rzece IJssel. Romeo już na nią czekał. Wyskoczył z małego sportowego jeepa, okrążył go błyskawicznie i jak najprawdziwszy dżentelmen uchylił przed nią drzwiczki auta. Nina, podtrzymując długą kwiecistą sukienkę, wsunęła się do środka. Gładki materiał podwinął się wysoko na jej zgrabnych opalonych udach. Wzrok Romea powędrował automatycznie w kierunku długich nóg dziewczyny. Nina podchwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się lekko. Romeo się zaczerwienił i zmełł pod nosem przekleństwo.

Tak, te rumieńce to jego życiowy pech. Prawdziwy mężczyzna nie czerwieni się jak dziewczyna. Tę wielce krępującą przypadłość Romeo odziedziczył po Gertrudzie, babci od strony ojca. *Oma* na wszystkich zdjęciach stojących niegdyś na komodzie rodziców miała policzki koloru dojrzałych wiśni. Charakter też miał po babci. Życzliwy, pogodnie usposobiony do całego świata. Wszystkie dziewczyny w szkole wybierały Romea na swojego przyjaciela i powiernika najpilniej strzeżonych sekretów, ale umawiały się na randki z Valentijnem. Pomimo że jego brat nie zwracał na żadną uwagę, ciągnęły do niego jak pszczoły do miodu. Starszy z braci Jeurissenów miał nonszalancki styl bycia i kompletnie nie zabiegał o uwagę płci przeciwnej, a zawsze kręciły się obok niego najpiękniejsze panny w okolicy. Ojciec często śmiał się tubalnie i powtarzał żartobliwie, że ten typ tak ma.

Na szczęście Nina go nie interesowała. Ba, on jej nawet nie lubił!

– Zamyśliłeś się, Romeo – odezwała się nagle Nina. – O czym tak dumasz?

Ciepły wiatr z uchylonego okna rozwiewał jej gęste blond włosy. Rozparła się wygodnie na jasnym skórzanym fotelu i z przyjemnością spoglądała na mijane za oknem miasto. Jechali

właśnie jedną z najbardziej reprezentacyjnych ulic Deventer, Kapjeswelle. Wzdłuż drogi stały olbrzymie neoklasyzystyczne kamienice zatopione w zieleni zadbanych ogrodów.

– O tobie, Nino – odważnie wyznał Romeo. – Lubię cię. To chyba nie grzech. – Mocniej chwycił za kierownicę, przyspieszył i płynnie włączył się do ruchu na autostradzie A1 wiodącej do stolicy Holandii.

– Ja też cię lubię. – Roześmiała się. – Jesteś tak inny niż twój brat. – Skrzywiła się nieznacznie. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego aż tak mnie nienawidzi... – dodała cicho.

– To nieprawda! – zaprzeczył ciut za szybko Romeo. – Być może Valentijn wygląda na mruka, ale tak naprawdę to dusza człowiek. – No dobra, może trochę przesadził, ale nie chciał, żeby Nina myślała aż tak źle o Valu. – Mój brat jest bardzo uparty i zawzięty. Poświęcił swoje studia dla croissanterii. I dla mnie... – Romeo urwał i zapatrzył się na biegnącą przed maską samochodu nitkę autostrady.

– Jak to poświęcił? – zdziwiła się Nina. – Myślałam, że z własnej woli przejął cukiernię od waszych rodziców?

Nieco skonsternowany Romeo zerknął na Ninę. Sądził, że wie, w jakich okolicznościach nastąpiło to „przejęcie”, a teraz wspomniała o tym tak lekko, jakby nic się nie stało. A może tak mu się tylko wydawało? Nie chciał o tym teraz mówić. To miał być przyjemny dzień, a grzebanie się w bolesnych wspomnieniach może go tylko zepsuć.

– Porozmawiajmy o czym innym, OK? – zaproponował szybko. – Masz ochotę na latte? Możemy zatrzymać się na kolejnej stacji benzynowej. Przy okazji zatankuję mojego żelaznego rumaka – zażartował i poprawił opadające na czoło włosy.

Nina podskoczyła na siedzisku. Romeo czytał jej w myślach. Od kilku minut marzyła o dobrej kawie. Z wdzięczności odruchowo położyła dłoń na jego przedramieniu. Ciepło promieniujące od palców Niny przesunęło się przyjemną falą po jego ciele. Nina cofnęła rękę, ale on nadal czuł jej delikatny dotyk na swojej skórze. Tęsknił za takimi doznaniem. I nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Spojrzała na niego szybko. Z ciekawością. Umiała ładnie patrzeć na ludzi.

Kiedy wjechali w końcu do Amsterdamu, Nina spoglądała już tylko na zatłoczone stołeczne ulice. Przejeżdżali właśnie obok błękitnej plamy amsterdamskiego portu. W oddali na horyzoncie kołysały się majestatycznie białe żaglowce. Nina z zachwytem przykleiła nos do szyby. Samochód lawirował zgrabnie pomiędzy setkami innych pojazdów, wśród których niepodzielnie królowały rowery. Były wszędzie, wyrastały znikąd na ceglasterwonych doskonale oznakowanych ścieżkach, na przejściach dla pieszych, przystankach i chodnikach.

Ludzie jadący na nich byli kolorowi, niedbale ubrani, uśmiechnięci. Pędzili na łeb na szyję, nie zważając na auta ocierające się o ich błotniki.

– Bałabym się tu jeździć – przyznała Nina. – Przecież to samobójstwo! I czy oni w ogóle patrzą na boki?

– Kierowcy czy cykliści? – zażartował Romeo. – Ten tłok, pośpiech, szaleństwo i kolory to amsterdamskie smaczki. Zobacz na tego tu.

Wskazał mijającego ich właśnie rowerzystę z poobijaną pralką niedbale przytroczoną parcianym paskiem do bagażnika. Tuż za nim podążała kobieta z różowym koszykiem obwiązany jakimś kwieciami, z którego wystawały dwie zaciekawione głowy buldogów o czekoladowej maści. Nina zamachała obiema dłońmi w kierunku dziewczyny z psami, ale ta skręciła nagle na błyskawicznie zmieniających się światłach.

– Zaparkujemy w pobliżu Centraal Station. O ile znajdę choć skrawek wolnego miejsca. W godzinach szczytu graniczy to z cudem – powiedział Romeo i ruszył w kierunku malującego się w oddali majestatycznego budynku dworca. – Mówisz, że twój znajomy pracuje w jakiejś knajpce... Hm... na placu de Dam czy Museumplein?

Nina spojrzała na niego przerażona.

– A to nie to samo? – wyjąkała.

– Nie, to dwa kompletnie różne miejsca. – Roześmiał się. – Ale o ile dobrze pamiętam, wspominałaś jednak coś o placu Dam. Stoi przy nim pałac królewski i bardzo znany hotel Krasnapolsky. Pracuje w nim mój przyjaciel, Nico. Popytamy i tam. Nie martw się, znajdziemy tego szczęściarza. – Mrugnął do Niny i zatrzymał auto przy szlabanie przed wjazdem na podziemny parking.

– Dlaczego szczęściarza?

Auto ruszyło wolno i zanurzyło się w chłodnym cieniu betonowej budowli.

„Bo go szukasz” – pomyślał Romeo, ale nie powiedział tego na głos. Wszystko wskazywało na to, że wpadł jak śliwka w kompot.

Kiedy wyszli w końcu na rozświetloną ulicę, Nina z miejsca poczuła intrygujący aromat. Wciągnęła go w nozdrza łapczywie, z ciekawością.

– To Amsterdam, moja droga... – Romeo nachylił się nad nią. – Żadne miasto na świecie nie pachnie tak jak on. Mój ojciec mówił zawsze, że Amsterdam i dźwięczy, i pachnie. Dźwięczy dzwonkami milionów rowerów i czuć tu specyficzne perfumy złożone z mieszanki wilgoci, marihuany i kurzu. A teraz chodź. Z największą przyjemnością będę twoim sezonowym przewodnikiem.

Nina z dziecięcą ciekawością chłoneła przesuwające się przed jej oczami obrazy. Czuła, że już kocha Amsterdam. Nazwała go w myślach stolicą podchmielonych kamienic. Wszystkie były kolorowe, przeraźliwie wąskie i długie. Niektóre pochylały się do przodu, inne niczym okręt na dużej fali kiwały na boki. Te krzywizny miały swój urok. Zapraszały do miasta jak jowialny gospodarz, który, machając dłonią i zadziornie uchylając kapelusza, otwiera przed gośćmi bramy swojego domostwa.

Szli właśnie het Damrak, najbardziej zatłoczoną amsterdamską arterią, łączącą Dworzec Główny z centralnym placem miasta, czyli de Dam. W otaczającym ich gwarze niczym w biblijnej wieży Babel mieszały się jak w tyglu chyba wszystkie języki świata.

– Mogłabym tu mieszkać. Uwielbiam zgiełk wielkich miast, które nigdy nie zasypiają – przyznała Nina.

– Jesteś jak Val – wyrwało się Romeowi, ale było za późno, by ugryźć się w język.

– Do czego zmierzasz...? – Nina zaczęła i bezpiecznie dokończyła w myślach: „porównując mnie z tym dupkiem”.

– Od zawsze się odgraża, że ma dość wschodnich rubieży i krów na pastwiskach. – Romeo roześmiał się głośno. – Może dlatego, że urodził się właśnie tutaj, na Joordanie. Nawet potrafi gadać w amsterdamskim dialekcie. Ja jestem dzieckiem prowincji. Nie lubię tłoku i tych oparów haszyszu, w których tonie stolica. Tak, wiem, jestem nudniejszym z braci – rzucił pozornie lekko i zerknął szybko na Ninę.

Miał nadzieję, że zaprotestuje, ale ona nic już nie powiedziała.

Kiedy stanęli w końcu na zatłoczonej dokumentnie ogromnej połaci placu de Dam, Ninie zjeżyły się włosy na głowie. Zewsząd otaczały ich liczne kafejki i restauracje.

– Misja znalezienia Krisa to jak szukanie igły w stogu siana – zmartwiła się.

– *Wij zoeken een speld in een hooiberg* – powtórzył po holendersku Romeo. – Ale nie mamy czasu do stracenia. Do dzieła. Ja zacynam tu. – Machnął ręką w prawo. – A ty tam, na wprost. – Wskazał na rząd kawiarnianych stolików pod parasolkami. – Spotykamy się za pół godziny przy pomniku Pamięci Narodowej. To ten biały kamienny monument na środku de Dam. Powodzenia, Nino. *Tot straks!*

ROZDZIAŁ 34

Góra z górą



Już po kwadransie poszukiwań Nina straciła wszelką nadzieję. W knajpkach panował tłok, zamęt, pracownicy, głównie młodzi studenci, których zagadywała, opędzali się od niej rękami i nogami, nie mając czasu nawet na kilka minut rozmowy. Kiedy nawet udawało jej się chociaż na sekundę skupić na sobie ich uwagę, za moment ktoś wołał ich niecierpliwie do stolika. Wzruszali przepraszająco ramionami i musieli pędzić dalej. Nikt nie pamiętał Krisa z Polski. Nina odniosła wrażenie, że oni nawet nie znali imion pracujących z nimi aktualnie kolegów. Rotacja w tego typu przybytkach była zatrważająca. Żeby chociaż miała jego zdjęcie! Na podstawie opisu, który pobieżnie podawała, sama by go chyba nie rozpoznała. Pół godziny minęło nie wiadomo kiedy, a ona nie posunęła się w śledztwie nawet o milimetr. Spocona i roztrzępana, usiadła w końcu na szerokich schodkach tuż przy kamiennym pomniku, mając nadzieję, że Romeo przybędzie z lepszymi wieściami.

Po kilku minutach poczuła na ramieniu czyjąś rękę. Tuż przed jej nosem pojawiła się błękitna zmrożona butla z wodą, a zaraz potem uśmiechnięta od ucha do ucha twarz Romea.

– Ratujesz mi życie – mruknęła i wypła naraz prawie całą zawartość butelki, po czym spojrzała błagalnie na swojego partnera *in crime*.

– Znalazłeś go? – zapytała.

Romeo przysiadł tuż obok i postawił pod nogami mały skórzany plecak.

– Nikt w kafejkach, do których zajrzałem, nie kojarzy żadnego Krisa. Trudno mi było go opisać, ale nawet jeżeli miałbym jego fotografię, nie oszukujmy się, ludzie nie interesują się innymi, szczególnie w Amsterdamie. Co roku przewijają się tutaj miliony turystów. W tych knajpach pracują tysiące osób. A właściwie, bądźmy szczerzy, ludzi bez twarzy...

Nina westchnęła rozziewając i poderwała się z miejsca. Cała akcja na nic!

– Chodź, wstąpimy jeszcze na chwilę do mojego przyjaciela, do hotelu Krasnapolsky, a potem zapraszam cię na obiad. Będziemy myśleć dalej, jak namierzyć tego twojego kumpla. Jeurissenowie tak szybko się nie poddają, nie ma strachu.

Wejście do hotelu znajdowało się tuż za ich plecami. Przy szklanych drzwiach stał odźwierny w czarnej liberii z czerwonymi wypustkami. Usłużnie uchylił przed nimi hotelowe wrota, uśmiechając się służbiście. Poszarpane dżinsy Romea i niemiłosiernie wygnieciona sukienka Niny nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Przyzwyczał się już do tego, że dobrze sytuowani ludzie bywali ekscentryczni. A tylko tacy przekraczali próg hotelu Krasnapolsky. Reszty nie było na niego stać.

Marmurowe wnętrze hotelu, luksusowe, ale bynajmniej nieopływające złotem, tonęło w przyjemnym chłodzie klimatyzacji. Romeo zdecydowanie podszedł do ukrytego wśród ciemnej boazerii i świeżych kwiatów eleganckiego kontuaru recepcji.

– Czy mogę rozmawiać z Nikiem Terpstrą? – zapytał uprzejmie. – Nazywam się Romeo Jeurissen.

Siedząca za szarobiałą ladą ubrana w granatowy kostium dziewczyna kiwnęła głową i podniosła słuchawkę telefonu.

– Panie dyrektorze, pan Jeurissen do pana – powiedziała szybko, dyskretnie obrzucając Romea zainteresowanym spojrzeniem, co nie uszło uwadze Niny. – Tak, tak, już przekazuję... Proszę poczekać w foyer, na wprost. Pan dyrektor za moment do pana... do państwa zejdzie – poprawiła się szybko i zamaskowała gafę pięknym szerokim uśmiechem.

Romeo pociągnął Ninę za rękę. Ich kroki niosły się echem po wnętrzu. Nina z ulgą opadła w końcu na wygodny, miękki fotel.

– Czuję się tutaj nieswojo – szepnęła prosto do ucha Romea. – Gdybym miała balową suknię, może byłoby nieco lepiej... – Zachichotała.

– Ja nie dorobiłem się nawet fraka.

Oboje parsknęli śmiechem. Kilkoro siedzących obok gości odwróciło głowy i zgromiło ich wzrokiem.

– Stary koniu! W końcu sobie przypomniałeś o najlepszym, podobno, przyjacielu! – Nad ich głowami rozległ się nagle sympatyczny, nieco zachrypnięty głos. – W dodatku przybywasz do mnie w towarzystwie pięknej damy. Jestem zaszczycony.

Tuż przed nimi stał wysoki na prawie dwa metry elegancko ubrany blondyn. Idealnie skrojony garnitur z trudem ukrywał rysujące się pod szlachetnym materiałem muskularne

ramiona.

– Nico. Nico Terpstra, *aangenaam*[14]. Nie wiem, czy Romeo ci o mnie opowiadał. W czasie studiów byliśmy praktycznie nierozłączni – zwrócił się do Niny po holendersku i mocno, serdecznie uściśnął jej dłoń.

– Nina jest Polką, ale świetnie mówi po angielsku – pośpieszył z wyjaśnieniem Romeo. – Od jakiegoś czasu jesteśmy sąsiadami. A właściwie rywalami, ale to długa historia. – Mrugnął zawadiacko w kierunku swojej konkurencji.

Nina w końcu się odprężyła, choć nadal wolałaby siedzieć na rozświetlonym i nieco mniej szykownym tarasie na zewnątrz.

Nico popatrzył na nią z zainteresowaniem.

– To ciekawe... Właśnie dzisiaj rano miałem spotkanie z chłopakiem z Polski. – Zmarszczył czoło. – Normalnie nie przeprowadzam rozmów kwalifikacyjnych, ale pani menedżer nagle się rozchorowała. Nie uchylam się od żadnych obowiązków w tym miejscu, to moja nadrzędna zasada – podkreślił. – Niekiedy zdarza mi się również stanąć za barem... A wracając do tego chłopaka... Wydawał się dziwny. Rozumiem, że stres czasem potrafi zjeść człowieka, ale on wręcz trząsał się ze strachu. Chyba nic z tego nie będzie...

– Jak się nazywał ten chłopak? – Nina ożywiła się nagle. Jej oczy błyszczały.

– Niestety, nie pamiętam – przyznał szczerze Nico. – Polacy noszą nazwiska nie do wymówienia. Ale w recepcji powinni mieć jego *résumé*. Dlaczego pytasz? Znaie się?

– Mam nadzieję! – Nina, nie czekając na jego odpowiedź, zerwała się z fotela i pognąła do recepcji.

Nico spojrzał rozbawiony na Romea.

– Twoja przyjaciółka jest nieco ekscentryczna, ale podoba mi się. – W kieszeni jego marynarki cicho zadzwieczał telefon. – Tak, wiem o wszystkim, podaj pani jego dane. Tylko dyskretnie – polecił szybko i przerwał połączenie. – RODO, sam rozumiesz – zwrócił się do przyjaciela i przewrócił oczami. – Co tam u ciebie? Może uda nam się spotkać po pracy? Kończę o siedemnastej.

Nico odsunął mankiet śnieżnobiałej koszuli i zerknął na złoty szwajcarski zegarek Paul Picot na masywnym skórzanym pasku. Zawsze lubił drogie gadżety.

– Nie tym razem, Nic. – Romeo pokręcił głową. – Ale zapraszam do Deventer. Wpadnij do nas, Valentijn się ucieszy.

– *Jij liegt of het gedrukt staat, vriend*[15]. Obaj wiemy, że Valentijn mnie nie cierpi. Czy on w ogóle kogoś lubi? Oprócz samego siebie? Naprawdę nie pojmuję, jak to możliwe, że

jesteście braćmi.

– Nie oceniaj go tak surowo, Nic. Valentijn zmienił się po śmierci rodziców. Wcześniej...

– Wcześniej też był dupkiem – wszedł mu w słowo Nico. – Nie rozumiem, dlaczego zawsze stoisz za nim murem. To największy narcyz, jakiego znam. I rządzi tobą jak niewolnikiem. Postaw mu się w końcu, do cholery!

– *Onzin!*^[16]

Romeo już otwierał usta, żeby ponownie stanąć w obronie brata, gdy nagle jak dżin z butelki tuż obok jego fotela zmaterializowała się Nina. Zakręciła kolorową sukienką, tak że wszyscy siedzący w foyer ludzie patrzyli teraz tylko na nią.

– Romeo, mamy go! – zapiszczała. – Ten chłopak, który starał się o pracę tutaj, to Kris! Naprawdę nazywa się Krzysztof Kurembski! Widziałam jego zdjęcie dołączone do życiorysu! Nie mam żadnych wątpliwości, że to on!

^[14] hol. Miło mi.

^[15] hol. Kłamiesz jak z nut, przyjacielu.

^[16] hol. Bzdura!

ROZDZIAŁ 35

Zguba na ulicy



Wszystkie pechowe znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że jego przygoda z Holandią właśnie dobiegła końca... Kris zmierzwił dłonią niemyte od tygodnia włosy i podszedł do wąskiego okna wychodzącego na sąsiedni budynek przy Bloedstraat. Na ulicy jak zwykle rozbrzmiewały odgłosy siarczastej kłótni grupki alfonsów okupujących obskurny sex-shop na dole kamienicy. Rażący w oczy tani neon rzucał jaskrawe światło odbijające się w brudnej szybie jego nory, przez co nie mógł spać w nocy. Zresztą i tak by nie zmrużył oka. Stary, cienki materac leżący przy wilgotnej i pełnej robactwa ścianie w żaden sposób nie zachęcał do zatopienia się w objęciach Morfeusza. Nawet w nocy musiał być czujny i rozgniatać czubkiem swoich sponiewieranych conversów panoszące się wszędzie pluskwy. Podnajmował tę norę za kilkaset euro i doskonale wiedział, że w momencie kiedy zwolni metę, na jego miejsce pojawi się mnóstwo chętnych. Przednia lokalizacja była największą kartą przetargową tej ruiny.

Gdyby tylko miał pracę, jakoś by tutaj przebiedował. Na targu staroci w ulubionej dzielnicy, de Pijp, wypatrzył nawet łóżko z całkiem niezłym materacem, ale co z tego? Od kiedy przed trzema tygodniami wyleciał z hukiem z Brasserie Royal, nic nie układało się po jego myśli. A mógł trzymać niewyparzony język za zębami! Kłopoty kochały go bardziej niż amerykańskie banki dolary. Niepotrzebnie wdał się w kłótnię z rozpartym na krześle grubym gościem, żłopiącym już piątego heinekena, ale nie mógł dłużej słuchać, jak traktuje swoją partnerkę. Zwracał się do niej per głupia cipo, a w pewnym momencie szarpnął za włosy tak, że stojący przed kobietą kieliszek z rieslingiem roztrzaskał się o podłogę.

– Uważaj, co robisz, idiotko! – wrzasnął, a ona skuliła się przerażona i odruchowo nakryła ramionami głowę.

W głowie Krisa boleśnie rozbłysnęły fajerwerki wspomnień. Znał aż za dobrze ten ruch chroniący głowę przed razami. Tak samo robiła jego mama, kiedy ojciec po kilku głębszych zaciągał ją do kąta i okładał pięściami na oczach dzieci. Łkała potem bezgłośnie z opuchniętą i siną twarzą, próbując wmówić im, że przecież nic takiego się nie stało.

– Trzymaj ręce przy sobie, troglodyto! – odruchowo krzyknął do grubasa.

Ten spojrział na niego oniemiały, a sekundę potem rozdarł gębę.

– Jak śmiesz, szczeniaku! Jestem tutaj gościem, *godverdomme!* – ryknął. – Żądam natychmiastowej rozmowy z twoim przełożonym! Skandal! Żeby jakiś gnojek, w dodatku cudzoziemiec, zwracał mi uwagę w moim własnym kraju! Won mi z oczu! – pieklił się coraz bardziej. – Słyszeliście, nazwał mnie JASKINIOWCEM?!

– Troglodytą dla ścisłości – mruknął Kris, ale wcale, ale to wcale nie było mu do śmiechu.

Zrobiło się zbiegowisko, ludzie wstawali zza stolików, mówili jeden przez drugiego i gestykulowali. Kobieta, w której obronie stanął Kris, nabrała wody w usta i udawała głuchą i ślepą. Nie miał jej tego za złe. Bała się tego buraka nie mniej niż on swojego agresywnego ojca. Kiedy w końcu na tarasie pojawił się menedżer restauracji, nawet nie chciał słuchać wyjaśnień Krisa. Wszyscy twierdzili, że chłopak zachował się skandalicznie. Szef kazał mu zgłosić się po resztę tygodniówki i wyrzucił go na zbity pysk. Po opłaceniu kwatery zostało mu kilkanaście euro na żarcie, ale pomimo tego, że jadł głównie najtańsze kromki z muru, jak nazywano automaty z przekąskami umieszczone w witrynach popularnej holenderskiej fastfoodowni FEBO, jego portfel świecił już pustkami. Musiał znaleźć jakąś robotę w centrum, nie miał bowiem kasy na dojazdy. Poza tym w centrum płacono najczęściej i nikt nie krzywił się na jego łamany angielski. Zdesperowany do granic możliwości poszedł nawet dziś rano do hotelu Krasnapolsky, gdzie szukano pomocnika portiera, ale wystrojony w gajerek od Armaniego gość, który przeprowadzał rozmowę kwalifikacyjną, z trudem powstrzymywał się od zatykania długiego nosa. Kris na samo wspomnienie hotelowego ważniaka poczuł złość. Fakt, już od dawna nie pachniał francuskimi perfumami, ale nie zarósł jeszcze brudem na tyle, żeby tamten patrzył na niego jak na kanałowego szczura.

Kris poczuł nagle przejmujący głód. Zaburczało mu głośnie w brzuchu. Oprócz kawałka wczorajszej pizzy, odgrzanej w mikrofalce, od rana nie miał nic w ustach. Wyszarpnął z kieszeni dzinsów cienki portfel i zajrzał do środka. Został mu ostatni banknot o nominale pięciu euro i jakieś moniaki. Wystarczy akurat na hamburgera i tutkę z tłustymi frytkami. Może nawet na puszkę amstela? Jak szaleć, to szaleć!

Zszedł po skrzypiących niemiłosiernie krętych schodach, które były tak wąskie, że mieściło się na nich zaledwie pół jego podolskiej stopy i stanął twarzą w twarz z ciemnowłosym facetem w poszarpanych dżinsach i białej koszuli. Tuż zza jego pleców wychylała się rozpromieniona twarz... Nie, to niemożliwe!

– NINA! – wrzasnął i o mało nie spadł z ostatniego nadgryzionego zębem czasu drewnianego stopnia.

Dziewczyna wpadła w jego wątle ramiona. Kris, nie mogąc już dłużej dusić w sobie nagromadzonych w ciągu ostatniego czasu emocji, rozplakał się jak dziecko i wpił się obiema dłońmi w jej nagie przedramiona. Nina gładziła go po włosach i szeptała coś do jego ucha. Romeo stał nieco z boku i patrzył na nich jak zahipnotyzowany. Nina wydawała mu się twarda, pewna siebie, zdecydowana, a tu nagle zobaczył przed sobą czułą kobietę, która ocierała łzy spływające po brudnej wymizerowanej twarzy jakiegoś wyrostka. Poczul nagłą zazdrość. Z chęcią zamieniłby się miejscami z tym młokosem, pomimo że tamten wyglądał jak kupka nieszczęścia.

– Już nie wierzyłam, że cię odnajdę! Bez pomocy Romea nigdy by się to nie udało! – zawołała Nina i przywołała Jeurissena do siebie zachęcającym ruchem ręki. – Poznajcie się, chłopaki. Nawet nie wiecie, jaka jestem szczęśliwa.

Nie musieli tego wiedzieć. Wystarczyło tylko na nią popatrzeć.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał bez ceregieli Romeo. – Pieniędzy?

Kris spuścił głowę. Nie odpowiadał. Nina wyciągnęła z torebki czerwoną portmonetkę.

– Mam tylko dziesięć euro – powiedziała i rozejrzała się bezradnie dookoła. – Jest tu w pobliżu jakiś bankomat? To pożyczka – zastrzegła, widząc niemy protest na twarzy Krisa. – Oddasz mi, kiedy znajdziesz jakąś pracę.

– To nie będzie konieczne – wtrącił się Romeo i sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów. Po chwili podał chłopakowi kilka setek. – I zgłoś się jutro do mojego przyjaciela, tego samego, z którym rozmawiałeś rano w hotelu Krasnapolsky. Nazywa się Nico Terpstra. Tym razem ci pomoże, tylko ogarnij się trochę, bo Nico to esteta. – Romeo się roześmiał i poklepał chłopaka po ramieniu.

– A teraz zapraszam was oboje na obiad. Tu niedaleko jest świetna włoska knajpa. Zasłużyliśmy chyba na dobrą pastę?

Jak to czasem jedno spotkanie może zmienić nasz cały świat...

– *Dank je wel*^[17] – wyszeptał Kris i przetarł mokre oczy poplamionym T-shirtem wyciągniętym zza paska spodni. – Wszystko oddam, co do grosza. Tylko ten... poczekajcie

moment, polecę zakluczyć chawirę. Nie planowałem długiego wyjścia. Dosłownie minuta! – Chłopak odwrócił się na pięcie i, tupiąc niczym stado słońi biegnących do wodopoju, pognął na górę.

– Dziękuję ci za wszystko... Jesteś taki kochany. – Nina bez chwili namysłu zarzuciła rękę na szyję Romea i przylgnęła mocno do jego piersi.

Przymknęła powieki, wciągając w nozdrza męski zapach jego bawełnianej koszuli. Czowała się dobrze i bezpiecznie. Romeo objął ją niezdarnie, a potem delikatnie, tak jakby dotykał kruchoj porcelany, pogładził jej miękkie jasne włosy.

– Nie ma za co. Zrobię dla ciebie wszystko, Nino – powiedział cicho.

Nina otworzyła szeroko oczy. Na pewno się przesłyszała. Przecież byli tylko przyjaciółmi...

[17] hol. Dziękuję.

Duchy z przeszłości



Witold Kostrzewski już od kilku dni nie poznawał własnej żony. W ich domu to on zwyczajowo miewał humory, trząsał drzwiami, marudził albo udawał głuchego, a tymczasem nie wiedzieć kiedy nagle role się odwróciły. Aurelia co prawda nie narzekała, ba, prawie w ogóle się nie odzywała, a jeżeli już, to burcząc, żeby dał jej spokój, ale sam fakt, że na jej rozpromienionej zwykle twarzy gościł grymas niezadowolenia (smutku?), dawał mu do myślenia. Jak nic ktoś podmienił mu kobietę! Próbował pogadać na ten temat z Eugenią, ale siostra po wysłuchaniu zaledwie pierwszego zdania momentalnie zmyła mu głowę.

– I bardzo dobrze, że Aurelia się zbiesiła! – Klasnęła z taką radością, jakby oznajmił jej właśnie, że wygrali w totka. – Rozpuściła cię jak dziadowski bicz! Ile razy mówiłam: „Dajże ty Witkowi na własnych nogach stanąć, bo on sam nawet torebki z herbatą sam zalać nie umie”.

– Jak zwykle przesadzasz! – Skrzywił się. – Dobrze wiedzieć, że własna siostra obrabia mnie za plecami i to w dodatku w moim własnym domu. A poza tym nie o dogadanie tutaj chodzi, a o jej... jakby to powiedzieć... o jej aurę? Sam nie wiem! – Kostrzewski nagle się zezłościł. Na stare lata przyszło mu babrać się w babskiej psychologii.

– Może tęskni za Niną? No, a jak jej tam na tym końcu świata? – zainteresowała się nagle Eugenia.

Witold machnął ręką.

– Nie tęskni! Znacząco tęskni, ale nie w ten zaborczy sposób. Cały czas powtarza mi, że ten rok na emigracji nauczy naszą córkę więcej, niż my sami próbowaliśmy przez te wszystkie lata. Zawsze mogła na nas liczyć i nawet jeżeli wzbraniała się przed tą pomocą rękami

i nogami, to jednak wiedziała, że rodzicielska siatka bezpieczeństwa rozpostarta pod jej tyłkiem ochroni ją przed bolesnym upadkiem.

– Raczej omota tak, że ruszyć się nie będzie mogła! – Eugenia parsknęła jak młody żrebak. – Mam nadzieję, że Nina nie będzie taka głupia i nie rzuci wszystkiego po tym roku „próby”. Z całym szacunkiem, ale ta odległość wyjdzie wam wszystkim na dobre.

– Próżne nadzieje, moja droga. – Witold zmroził siostrę firmowym spojrzeniem Kostrzewskich. – Nina wciąż planuje reaktywować tę swoją księgarnię. Niedawno pytała mnie nawet, czy mógłbym rozglądać się powoli za nową lokalizacją. Tym razem umyśliła sobie połączyć książki z kawiarnią. Czy raczej pijalnią czekolady.

– À propos napojów... Czy dostanę w tym domu choćby najmarniejszą filiżankę herbaty? O suchym pysku mam siedzieć? Jak ty gości podejmujesz? – huknęła Eugenia. – A gdzie tak właściwie podziewa się Aurelia?

– Dokładnie o to samo mógłbym zapytać ciebie – burknął Witold. – Zniknęła już kilka godzin temu i Bóg jeden wie, dokąd poszła... Chodź do kuchni, zrobię ci tej herbaty! A może lepiej jak ty ją zaparzysz? Ja nigdy nie wiem, ile tego suszu sypać do koszyczka...



Aurelia z ulgą wysiadła z zatłoczonego i śmierdzącego spalinami autobusu. Przystanąła przy pamiętającym jeszcze czasy głębokiego PRL-u rozchwierutanyemu znakowi informacyjnemu. Łapczywie wciągnęła do płuc świeże powietrze przemieszane ze słodkim aromatem pól rzepaku, rozciągających się wokół jak okiem sięgnąć. Autobus, rżąc kłębami dymu, pojechał dalej i Aurelia została na drodze sama. Słońce wychyliło się nagle zza ciężkiej szarej chmury i opadło czułym promieniem na jej policzek. Kostrzewska poprawiła krzywo zapięty jasny sweter i, rozglądając się na boki, ruszyła w prawo. Pamiętała, że szpital znajdował się w odległości jakichś dwóch kilometrów od przystanku. Musiała tylko uważać, żeby nie przegapić wąskiej ścieżki, która niezauważalnie odchodziła od głównej szosy w kierunku ponurego gmaszyska w lesie. Pobocze było zarośnięte po pas pokrzywami, ale droga musiała być przejezdna. W końcu to szpital. Co prawda zapomniany przez Boga i ludzi, ale jednak jakieś karetki i zaopatrzenie nadal tutaj kursowały.

Tak jak myślała, po kilkuset metrach wśród zarośli dojrzała w końcu pełną drogę prowadzącą w głąb lasu. Przy ścianie pokrzyw ktoś litościwy wbił w ziemię skleconą naprędce z kilku desek drewnianą tabliczkę: „Szpital psychiatryczny – 200 metrów”. Aurelia przyśpieszyła kroku. Wspomnienia, do których już dawno nie wracała, na powrót zacisnęły

lepkie palce na jej szyi. Bała się, ale nie mogła już wycofać. Musiała dowiedzieć się w końcu, kto kłamał, a kto mówił prawdę.

Po kilkunastu minutach przed jej oczami ukazał się niewielki wybetonowany parking. Stały tu dwa przyrdzewiałe nieco samochody dostawcze i czerwony fiat punto. Aurelia przystanęła i rozejrzała się dookoła. Ani żywej duszy. Wszędzie panowała złowieszcza cisza. Nawet ptaki zdawały się wymownie milczeć. Ruszyła naprzód. O mały włos wpadłaby w wielką dziurę, którą ktoś nieumiejętnie próbował łątać, zalewając częściowo asfaltem. Jej skórkowe baleriny pokrywały dziwne żółte i zielone plamy. Pewnie od tych pleniących się wszędzie mleczy.

Kiedy dotarła w końcu do wejścia, pot spływał cienką strużką wzdłuż jej kręgosłupa. Z ciężkich drzwi całymi płatami odchodziła brzydka brązowa farba, ukazując obszarpane deski. Aurelia chwyciła za mosiężną klamkę. Drzwi ustąpiły z przeraźliwym zgrzytem, a ona znalazła się w chłodnym, cuchnącym wilgocią ciemnym wnętrzu.

– Mamo, czy ona naprawdę musi tutaj być?

– Tak, kochanie. Wyzdrowieje i szybciej do nas wróci. Uwierz mi. Ty również musisz ją przekonać, że to dla jej dobra.

Głosy w głowie Aurelii przybrały na sile. Musiała z kimś porozmawiać. Teraz, natychmiast. Inaczej mogło się to źle skończyć.

– Halo! Jest tu ktoś? Halo! – wrzasnęła.

Jej głos, zwielokrotniony echem, odbił się od wysokich stropów gmaszyska. Budynek wyglądał na wymarły. Ale ten zapach... strachu... był wciąż taki sam.

– Nie zostawiaj mnie w tym miejscu, Relka. Pomóż mi stąd uciec!

– Nie mogę, Emilka. Jesteś chora, a tutaj cię wyleczą. Tak mówi mama. Zaufaj jej, ona cię bardzo kocha.

W głębi holu rozległy się nagle ciężkie kroki.

– Czego tam? Zamknięte! Cały oddział przeniesiono do Zaborowic. Niech stąd idzie!

Otyła starsza kobieta w bawełnianej opasce na siwych włosach patrzyła na Aurelię ze złością.

– Przyszłam tylko zapytać. Nie wiedziałam... – Czowała, że jeżeli natychmiast nie weźmie się w garść, rozplacze się jak dziecko. – Próbowałam szukać waszej strony internetowej. Telefon nie odpowiadał...

Kobieta roześmiała się drwiąco, ukazując drobne żółte zęby.

– Jaka strona? Co za brednie! O czym ta strona niby ma być, o wariatach? A telefon już dawno wyłączony. Do Zaborowic wszystko przenieśli, przecież mówię. Niech już sobie stąd idzie. Nie ma tu czego szukać – sapnęła i odwróciła się na pięcie.

– Niech pani poczeka! – zawołała Aurelia i odruchowo pobiegła za nią.

Chwyciła za miękkie, rozlane ramię nieznanym. Ta fuknęła z irytacją i strząsnęła ze wstrętem jej rękę, tak jakby była jakimś insektem.

– Czego znowu chce?

– Jak długo pani tutaj pracuje? Proszę mi pomóc... – dodała. Głos jej się łamał.

Kobieta łypnęła na nią podejrzliwie.

– A co to komisarz jaki? Policja, że tak wypytuje?

– Nie... żadna policja. Szukam kogoś, kto pracował tutaj przed trzydziestu laty. Moja siostra była pacjentką tego szpitala. A może mogłaby mi pani udostępnić jakieś akta? Dossier? Historię jej choroby? – Ożywiła się nagle.

– Wszystko już zabrane, cały sekretariat pusty. Ale ja żadnych informacji udzielać nie będę. Nie jestem biuro numerów!

Aurelia wyszarpnęła z torebki portfel. Kobięcina zgromiła ją wzrokiem.

– Niech se w dupę swoje dolary wsadzi! Co, myśli, że ja jak Judasz przekupna?!

Aurelia, nie mogąc już powstrzymać łez, wybuchnęła płaczem.

– Przepraszam, nie wiem, co robię... Błagam o pomoc. To bardzo ważne.

Nieznanym nieco złagodniała.

– Papierów to żadnych już nie ma... – Zamyśliła się. – Pożar tu był, już z dziesięć wiosen temu. Ogień pensjonariusz zaproszył. Durny Maniek na niego mówili. Od maleńkiego ojciec trzonkiem od siekiery go po łbie lał, to nie dziwota, że chłopaka rozumu pozbawił. Ale zamiast wariata pilnować, to go samopas puszczali, że niby niegroźny. Ostrzegałam, ale kto tam baby, posługaczki głupiej, słucha. „Janowa, lepiej pilnuj, żeby sedesy w kiblach lśniły, a do diagnoz ty się nie wtrącaj”, tak mówili. No i wykrakałam! Jednej nocy o mało z dymem nas nie puścił. Z tej strony tak nie widać, ale jak od lasu pójdzie, na północ, to cała ściana do muru wypalona.

– A pamięta pani może Emilię? Emilia Dobrzycka! Kilkadziesiąt lat temu leczyła się u was... To moja siostra. Zaraz zdjęcie pokażę. Była jak z obrazka. Miała piękne rudoblond

włosy. – Aurelia gorączkowo przetrząsała torebkę.

– Wtedy to ja jeszcze tutaj nie pracowałam! Tak bym pewnie pamiętała. Pani też niebrzydka... – Po raz pierwszy odezwała się do niej na per pani, a nie bezosobowo.

Aurelia poczuła się stara i zrezygnowana. Tak liczyła na to, że czegoś się tutaj dowie, ale wszystko wskazywało na to, że ta uliczka jest ślepa. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić.

– Ale może stara Grodnicka będzie wiedzieć? – odezwała się nagle Janowa. – Ona tutaj od początku była. To dochtórka od wariatów. W mieście każdy ją zna. Już na emeryturze, ale wszędzie jej pełno. Społeczniczka, psia mać.

– Jak się nazywa ta lekarka? – Aurelia poczuła, że wraca do życia. – Grodnicka?

– Tak. Maria – potaknęła Janowa.

ROZDZIAŁ 37

Biesiady i obietnice



– Ależ to był dzień! A najlepsze czekało nas na sam koniec! – Nina z lubością poklepała się po brzuchu. – Skąd ty wytrzasnąłeś tę knajpę? W życiu nie jadłam tak dobrych klusek. I starej dobrej margherity. To ile tych pizz wtranżolił Kris? CZTERY?

– Obawiam się, że sześć. Plus podwójne tiramisu – powiedział ze śmiechem Romeo. – Jeżeli nie dostanie dziś w nocy rozstroju żołądka, to nazywam się król Willem-Alexander.

Nina płakała ze śmiechu. Na samo wspomnienie kłapiącego wygłodniałą paszczą Krisa łyzy ciekły jej po policzkach. Już dawno się tak dobrze nie bawiła.

Dochodziła północ. Romeo i Nina dojeżdżali właśnie do Deventer. W oddali nad cienkim paskiem autostrady górowała rozświetlona wieża kościoła Świętego Lebuina i charakterystyczny żelazny łuk mostu Wilhelminy.

„To był świetny pomysł, żeby zabrać całą ferajnę do Little Italy na Jordaanie” – pomyślał Romeo i zjechał z autostrady. To miejsce odkrył Valentijn. Zawsze zapuszczał się w najbardziej zagadkowe zakątki Amsterdamu. Ta dzielnica przypominała włoski skrawek na holenderskim patchworku.



Na wąskich trotuarach pod kolorowymi markizami stały tutaj miniaturowe stoliki, przy których dwadzieścia cztery godziny na dobę biesiadowali wesoło rozgadani ludzie. Zewsząd rozbrzmiewały języki z niemal całego świata, ze zdecydowaną przewagą śpiewnego *italiano*. Romeo zabrał Ninę i Krisa do knajpki La Perla, usytuowanej na rogu Tweede Tuindwarsstraat.

Kiedy weszli do trattorii, już od progu przywitał ich zapach ciasta zmieszanego z aromatami świeżej bazylii, pomidorów i włoskiej oliwy.

Romeo pomachał wesoło do stojącego za barem starszego szpakowatego mężczyzny w poplamionym czerwonym sosem fartuchu.

– To Mario, właściciel – szepnął do Niny. – Toleruje mnie, ale uwielbia Valentijna. Obaj są mrukami. I obaj kochają Jordaan... Siadajcie tutaj, przy oknie.

Na stole kusił już wypełniony świeżym pieczywem gigantyczny talerz. Kris rzucił się na bułki, jakby nie jadł sto lat. Nawet nie maczał ich w aromatycznej oliwie, tylko od razu pchał do ust.

– Ten chłopak to zaprzeczenie włoskiej filozofii życia! – zagrzmał nagle nad nimi Mario.

Zapisał zamówienie (Nina zdała się na smak Romea, a Krisowi było wszystko jedno, byle dużo) i, śpiewając pod nosem, popędził do kuchni.

– Co miał na myśli, mówiąc o tej filozofii? – Nina spojrzała pytająco na Romea.

– Włoska kuchnia to nie tylko smaki i aromaty. To swoiste życiowe credo, smakuj i celebryj każdą chwilę powoli, wszystkimi zmysłami. Nie śpiesz się, nie wkładaj do ust zbyt dużych kęsów, chłoń egzotyczne wonie, próbuj nowego i chwytaj garściami moment. Ten moment. *Carpe diem*.

– Te wasze celebracje! Jestem na to zbyt głodny – burknął Kris. – To gdzie ta pizza?

Nina i Romeo parsknęli śmiechem. Romeo czuł spokój. I szczęście. Ta chwila już chyba na zawsze będzie mu się kojarzyć ze świeżym rozmarynem, tymiankiem i z pewną uroczą dziewczyną z Polski.

Kris przeżuwał szybko niezdrowy gluten i popatrywał ukradkiem na sympatycznego Holendra, który uratował mu tyłek. Te maślane oczy! Nieborak wpadł po uszy. Niezły był, ale niestety Nina nie wydawała się nim zainteresowana. Chyba że się mylił, w końcu znał się na miłości jak ślepy na kolorach. Ale ładnie wyglądali razem, musiał to przyznać.



Romeo wjechał na parking i zgasił motor. Nina odpięła pas i przeciągnęła ścierpnięte ramiona. Cienki materiał sukienki opasał szczelnie jej pełne piersi. Romeo uchylił okno. Do środka wpłynęło ożywcze nocne powietrze. Przez chwilę milczeli. Każde na swój temat. Romeo pragnął przedłużyć tę chwilę w nieskończoność, ale Nina ziewała dyskretnie, a on był dżentelmenem.

– Odprowadzę cię do domu – powiedział i wyskoczył z auta.

Tym razem jednak nie czekała, aż otworzy jej drzwi.

– To nie jest konieczne. Poświęciłeś mi dzisiaj wystarczająco dużo czasu. Nigdy ci się nie odwdzięczę za tyle życzliwości – powiedziała szczerze.

Zabrzmiało to sztywno. Zdecydowanie powinna użyć bardziej ciepłych słów, ale jej umysł pracował już na trybie nocnym.

– Przyjaźń to nie jest transakcja wiązana. – Romeo błysnął w mroku białymi zębami. – A teraz chodź. Przecież widzę, że ledwo stoisz na nogach.

– Czy ktoś ci już powiedział, że jesteś niedzisiejszy? Niezwykły? Przedwojenny typ z manierami. Takich facetów już nie produkują, matryca się wyczerpała. A szkoda.

– Nie produkują, bo nie ma na nich zapotrzebowania. Kobiety wołają *bad boyów* – mruknął pod nosem.

– Coś mówiłeś? – Nina ponownie ziewnęła rozdzierająco.

Stanęli właśnie przed Malinową Bombonierką. Łagodne światło z fikuśnej latarni retro, stylizowanej na gazową, łagodnie rozświetlało ich twarze.

– Idę na górę... – szepnęła Nina. – Jestem wykończona. Dziękuję ci raz jeszcze.

Delikatnie dotknęła jego dłoni. Przytrzymał jej rękę, a potem przyciągnął do siebie całą. Objęła go mocno. Z całych sił próbowała powstrzymać się przed zamknięciem oczu. Bała się sprawdzać, co, a raczej kto czai się pod powiekami. To było silniejsze od niej. A nie chciała czuć się nie fair. Musiała mu o tym powiedzieć. Ale jeszcze nie teraz. Nie dziś.

– *Welterusten*[\[18\]](#), Ninaatje... – powiedział miękko. Wyczuwał jej wahanie, ale nie musieli się śpieszyć.

Nina drgnęła. Ktoś już kiedyś nazwał ją tym zdrobnieniem. Tak niedawno...

Romeo poczekał chwilę, aż w miniaturowym okienku na górze zapaliło się światło, a potem ruszył wolno w stronę swojego domu. Nie czuł zmęczenia, raczej podekscytowanie. Przez ułamek sekundy miał nadzieję, że Nina zaprosi go do siebie, ale widocznie ich moment jeszcze nie nadszedł. To nie była taka dziewczyna, miała swoje zasady. Najpierw przyjaźń, a potem... kto wie. Naprawdę warto na nią czekać.

W podcieniu kamienicy mieszczącej croissanterię nagle dostrzegł jakiś ruch. Wytężył wzrok. Z mroku nocy wyłoniła się znajoma sylwetka.

– I jak się udała randka? Widziałem, jak się obściskujecie. – Valentijn błysnął ogniem zapalniczki i po kilku sekundach do nozdrzy Romea doszedł gryzący dym papierosa. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że dla tej dziwki poświęciłeś popołudnie z własnym bratem. Gratuluję!

– Jesteś pijany, durniu! – Romeo podszedł bliżej. – Gdzieś ty się szlajał? Myślałem, że pojedziesz na te żagle. – Złapał go za ramię, ale Valentijn się wyszarpnął.

– Nie jestem pijany! Zostaw mnie! Mam tego wszystkiego serdecznie dość! Rozumiesz?! Nie, ty nic nie rozumiesz! – odpowiedział sam sobie.

– Bredzisz, brat. Chodź, zaprowadzę cię do domu. Dosyć na dzisiaj tego alkoholu.

– Spierdalaj! Nie będziesz mi mówił, co mam robić, pieprzony świętoszku! Wracaj do swojej lalki, ja idę w miasto! *Adieu!* – Chwiejąc się nieco, Valentijn ruszył w głąb ulicy, w stronę placu de Brink.

Romeo wzruszył ramionami. Jutro będzie go reanimował. Dzisiaj nie miało to sensu. Jeszcze by się pobili. Pobaluje dwie godziny i wróci do domu. Zdarza się. Valentijn to buntownik bez powodu, od urodzenia.



Tymczasem buntownik, klnąc pod nosem, próbował utrzymać się na nogach. Na ulicy oprócz niego i jego własnego cienia nie było nikogo. „Co z wami ludzie? Śpicie już jak emeryci, a życie przepływa wam przez palce” – pomyślał z wściekłością i kopnął leżący na bruku kamień. Bryłka potoczyła się aż pod same drzwi malinowej kamienicy. Valentijn stanął jak wryty i zadarł głowę. Okno rozświetlało płynące gdzieś z głębi pomieszczenia ciepłe światło. Na tle szyby majaczył czarny kontur kobiecej sylwetki. Krągłe linie jej nagiego ciała rysowały się miękką kreską w okiennej ramie.

Valentijn poczuł, że jego ciało drętwieje, tak jakby ktoś wrzucił je do beczki z zastygającym betonem. Nie mógł ruszyć żadną częścią ciała. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w kobietę na górze. W końcu udało mu się unieść prawą rękę. Obrysował opuszkami palca miękką kontur stojącej w oknie dziewczyny. Głośno przełknął ślinę i poczuł nagły ból. Beton, który jeszcze przed sekundą trzymał go w ryzach, odpadał całymi płacami, roztrzaskując się na trotuarze, tuż obok jego stóp.

– To się nie wydarzy – szepnął. – Nienawidzisz jej, rozumiesz? Od dawna wiadomo, że w tej rodzinie to ty przejąłeś całą odpowiedzialność. On zasługuje na lepsze życie. Musisz tego dopilnować, Val. Inaczej to wszystko się posypie.

– *Val, przyrzeknij, że zajmiesz się Romeem. On jest taki niedzisiejszy! Obiecuj mi, że nie dasz mu zrobić krzywdy, synu. Ty zawsze sobie poradzisz.*

– *Jasne, mamó... O nic się nie martw. Kocham cię, wiesz? I bawcie się dobrze na tych wakacjach.*

Z trudem ruszył naprzód. Bał się oglądać za siebie. Miał ogromną nadzieję, że night club Exstasa przy Nieuwe Markt jeszcze działa. Musiał się przespać z jakąś dziwką. Właśnie dzisiaj potrzebował seksu jak tlenu.

[18] hol. Dobranoc.

Wielkie otwarcie i jeszcze większa kłótnia



– Nina! Nina, do cholery! Wstawaj! Ale już!

Przytłumiony głos jak z zaświatów z trudem docierał do pogrążonego w mlecznobiałej mgle mózgu Niny.

– Mamo, daj mi jeszcze pięć minut – jęknęła i z trudem uniosła powiekę.

– Jaka mama? To ja, Evelien. Za kilka godzin mamy wielkie otwarcie Bombonierki. Wyskakuj z betów, właścicielko.

Nina oprzytomniała w ciągu sekundy. Zerwała się z łóżka i zaczęła skakać nieskładnie po pokoju.

– Gdzie ja położyłam te dzinsy? Niech to szlag! I kto tu zrobił taki bałagan? – mruzczała sama do siebie.

Jej miniaturowe uporządkowane królestwo przypominało teraz pole bitwy. Wszędzie poniewierały się wyciągnięte z szafy ciuchy. Ach tak, Amsterdam! Była wczoraj w Amsterdamie i nie mogła zdecydować się na outfit. Z oparów snu w końcu zaczęły się wyłaniać wczorajsze wspomnienia.

– Evelien, ratuj! W co ja się ubiorę?! – zawołała zrozpaczona. – Przecież nie wystąpię w białej koszuli i granatowej spódnicy, jak pensjonarka!

– Spokojnie, zaraz coś wymyślimy. Ciuchy to w tej chwili najmniejszy problem, choć nie wiem, czy powinnam ci teraz o tym mówić... zważywszy na to, że to twój wielki dzień... – Zakłopotana Evelien przygryzła dolną wargę.

– Co się stało?! Błagam, tylko nie mów, że któryś z dostawców nawalił w ostatniej chwili! Nie! Już wiem! Kieliszki nie dojechały, tak?! Kwiaty?! Boże, wiedziałam! Wiedziałam, że tak

będzie! – Nina się miotła, w końcu dopinając na tyłku dzinsy.

– Żadne kieliszki, uspokój się. Wszystko stoi przygotowane i wypucowane. Nawet obrusy już są. Chodzi o Jeurissenów... – dodała nieco ciszej Evelien.

Nina zamarła jak żona Lota.

– O czym ty mówisz? – wyjąkała. – Wczoraj w nocy widziałam się z Romeem i wszystko było w porządku. Co się mogło wydarzyć w ciągu tych kilku godzin? – Poczła rozlewający się po ściśniętym żołądku niepokój.

– Isa przybiegła do mnie rano, że właśnie dziś Romeo i Valentijn zaprezentowali w cukierni nową, wypasioną, jak to określiła, gablotę pełną belgijskich pralinek. A na zewnątrz, tuż przy wejściu, stoi nowa tablica informująca, że mają w ofercie gorącą czekoladę. I lody. Z niebiańsko atrakcyjną zniżką czy jakoś tak.

– Niebiańskie ceny i diabelnie dobra czekolada, tak?! – wrzasnęła Nina i cała krew odpłynęła jej z twarzy. – Co za drań! Jak on mógł?! Rozerwę go na strzępy! Gdzie jest, do jasnej gromnicy, mój podkoszulek?! Ja im zaraz dam czekoladę!

Gdyby wzrok mógł zabijać, każdy, kto znajdował się w pobliżu Niny, już dawno by nie żył. Evelien usunęła się z drogi w samą porę, gdyż panna Kostrzewska jak torpeda wypadła z pokoju i, o mały włos nie łamiąc nóg, pognęła na dół. Na szczęście zdążyła się ubrać.



– Co tu robi ta gablota? Val, cholera jasna, przecież wyraźnie powiedziałem, że nie zgadzam się na rozszerzanie oferty o czekoladę! Po co nam to? Mało mamy stałych klientów przyzwyczajonych do naszych wypieków? – Romeo wbijał wściekły wzrok w plecy brata odziane w firmowy fartuch.

„Od kiedy Valentijn nosi fartuchy?! Zawsze, ale to zawsze odmawiał ich zakładania, twierdząc, że szef nie musi paradować w mundurkach!” – irytował się w myślach.

– Odwróć się przynajmniej, kiedy do ciebie mówię! – zagrzmiał i momentalnie zamilkł, gdyż tuż obok, przy marmurowej ladzie, stanęły właśnie dwie nastolatki.

– Możemy prosić o *softijs*[\[19\]](#) z orzechową posypką? – Dziewczyny zachichotały, obdarzając się przyjacielskimi kuksańcami.

– Ależ oczywiście, już działałam! – Valentijn odwrócił się błyskawicznie, prezentując klientkom swój zniewalający uśmiech.

Nastolatki, widząc nadzwyczaj przystojnego, choć już starszawego (musiał mieć koło trzydziestki!) męzczyznę, spłonęły rumieńcem.

Valentijn sprawnie, jak gdyby od lat nie robił nic innego, wyciągnął z pojemnika wafle, napełnił je waniliowym przysmakiem i przekręcając zgrabnie różki pod podajnikiem maszynierii, kręcił fantazyjne esy-floresy na puchatej lodowej chmurce. Dziewczyny wpatrywały się w niego z zachwytem.

– Przyprawdźcie koleżanki – zachęcił Valentijn. – Dajemy zniżkę dla stałych klientów. A już jutro będą nowe lody, o smaku gumy balonowej. Zapraszam! – Mrugnął do nastolatek, z dumą wręczając im wafle.

Dziewczyny położyły na ladzie starannie odliczoną sumę w drobnych monetach i z głośnym śmiechem wypadły z cukierni. W tym samym momencie do środka weszły dwie starsze panie i od razu udały się w kierunku gabloty ze słodyczami. Uwijała się tam już jak fryga praktykantka Lieke z warkoczami niczym Pippi Langstrumpf. Staruszki najpierw pozachwycyły się jej włosami, a potem kazały zapakować sobie kilka czekoladek „na spróbunek”.

– A może napiją się panie gorącej czekolady? Jest niebiańsko dobra! Znaczący diabeł... po prostu niewiarygodna – nawijała Lieke. – W prawdziwej porcelanie, w żadnych tam papierowych jednorazówkach.

Zerknęła ukradkiem na stojącego przy maszynie do lodów szefa. Ten skinął z aprobatą głową. Będą z tej małej ludzicy. Mówiła dokładnie to, czego dopiero dziś rano ją nauczył.

– I co ty na to, czarnowidzu? – Valentijn w końcu raczył spojrzeć na brata. – Nie wtrącaj mi się do biznesu, bo wiem, co robię. Zamiast stać tutaj i marudzić jak stara ciotka, lepiej zainteresuj się awarią pieca. Przypuszczam, że chodzi o czujnik temperatury, ale wołałbym, żeby Anton to sprawdził. Na cito! Możesz do niego zadzwonić? Najlepiej teraz. No nie patrz na mnie, jakbym ci ukradł ciastko z talerza. W końcu to ja się staram, żebyś mógł je sobie tam położyć. A teraz z łaski swojej wyjdźmy na zewnątrz, bo wypłoszymy wszystkich klientów. Croissanteria to nie miejsce na takie rozmowy.

Valentijn odwiązał fartuch i z ulgą odwiesił go na ukryty za lodówkami wieszak. Przejechał dłońmi po opadających na czoło ciemnych włosach i zaplątał je w kitkę. Miał na sobie zieloną koszulę podkreślającą kolor jego oczu. Zawsze zawijał mankiety, tak jak jego ojciec. Fizycznie bardzo go przypominał. Romeo wyglądał jak matka, ale każdy, kto na nich spojrzał, w mig dostrzegał, że są braćmi. Obaj byli wysocy, dobrze zbudowani, o podobnych rysach, a jednak te w twarzy Romea miały więcej miękkości, Valentijna były twardsze, męskie, bardziej nieprzejednane. Trudno było z nich wyczytać jakieś emocje.

Dzwoneczek przy drzwiach zabrzączał wdzięcznie. Jeurissenowie wyszli na brukowaną ulicę. Na oknach i przy drzwiach croissanterii pyszniły się wybująe surfinie w drewnianych kwietnikach. To Romeo miał zdecydowanie lepszą rękę do zieleni i lubił grzebać w ziemi. Gdyby tylko mógł, zastawiłby całe wnętrza doniczkami.

– Zorganizowałeś to wszystko za moimi plecami, Val – powiedział cicho Romeo. – To nie jest w porządku. Nigdy nie kwestionowałem twoich biznesowych decyzji ani twojego zmysłu do interesów, ale przynajmniej wszystko ze mną konsultowałeś. A teraz? Ta cała maszyna, sprzęty, towar? Na Boga, Val, uknułeś tę całą intrygę podczas mojej nieobecności? *Wanneer?*

– Kiedy? Chyba sobie kpisz! Dokładnie wtedy, kiedy ty urządałeś sobie amsterdamskie randki z konkurencją! – zagrział Valentijn.

– Nina nie jest dla nas żadną konkurencją! Ile razy mam ci to jeszcze powtarzać?!

– Nie? – Val uniósł brew. – To kto w takim razie gna tutaj na łeb, na szyję z miną rozszalałej harpii? Czyż to nie twoja słodka przyjaciółka i NIEKONKURENTKA? Czyżby więc kierowała nią zazdrość? – Valentijn wsadził ręce do kieszeni dżinsów i z ironicznym uśmiechem popatrywał w głąb ulicy, gdzieś ponad głową brata.

Romeo spojrział na niego zdumiony, po czym odwrócił się na pięcie.

– Co was tak bawi?! – wrzasnęła Nina i dopadła do tablicy ustawionej prawie na środku wąskiej uliczki.

Dziewczyna miała roztrzepane włosy i zaczerwienioną buzię. Jej oczy płonęły czystą złością.

– To, że starszy z was jest kompletnym i niereformowalnym dupkiem, to już wiedziałam – rzuciła, ujmując się pod boki. – Ale ty... – Wlepiła wzrok w Romea. – Naprawdę sądziłeś, że udając przyjaźń ze mną i zdobywając podstępnie zaufanie, będziesz mógł donosić o moich pomysłach swojemu braciszкови z piekła rodem?!

– Uspokój się, Nina. O niczym nie wiedziałem. – Romeo pobrał gwałtownie.

Nina roześmiała się szyderczo.

– Kłamiesz! Wspominałeś niedawno coś o pomysłach sprowadzania czekolady z Belgii. Obiecałeś, że nigdy do tego nie dopuścisz, bo chcesz grać fair. A dziś... w dniu otwarcia Bombonierki, jak gdyby nigdy nic wystawiasz gablotę z prawie identyczną ofertą?! Jak ja mogłam ci tak zaufać?! Chodziło tylko o ten pieprzony biznes!

– To nieprawda... Jak możesz tak myśleć?

Nina już mu nie wierzyła. Gdyby nie fakt, że emocje wrzały w niej jak w diabelskim kotle, z pewnością popłakałaby się ze złości, jak dziecko.

– Z całym szacunkiem... mój ród nie wywodzi się z piekła, a z Amsterdamu – wtrącił nagle Val.

– Możesz się nie odzywać? – zgasiła go Nina. – Umiecie tylko kraść cudze idee! To ja wymyśliłam niebiańskie ceny i diabelnie dobre smaki! Jakim prawem to hasło znajduje się w ofercie waszej cukierni?!

Romea na moment aż zatkało.

– Musisz mi uwierzyć, Nina! Z ręką na sercu, naprawdę nie miałem o niczym pojęcia... Poza tym na pewno nie wspominałaś mi o tej akcji. – Zmarszczył czoło. – Widzę to hasło po raz pierwszy w życiu.

– Nie wierzę ci! To był pilnie strzeżony sekret! – zawołała rozgoryczona. – I WY nagle o nim wiecie? Przyznaję, mogłam przez nieuwagę napomknąć o tym pomysle na promocję w jednej z naszych rozmów. Przyjacielskich! – podkreśliła z goryczą. – To musiało wyjść od ciebie, Romeo. Nie ma innej opcji. Ale to już się nie powtórzy. Niech każdy robi swoje, ale od dziś trzymajcie się ode mnie z daleka. Obaj!

ROZDZIAŁ 39

Gorycz sukcesu



Kilka godzin później po złości Niny nie został nawet ślad. Nadal czuła irytację, rozczarowanie i żal, ale nie mogła pozwolić, żeby ten nieprzyjemny incydent zepsuł jej radość z dnia, na którego sukces pracowała ciężko przez kilka ostatnich tygodni. Ona i jej cudowny team. Gdyby nie Evelien i dziewczyny, Lars van Haasteren i kilka innych dobrych duchów jej Bombonierki, nigdy nie mogłaby stać w progu malinowej kamienicy i witać najznamienitszych mieszkańców Deventer. Przybyli tłumnie, w większości zapewne zaciekawieni, jak zupełnie obca siostrzenica lubianej i poważanej Emmy podola niełatwemu zadaniu reaktywacji ukochanego miejsca wielu z nich.

W Bombonierce pojawili się zastępca burmistrza, kilku radnych, dyrektor miejscowych browarów DAVO, znajomi Emmy z klubu przedsiębiorcy i anonimowi, ale nie mniej ważni klienci Bombonierki. Wszyscy z nich znali Emmę, podziwiali jej upór, bezkompromisowość i pogodę ducha. Prawie każdy na widok rozpromienionej Niny, ubranej w koronkową białą sukienkę i buty na obcasach, dyskretnie ocierał łzę. Ta dziewczyna była tak podobna do Emmy! Nawet długie blond włosy poprzeplatane rdzawymi pasmami upięła dzisiaj tak samo jak jej ciotka. Zdradzał ją tylko język. Mówiła po angielsku z zabawnym miękkim akcentem, choć specjalnie na dzisiejszą uroczystość nauczyła się kilku słów powitania po holendersku. Evelien pracowała z Niną wieczorami nad prawidłową wymową trudnych słówek, a teraz patrzyła z dumą, jak jej podopieczna świetnie sobie radzi.

Goście, podjadając czekoladki kunsztownie ustawione w piramidkach na paterach, spacerowali po pięknie odnowionej Bombonierce. Niektórzy przysiadali na krzesłach

w ogrodzie, kryjąc się pod kolorowymi parasolkami wśród rozstawionych donic z kwiatami, inni prowadzili ciche rozmowy z dawno niewidzianymi znajomymi i rozpływali się nad wyborną gorącą czekoladą. Na zapleczu chocolaterii praca wrzała jak w wielkiej fabryce. Dziewczyny przyjmowały zamówienia, dokładały pralinki, które znikwały z tac z prędkością błyskawicy, i pakowały pudełeczka na wynos, obwiązując każde z nich fantazyjnymi malinowymi wstążeczkami.

– Isa, widziałaś gdzieś tę małą? Jak jej tam... Marjolein? – sapnęła Nora i przetarła chustką spocone czoło. – Dziewczyna miała pomagać w sprzątanii, ale chyba w ogóle się dziś nie pojawiła. Skaranie boskie z tymi młodymi. Za grosz szacunku do pracy nie mają – burczała, czyszcząc poplamiony czekoladą marmurowy blat.

– Na pewno jej nie było – potaknęła Isa. – Też tego nie pojmuję. Sama się zgłosiła od razu, kiedy wywiesiłam tę kartkę z informacją, że szukamy personelu. Miałam co prawda wątpliwości, ale dziewczyna wydawała się chętna do roboty. A tu masz!

– Wcale chętna nie była. Latała jak z pieprzem, wszędzie wtykała nos, ale poza tym nic – prychnęła Nora. – Lubiła za to podsłuchiwać! Dwa razy ją przyłapałam, jak stała z uchem przyklejonym do drzwi. Nina coś tam z Evelien omawiały, a ta jak zaczarowana z gębą otwartą każde słowo łykała. Oczywiście od razu do roboty zagoniłam, może nawet i za ostro huknęłam, to się obraziła i już nie przyszła. Trudno, nie ma czego żałować, ale dalej szukać musimy, bo jak sama widzisz, ledwo co nadażamy z produkcją.

– Dziewczyny, chodźcie na chwilę, posłuchacie Niny. – Do kuchni zajrzała wyfryzowana Evelien. – Sama jestem ciekawa, co przygotowała, bo nawet mnie nie pozwoliła przeczytać swojej przemowy.

Kobiety błyskawicznie ściągnęły fartuchy. Nora przejechała po ustach wyciągniętą naprędce zza pazuchy pomadką i obie weszły do cukierni. Eleganckie, ale nie przesadnie wystrojone towarzystwo wpatrywało się z życzliwym napięciem w podekscytowaną Ninę, stojącą w przyozdobionych kokardami drzwiach wychodzących do ogródka. Dziewczyna kurczowo ścisnęła w rękach kartkę, ale po chwili się roześmiała i odłożyła wygnieciony niemiłosiernie papier na stolik za jej plecami.

– *Goedemiddag, dames en heren!* [20] – powiedziała po holendersku, prawie bez cienia akcentu, co wszyscy zgromadzeni przyjęli z wielkim entuzjazmem.

Rozległy się gromkie oklaski.

– Dziękuję wam z całego serca – ciągnęła Nina. – Przede wszystkim za to, że pomimo tak długiej przerwy nie zapomnieliście o Malinowej Bombonierce. Nigdy nie miałam szczęścia

poznać Emmy, tak drogiej tym wszystkim, którzy ją znali, nad czym ogromnie ubolewam, ale naprawdę wierzę, że jej duch nadal tutaj krąży. Jest w każdej pralince, którą tworzymy z miłością, bo to ona nas tej miłości nauczyła. Miłości, cierpliwości, pokory i szacunku. Nadal nie pojmuję, dlaczego Emma wybrała na swoją następczynię właśnie mnie... – W pomieszczeniu rozległy się przyjacielskie pomruki. – Ale jestem jej ogromnie wdzięczna za tę szansę. Dzięki niej jestem teraz z wami, moimi przyjaciółmi, i mogę was zapewnić, że zrobię wszystko, żeby ciocia Emma była ze mnie dumna...

Ponownie otoczył ją gwar oklasków. Evelien po raz kolejny otarła łzę spływającą po policzku. Niestety obawiała się, że na dziś to jeszcze nie koniec tych wzruszeń. Nagle poczuła, że ktoś ciągnie ją delikatnie za szeroki rękaw jedwabnej bluzki. Tuż obok stał jak zawsze elegancki i wypachniony notariusz Lars van Haasteren. Jeszcze przed sekundą prawnik uśmiechał się promiennie, teraz na jego twarzy widniało silne wzburzenie.

– Zobacz, kto stoi pod ścianą – wyszeptał prosto do jej ucha. – Za plecami dyrektorowej Wilmink. Tylko patrz dyskretnie – syknął. – To skandal! Jak on śmie tutaj przychodzić?!

Evelien przesuwając powoli wzrokiem po w większości znajomych gościach. Nagle drgnęła, a jej twarz stężała. Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. W Malinowej Bombonierce, ukochanym miejscu Emmy, znajdował się jej największy wróg. Richard van Toorn.

Kiedy rozum śpi...



– Nino, naprawdę jestem z ciebie taka dumna! Mówiłam to już tysiąc razy, ale co mi szkodzi powtórzyć raz jeszcze! Wszyscy nasi znajomi są tobą zachwyceni!

Evelien nigdy nie była skora do roztkliwiania się nad sobą i światem, ale tym razem bez chwili wahania chwyciła Ninę w ramiona. Obejmowała ją mocno, czule gładząc po szczupłych plecach. Jej samej nikt nigdy nie przytulał ani nie powiedział dobrych słów. Wychowywała się w domu żołnierza Królewskiej Armii Holenderskiej. Jej ojciec uparcie skutecznie walczył z wojennymi warunkami, w którym nie było miejsca na czułość. Evelien nie umiała nawet uśmiechać się bez powodu, tylko dlatego, że świeci słońce albo że coś się jej udało w pracy. Przez całe lata umacniała w sobie tę oschłą, kostyczną, wycofaną kobietę, dopóki na jej drodze nie stanęła Emma. To ona nauczyła ją wierzyć i doceniać samą siebie, i cieszyć się z drobiazków. Pomimo że okoliczności, w których się poznały, nie nastrajały optymistycznie.

– A ja cały czas będę powtarzać, że to dzięki tobie to wszystko tak pięknie się udało. – Nina nie pozostała dłużna Evelien. – Tak się bałam, że ludzie odrzucą mnie tylko dlatego, że jestem tu obca. Wiem, doskonale wiem, co chcesz teraz powiedzieć, ale nie zapominajmy, że Emma mieszkała w Holandii całe lata. Mówiła w waszym języku, znała tradycje i obyczaje. Ja ciągle się tego uczę, ale nadal potrafię powiedzieć zaledwie kilka słów po holendersku. Poza tym, jak sama wiesz, nie zabawię w Deventer długo. To tylko fajna przygoda.

Evelien, słysząc to, uniosła brwi. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale milczała. Zaaferowana Nina nie zauważyła niepokoju na twarzy przyjaciółki i ciągnęła:

– Trudno mi będzie rozstać się z tym miejscem, ale czekają na mnie zobowiązania w Polsce – mówiła powoli, tak jakby ważyła słowa. – Nadal mam plany, które porzuciłam,

przyjeżdżając do Holandii. Poza tym wpadłam na świetny pomysł. Może po roku ty mogłabyś przejąć ode mnie Bombonierkę? Jak myślisz? Nie umiałabym jej oddać w obce ręce. Nie wyobrażam sobie tego, Evelien...

Ta pokręciła przecząco głową.

– Z całym szacunkiem, *schat*, ale ja nie mam twoich zdolności do zarządzania ludźmi. Brak mi twojej energii, kreatywności, poza tym mam już coraz mniej sił i cierpliwości do biznesu. Zobacz, jak szybko odmieniłaś to miejsce. To nieprawdopodobne, ile tu się teraz dzieje. Ja nawet nie wiedziałam, że istnieje coś takiego jak social media, a teraz nawet tam mamy swoją stronę. Te zdjęcia, które robisz i publikujesz, są takie piękne. Dałaś naszej Bombonierce drugie życie. Emma wiedziała, co robi. Zawsze jej powtarzałam, że jest czarownicą. Ona to wszystko przewidziała!

Nina mogłaby tego słuchać bez końca. Podłożyła zatem pod plecy poduszkę i rozparła się na niej wygodnie. Po całym dniu pełnienia honorów szefowej Bombonierki bolały ją stopy i ramiona. Siedziały teraz z Evelien na kanapie w przytulnym salonie Emmy. Wszędzie panowała kojąca cisza. Od czasu do czasu jakiś spóźniony przechodzień stukał obcasami po kamiennym trotuarze. Evelien rozlała do kieliszków czerwone wino. Wokół nich na stole, komodzie i wąskich parapetach stały palące się kojącym płomieniem grube świece. Po ścianach zadziornie skakały cienie. Nina nie lubiła górnego światła. Wolała wesołe migotanie ognia. Przynosiło jej ukojenie.

– Opowiesz mi w końcu, gdzie się poznałyście z Emmą? – Nina upiła spory łyk wina. Tym razem Evelien nie mogła się wykręcić. Nie miała szans.

– Bliżej poznałyśmy się w ośrodku wsparcia dla ofiar przemocy domowej – powiedziała tak po prostu. Jeszcze kilka tygodni temu ukryłaby ten fakt przed Niną, ale teraz wszystko się zmieniło. Chciała, żeby siostrzenica Emmy to wiedziała.

Kieliszek z winem zachybotał się niebezpiecznie w rękach dziewczyny. Dla pewności odstawiła szkło na stół.

– Dlaczego tam? – wyszeptała. – Emma... ciocia... ktoś ją bił?

– Jej własny mąż – potaknęła Evelien. – Nie znęcał się nad nią fizycznie, chodziło bardziej o to, że wmawiał jej przez całe lata, że jest nic niewarta, że jest nikim. Przemoc psychiczna jest trudniejsza do udowodnienia. Ran na duszy nikt nie widzi, co innego razy na ciele. Zobacz. – Evelien podciągnęła szybko rękaw bluzki. Na jej skórze widniały nieregularne, poszarpane różowe blizny.

– Stary lubił sobie gasić na moich rękach papierosy. To była jedna z najłżejszych tortur, które sobie umyślił... Nie żałuj mnie, Nino. Już to przepracowałam. Minęło mnóstwo czasu. Teraz jestem innym człowiekiem. Tylko te ślady znaczą mnie na zawsze. To sygnatura mojego minionego życia i byłego męża. Na wieki mnie już sobie „podpisał”. – Uśmiechnęła się blado.

– ON... żyje? – zapytała cicho Nina.

– Podobno jak pączek w maśle, gdzieś w Limburgii. Ale nie o nim miałyśmy rozmawiać – rzuciła.

– Moja matka mówiła, że Emma wyjechała do Holandii za wielką miłością. Czyżby tak bardzo się pomyliła?

– Tak na początku było – potwierdziła Evelien. – A potem Julian się zmienił. Był wojskowym, jak mój ojciec, wiem wszystko o ich sposobach musztrowania bliskich. Emma bardzo go kochała i całe lata przymykała oko na te jego wybryki. Gdyby nie Lars van Haasteren, z którym się przyjaźniła, pewnie nigdy nie wyrwałaby się spod poniżającej małżeńskiej kurateli. Jak widać, każdy z nas trafia w swoim życiu na dobrego ducha. W moim przypadku była to Emma, a w jej Lars. To bardzo dobry człowiek. Zrobiłby dla niej wszystko. Dlatego teraz tak cię wspiera. Bardzo przypominasz mu Emmę. Kochał ją całe swoje życie, ale to już zupełnie inna opowieść, Nino.

– Tak bardzo mi żal, że nie dane mi było poznać cioci... Dlaczego one się tak pokłóciły? Dlaczego Emma nigdy nie wybaczyła mojej matce, że ta nie wstawiła się za nią u babci? Czy jej wina naprawdę była aż tak wielka, żeby tak okrutnie ją karać i nie rozmawiać przez trzydzieści lat? To niewiarygodne! Zmarnowały tyle czasu, którego już nigdy nie da się odzyskać... Może ty wiesz coś więcej? – Na twarzy Niny malował się ściskający za serce żal.

– A co wyznała ci twoja mama? – zapytała ostrożnie Evelien.

– Wspominała, że Emma obwiniała ją, bo zawsze trzymała stronę babci.

– I to wszystko?

– Tak. Mama twierdziła, że próbowała wyjaśniać, tłumaczyć, przepraszać, ale to wszystko na nic. Rozumiesz coś z tego?

Evelien mruknęła coś pod nosem i odwróciła głowę. Skoro matka Niny nic jej nie powiedziała, nie chciała się wtrącać. To były ich rodzinne sprawy.

– Najważniejsze, że dała szansę tobie, Nino – powiedziała w końcu. – Myślę, że to był pierwszy krok ku polepszeniu relacji z siostrą. Na pewno bardzo chciała jej wybaczyć. Albo inaczej... Zapomnieć.

Nina zacisnęła mocno dłonie, tak że pobieleły jej knykcie.

– Spóźniłam się, mogłam przyjechać wcześniej. Zrobiłabym to od razu, gdybym tylko wiedziała o jej chorobie...

Evelien pokręciła głową.

– Emma nigdy nie chciała litości. Bała się jej. Gdyby napisała, że jest śmiertelnie chora, przyjechałabys z obowiązku, a nie z własnej nieprzymuszonej woli. A ona pragnęła tylko jednego... Żebyś pokochała Bombonierkę. I poprowadziła ją silną ręką, bo ona już nie dawała rady. Wierzyła do końca, że tak się stanie, ale nie chciała naciskać. Dlatego dała ci ten rok. To długo, ale tylko pozornie. Naprawdę to tylko miniaturowy wycinek czasu. Zostaniesz, Nino? – Evelien w końcu odważyła się o to zapytać. – Tak, mówiłaś, że masz plany, zobowiązania w swoim kraju, ale ja przecież czuję, że to miejsce jest ci drogie. Widzę to w twoim spojrzeniu. A ono nie kłamie.

Pomiędzy nimi na moment nastąpiła cisza.

– Nie wiem, Evelien. Naprawdę jeszcze tego nie wiem – powiedziała wolno Nina i zerknęła w bok.

Z obrazu na ścianie patrzyły na nią łagodne, dobre oczy Emmy.

Duchy ze starej szafy



Richard van Toorn starannie poprawił zawiązany fantazyjnie fular z jedwabnej grenadyny w kolorze starego złota. Jego skórzane mokasyny lśniły tak, że mógł się w nich przejrzeć jak w lustrze. Zawsze dbał o wygląd, nosił wyłącznie doskonale skrojone garnitury od najlepszych francuskich projektantów i koszule z najwyższej jakości egipskiej bawełny. Lubił luksus i wymyślne gadżety, drogie auta, pięciogwiazdkowe hotele, jachty i wakacje na rajskich plażach Malediwów. Jego ulubionymi perfumami, jak zwykł podkreślać żartobliwie przy niezobowiązujących biznesowych spotkaniach, był zapach wielkich pieniędzy. Tylko takie go interesowały i tylko na takich się znał.

Kancelaria notarialna Larsa van Haasterena jeszcze kilka lat temu odpowiadałaby jego wygórowanym standardom, ale czasy się zmieniły. Ten wyglądający na drogi marmur materiał, którym wyłożono podłogi, był w rzeczywistości najtańszą wersją tego luksusowego produktu, a solidne panele na ścianach jedynie imitowały szlachetne gatunki drzew egzotycznych. Wprawne oko konesera od razu potrafiło to wychwycić. Czyżby staremu van Haasterenowi nie powodziło się aż tak dobrze, jak ćwierkały wszystkie deventerskie wróble na placu de Brink? Richard miał głęboką nadzieję, że tak właśnie było, albowiem darzył notariusza czystą, nieskalaną nienawiścią. Od zawsze stał pomiędzy jego ojcem Julianem a tą przybłądą z Polski, którą rodzina van Toornów przyjęła na swoje łono w – nie bójmy się tego sformułowania – jednych dziurawych gaciach.

Na samym początku jeszcze się starała. Albo tylko doskonale udawała, gdyż była świetną aktorką. Ojciec miał w tym czasie mnóstwo pieniędzy, zdobywał awans za awansem, jeździł na zagraniczne misje i rzadko bywał w Deventer. Ta wywłoka zamiast zajmować się domem

i pokornie czekać na swojego dobroczyńcę, spotykała się za jego plecami z notariuszem i razem knuli, jak by tu oskubać ojca z majątku. Stary nawet się nie zorientował, że małżonka podbierała mu kasę z konta, do którego niefrasobliwie zostawił upoważnienie. Kto wie, czy razem z notariuszkiem nie postarali się także, żeby ojciec zszedł w porę z ziemskiego padoku? Te resztki, ochłapy, które rzuciła mu, jedynemu prawowitemu spadkobiercy, na pocieszenie po śmierci papy, nie wystarczyły nawet na kupno najmniejszego penthouse'u w kurorcie nad Morzem Północnym. Gdzie się podziała reszta ojcowych pieniędzy? Richard doskonale wiedział o jego cichych inwestycjach i sprytnie ukrytych depozytach bankowych. Przecież to logiczne, że ta pazerna Polka wyczyściła wszystkie rachunki i wpakowała kasę w te swoje czekolady.

Dotychczas nie upominał się o należną schedę, ale jego sytuacja osobista i stan portfela po kilku nietrafionych decyzjach biznesowych dramatycznie się pogorszyły. Kiedy zupełnym przypadkiem dowiedział się, że pomimo śmierci starej czarownicy biznes kręci się dalej, postanowił przyjrzeć się bliżej tej sprawie. Pofatygował się nawet osobiście na wschodnią prowincję i szczęśliwie trafił akurat na wypasioną ceremonię ponownego otwarcia tej budy. Sprytna starucha sprowadziła jakąś figurantkę, która zbijała kasę na jego krwawicy. Gdyby nie kilka spudłowanych inwestycji giełdowych, które poważnie nadszarpaneły jego finanse, nigdy w życiu nie zawracałby sobie głowy tą marną kamienicą. Mogła być warta co najwyżej kilkaset tysięcy euro. Teraz jednak, wliczając ten kręcący się jak włoskie gelato biznes, kwota mogła podskoczyć nawet do równego miliona. A taką sumką Richard pogardzić nie mógł. W końcu to ojciec, świeć Panie nad jego duszą, nauczył go szacunku do dużego pieniądza. W końcu nadeszła chwila wyrównania rachunków. Tym razem nie popuścił tym krwiopijcom nawet centa.

Richard wkroczył do kancelarii van Haasterena jak średniowieczny pan i władca na swoje włości. Już od progu omiół wewnątrz pomieszczenia drwiącym spojrzeniem i zatrzymał wzrok na odzianej w służbowy garnitur (najtańsza wełna!) recepcjonistce.

– Jestem umówiony z notariuszem – rzucił Richard, nie zważając na grzecznościowe formułki.

– Nie czekając na odpowiedź dziewczyny, ruszył prosto do gabinetu Larsa.

– Chwileczkę! Proszę poczekać! – rzuciła za nim sekretarka, ale Richard już chwycił za klamkę.

Dziewczyna wybiegła zza biurka. Sekundę za późno, gdyż van Toorn stał już przed biurkiem jej pryncypała.

– Przepraszam pana, próbowałam zatrzymać klienta, ale... – starała się tłumaczyć.

– Nic się nie stało, Chantal. – Van Haasteren uspokoił ją ruchem dłoni. – Najwidoczniej pan van Toorn bardzo się śpieszy. To nawet lepiej, bo ja również... – dodał nieco ciszej, ale Richard miał doskonały słuch.

– Poświęcisz mi tyle czasu, ile sobie zażyczę – warknął.

Asystentka dyskretnie wycofała się na zewnątrz i cicho zamknęła za sobą drzwi. Nawet nie zaproponowała kawy, ale po minie swojego szefa wywnioskowała, że to nie będzie długa rozmowa.

– A zatem słucham, co mogę dla ciebie zrobić? – Notariusz starał się mówić spokojnie, ale z trudem panował nad głosem. Na sam widok tej aroganckiej gęby krew w nim wrzała.

– Nie sil się na grzeczne formułki, Lars. Obaj wiemy, dlaczego tu jestem. Chcę odebrać należne mi pieniądze.

– Gdyby w testamencie Emmy był jakikolwiek zapis dotyczący ciebie, już dawno byś o nim wiedział. – Lars poprawił starannie zsuwające się na czubek nosa srebrne okulary. – Niestety, a uwierz mi, czytałem ten testament bardzo często i bardzo wnikliwe, takowego zapisu brak.

– Bo sam go stamtąd usunąłeś, draniu! Myślisz, że tego nie wiem? Zrobiłeś to od razu po śmierci mojego ojca!

– Mylisz się. To moja klientka dokonała tej zmiany. I o wiele później, niż sugerujesz. Nie miałem na jej decyzję żadnego wpływu – podkreślił lodowatym tonem. – A teraz wybacz, za chwilę mam bardzo ważne spotkanie. – Mówiąc to, wstał zza biurka i znacząco zerknął na złoty zegarek na lewym przegubie dłoni.

– Jeśli wykluczyła mnie z dziedziczenia majątku niedawno, bez trudu podważę ten testament – jak pitbull odwarknął Richard. – Wynajmę jednego z najlepszych adwokatów od spraw spadkowych.

Lars uniósł przyprószone siwizną krzaczaste brwi.

– Na jakiej niby podstawie miałbyś go podważyć?

– Emma w ostatnich miesiącach nie wiedziała, co robi. Dokonała tej krzywdzącej dla mnie zmiany w stanie agonalnym, całkowicie uniemożliwiającym świadome podjęcie decyzji. Ten testament jest zmanipulowany. I to ty maczałeś w tym palce. Nienawidzisz mnie tak samo, jak nienawidziłeś mojego ojca. Oboje przyczyniliście się do jego śmierci.

Z pooranej siateczką zmarszczek twarzy van Haasterena odplynęła cała krew.

– Natychmiast opuść moje biuro, Richardzie. Wyjdź, zanim swoim skandalicznym zachowaniem zmusisz mnie do złożenia przeciwko tobie pozwu o zniesławienie.

Van Toorn oparł dłonie o blat biurka notariusza i przechylił się w jego stronę. Lars poczuł kwaśny zapach przetrawionego alkoholu.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem – powiedział Richard, wymawiając wyraźnie każde słowo. – Szykuj się na bitwę. Ta buda przy Waalstraat prędzej czy później wróci do prawowitego właściciela. A teraz wychodzę. Nie musisz mnie odprowadzać.

Kilka sekund później trzasnęły drzwi.

Van Haasteren bezwiednie zacisnęła pięści. Przed oczami stanęła mu wymizerowana twarz Emmy i ten dzień, w którym powiedziała mu o swoich planach.



Siedział przy jej łóżku w pełnym tulipanów zielonym pokoju w hospicjum De Winde.

– Lars, muszę zmienić testament. Bombonierka nie może trafić w ręce Richarda. To zły człowiek – szepnęła, z trudem wymawiając słowa.

– Według prawa jest teraz twoim jedynym spadkobiercą – odparł. – Chyba że zmienisz zapis i przepiszesz cały majątek komuś innemu. To twoje pieniądze i twoja decyzja, *schat*.

Emma oddychała ciężko. W zgięciu łokcia miała podpiętą kroplówkę.

– Do tej chwili myślałam, że oddam wszystko tobie – wychrypiała. – Ale nie mam prawa obarczać cię dodatkowym balastem na stare lata. Nie protestuj, przecież wiem, że kochasz czekoladę, ale już niekoniecznie jej konszowanie. Dlatego mam inny pomysł... – Próbowała się roześmiać, ale z jej gardła wydobył się tylko chrapliwy skrzek.

Lars pogładził przyjaciółkę po suchej jak pergamin dłoni.

– Jak ty mnie dobrze znasz, Emmo. Ale to prawda, jedyne, na czym się znam, to prawo. Jaki to pomysł?

– Mam teraz dużo czasu na myślenie. I na czytanie zaległej korespondencji... Pamiętasz Aurelię?

Czoło Larsa przecięła pionowa zmarszczka.

– Masz na myśli swoją siostrę? – Spojrzał na nią zdziwiony. – Zawsze powtarzałaś, że nie umiesz jej wybaczyć tego, co zrobiła. Jak postąpiła z tobą, jak kłamała i manipulowała waszą matką...

– I nadal, pomimo że minęło już tyle lat, nie potrafię jej tego zapomnieć. Młodość nie może tłumaczyć wszystkiego, ale nie możemy obarczać cudzymi błędami niewinnych ludzi.

Błędów się nie dziedziczy, można je tylko powielać.

– Przyznam szczerze, Emmo, że nie bardzo rozumiem. Do czego zmierzasz?

– Aurelia ma córkę... Ma na imię Nina – mówiąc to, Emma sięgnęła po stojącą na stoliku, tuż przy jej łóżku, małą skórzaną torebkę.

Wyciągnęła z niej kolorową fotografię i bez słowa podała Larsowi. Ten chwycił zdjęcie w obie dłonie i przybliżył do oczu.

– To przecież TY! – zakrzyknął z niedowierzaniem.

– Jesteś prawdziwym dżentelmenem, mój drogi, ale już dawno nie wyglądam jak Nina. – Emma przymknęła oczy. Przez jej bladą twarz przemknął wyraźny cień bólu. Nie chciała się mu poddać i dlatego z trudem mówiła dalej: – Widziałam ją tylko raz. Wtedy była jeszcze małą dziewczynką. Przyłgnęła do mnie ufnie, z radością. Potem już nigdy więcej z nią nie rozmawiałam. Obawiam się, że Nina nie ma pojęcia, że istnieję. Aurelia dużo o niej opowiada w listach. Ja o nic nie pytam ani nie proszę. Sama to robi. Domyśla się, że lubię czytać o jej córce. Ostatnio coraz częściej i dłużej o niej myślę. Możesz uważać mnie za wariatkę, ale bardzo chciałabym ją poznać. Równie dobrze mogłaby być moim dzieckiem. Jest do mnie bardzo podobna, nie tylko fizycznie. To bardzo ambitna i pracowita dziewczyna. Ostatnio nie wiedzie się jej w biznesie. Podobno prowadzi własną księgarnię, ale wkrótce ze względu na konkurencję jakiegoś krajowego giganta będzie musiała ją zamknąć.

– To bardzo przykre. Ale co ty masz z tym wspólnego, kochanie?

– Skoro Nina jest na życiowym zakręcie, może powinnam zaprosić ją tutaj, do nas? – zapytała, z trudem unosząc się na poduszkach. – Czuję, że mogłaby pokochać moją Bombonierkę. Dam jej na to kilka miesięcy. Albo nie! Cały rok!

– Chcesz mi powiedzieć, że książki mają coś wspólnego z czekoladą?

– Wszystko, mój drogi, wszystko. To dwie najpiękniejsze i najprzyjemniejsze rzeczy, jakie do tej pory wymyśliła ludzkość.

ROZDZIAŁ 42

Afera szpiegowska



Isa wtargnęła na zaplecze Bombonierki niczym orkan. Nora stała pochylona nad rondlem z kawowym ganaszem. Uwijały się bez wytchnienia od kilku dni, a zamówień na czekoladki wciąż przybywało. Najpopularniejsze, te z nadzieniem nugatowym i z kajmakiem, rozchodziły się jak świeże bułeczki.

Isa szarpnęła za wiszącą na drzwiach fartuch i zawiązała go ciasno wokół szczupłej talii. Cały czas mruzczała coś pod nosem i trzaskała foremkami.

– Co się stało? – zapytała spokojnie Nora, nie odrywając wzroku od gęstej aromatycznej masy.

– Chyba za chwilę wybuchnę! – wypaliła Isa. – Nigdy nie zgadniesz, kogo właśnie widziałam w zaułku Waalstraat i Scheldestraat?

– Sądząc po twoich ciskających pioruny oczach, mógł to być nawet sam Belzebub.

– Prawie! – prychnęła Isa. – Tę dziewczuchę, pożał się Boże, pomocnicę, Marjolein, co to po dwóch dniach leserowania dała drapaka. Wyobraź sobie, że nakryłam ją i starszego Jeurissena na potajemnej konwersacji. A właściwie to żadnej potajemnej, bo otwarcie śmieszkowali. Kiedy Valentijn w końcu spostrzegł, że się im przyglądam, jeszcze mi pomachał. Z tym swoim ironicznym uśmieszkiem! *Loser!*[\[21\]](#)

– Jesteś pewna, że to ona? Może ktoś do niej podobny? – Nora z zakłopotaniem podrapała się po głowie.

– To na pewno ona! Dam sobie rękę uciąć, o, aż dotąd! – Isa wskazała łokieć. – Jeurissen sprytnie znalazł sobie szpiega, psia kostka. Mówiłam, że dziewczucha węszyła tutaj jak pies

myśliwski. I udało jej się podwędzić nasze hasła reklamowe. Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Valentijn w końcu dostanie po nosie, ja ci to mówię!



Romeo już od kilku dni bezskutecznie próbował skontaktować się z Niną. Nie odbierała telefonu i ignorowała jego wiadomości. Nie chciał nachodzić jej w chocolaterii, miała wystarczająco dużo pracy. Wolał poczekać na dogodną chwilę, kiedy będą mogli porozmawiać w cztery oczy, ale ten moment nie nadchodził. Nina unikała go jak diabeł święconej wody. Czekał na nią na targu, przy ich ulubionym straganie z tulipanami, ale wysyłała teraz po zakupy którąś ze swoich pracownic, a poza tym nie wychylała nosa z Bombonierki. Chocolateria przeżywała prawdziwe oblężenie, konstatował to z dumą, bez cienia zazdrości. Nina naprawdę ciężko pracowała na sukces. Z całego serca chciał być jego częścią, wspierać ją, tak jak dotychczas, ale nie dawała mu na to szansy.

Wiedział, że to wina Valentijna, ale nie mógł ignorować go do końca życia. W końcu był jego bratem i cały czas wspólnie prowadzili biznes. Nie umiał długo się na niego złościć. Valentijn od zawsze musiał rządzić i niekoniecznie według jasnych zasad fair play. Kiedy w grę wchodziła jego ambicja, potrafił iść do celu po trupach. Zieleniał na samą myśl, że Nina mogłaby mu odebrać choćby jednego klienta, i uderzał na oślep, nie myśląc o konsekwencjach. Ale przecież wcale nie musieli ze sobą konkurować. Kto to w ogóle wymyślił? Bombonierka i croissanteria mogły koegzystować ze sobą na zasadzie pełnej współpracy, a nie rywalizacji. Zdążył zauważyć, że Nina, podobnie jak Val, miała zadatki na liderkę. Oboje byli zapalczywi i w gorącej wodzie kąpani, ale byłoby o wiele lepiej, gdyby zużywali tę swoją niespożytą energię na bardziej pożyteczne sprawy niż skakanie sobie do oczu. Zależało mu na nich obojgu. I musiał doprowadzić do konfrontacji. Z Valentijnem jakoś sobie poradzi... Tylko jak przekonać Ninę?

Romeo już od prawie godziny stał w cieniu kamienicy sąsiadującej z Bombonierką. Miał nadzieję, że Nina wyjdzie w końcu na wieczorny spacer. Jeżeli i tym razem zaszyje się po pracy w domu, po prostu zapuka do jej drzwi. Na pewno będzie udawać, że nie słyszy, ale będzie stał tam tak długo, aż w końcu mu otworzy. I wreszcie, do cholery, z nim porozmawia.

W pewnej chwili dostrzegł za szybą chocolaterii odzianą w błękitną sukienkę szczupłą sylwetkę Niny. Schował się głębiej za rozłożystą pnącą różą oplatającą ceglasty budynek i uważnie obserwował wejście do Bombonierki. Przy ladzie stał jeszcze ostatni zapóźniony klient, nie mogąc się zdecydować, które pralinki chce kupić. Przebierał i wybierał, a Nina

cierpliwie prezentowała mu nowe czekoladowe kombinacje. W końcu mężczyzna wyszedł na zewnątrz, dzierżąc w dłoniach białe firmowe pudełka z malinową kokardą. Zaraz za nim wybiegła Isa i, niecierpliwie spoglądając na zegarek, pognała w głąb ulicy. Romeo postanowił nie czekać do wieczora. Wyszedł z ukrycia i pewnym krokiem skierował się do Bombonierki.

– Isa, mówiłam, pędź już do domu, bo się spóźnisz na urodziny mamy. Ja tu wszystko ogarnę – odezwała się niecierpliwie Nina.

Odwrócona plecami do wejścia, układała jakieś pudełeczka na marmurowym blacie.

– Nina, to ja...

Dziewczyna drgnęła, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Jak długo zamierzasz udawać, że nie istnieję? Nie zrobiłem niczego za twoimi plecami. Kiedy w końcu dasz mi szansę, żeby to wytłumaczyć? Nie uważasz, że zasługuję przynajmniej na krótką rozmowę? Popatrz na mnie, Nina... Spójrz mi w oczy...

Odwróciła się wolno, jakby z trudem.

– Zostaw mnie, Romeo. Nie wchodźmy już sobie w drogę. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

– Co masz na myśli? – Romeo pobladł.

– Po prostu nie powinniśmy się spotykać. Jak na razie wynikają z tego same kłopoty.

– Masz na myśli ten slogan reklamowy? Ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego. Nic nie wiedziałem o twoich pomysłach.

– Ty nie, ale twój brat i owszem – odparła Nina. – Nasłał tutaj jakichś szpiegów. Marjolein, która pomagała nam w przygotowaniach do wielkiego otwarcia, okazała się wynajętą przez Valentijna figurantką. Za wszelką cenę chciał trzymać rękę na pulsie.

Romeo z niedowierzaniem patrzył na Ninę.

– Skąd o tym wiesz? To... jakaś bzdura – wyjąkał.

Nina wzruszyła ramionami.

– Isa przycisnęła Marjolein do muru – wyznała. – Valentijn płacił jej za informacje o naszych planach. Miała mu je regularnie dostarczać, jednak nie chciało jej się pracować. Myślała, że robota będzie lżejsza, ale po dwóch dniach stwierdziła, że to gra niewarta świeczki. Valentijn obiecał jej łatwy zarobek, a dostała harówkę i kilka centów. To jej słowa.

– Pogadam z bratem... – Romeo zacisnął usta w wąską kreskę. – Przepraszam cię, Nina. Nie miałem pojęcia o tych... knowaniach. Val oszalał!

Nina gwałtownie pokręciła głową.

– Nie możesz z mojego powodu nieustannie kłócić się z bratem. Jesteście rodziną i powinniście trzymać się razem. Nie chcę być wiecznie kością niezgody pomiędzy wami, dlatego wolę usunąć się w cień. Musimy przestać się spotykać. Przynajmniej na jakiś czas...

Romeo postąpił krok naprzód. Dzieliła ich teraz tylko sklepowa lada.

– Naprawdę tego chcesz? – szepnął. – A może w tym wszystkim chodzi o coś więcej? Powiedz szczerze, Nino.

Zawahała się.

– Bombonierka jest teraz dla mnie najważniejsza. Ale to tylko biznes – powiedziała twardo. – Nie przyjechałam do Deventer szukać przyjaciół. Może nawet lepiej, żebym ich nie miała, bo wtedy będzie mi łatwiej wrócić do Polski. Holandia to tylko epizod. Moje życie jest tam, Romeo, nie tutaj. Poza tym Emmy już nie ma. Wypełnię zadanie, które mi powierzyła, i za kilka miesięcy wyjadę. Naprawdę nie chcę, żebyś popsuł sobie relacje z bratem. Wiem, jakie to bolesne, bo moja matka na wiele lat straciła siostrę. I już nigdy jej nie odzyskała.

Romeo patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Co ona wiedziała o stracie kogoś bliskiego?! Chyba pomylił się co do niej. Zdarza się. Myślał, że jest inna, że naprawdę zależy jej na tym miejscu. Ale najwyraźniej chodziło tylko o kasę. Ten cholerny Valentijn znowu miał rację. A on jak zwykle wyszedł na durnia.

– Obiecuję, że dam ci spokój – powiedział w końcu. – I jeszcze raz przepraszam za brata. Nie będzie cię już więcej nękał, masz moje słowo. Ja również nie będę. *Fijne dag verder. En succes*[\[22\]](#).

– Poczekaj, Romeo! – zawołała za nim Nina i sięgnęła po leżącą na półce pod ladą torebkę. – Chciałam ci zwrócić dług. Kris dzwonił do mnie wczoraj, że świetnie sobie radzi w hotelu. Przelał właśnie na moje konto swoją pierwszą tygodniówkę. Proszę, to twoje pieniądze... – Wyciągnęła w jego kierunku rękę z kilkoma banknotami. – Jeszcze raz bardzo ci dziękuję.

Zabrzmiało to sztywno. Sztucznie. Pozornie Nina nie miała sobie niczego do zarzucenia, a jednak nie wiadomo czemu, czuła się źle. To nie tak powinno wyglądać. To wszystko nie tak... Wygłosiła jakąś dziwną przemowę, a przecież Romeo zasługiwał na prawdę. Nie chciała go zranić, a wszystko wskazywało na to, że właśnie to zrobiła.

Romeo spojrzał na trzymane przez nią banknoty. W jego oczach pojawił się dziwnie niepokojący błysk.

– Zatrzymaj te pieniądze – rzucił nagle sucho. – Na poczet strat, które poniosłaś z naszego powodu. W końcu biznes to biznes. A teraz wybacz, naprawdę muszę już iść. – Jego głos brzmiał obco, jakby dochodził zza grubej szyby.

Trzasnęły drzwi. Nina zacisnęła dłonie na blacie. Powinna poczuć ulgę, a jednak tak nie było. Czuła jedynie rozczarowanie. I żal. Na samą siebie. Mogła mądrzej to rozegrać. Romeo od początku był jej życzliwy i pomocny, a ona ukarała go za coś, czego nie zrobił. Ukarala go, ponieważ miał nadzieję, że pomiędzy nimi kiedykolwiek może pojawić się coś więcej niż przyjaźń. Te ich ostatnie spotkania utwierdziły ją w przekonaniu, że Romeo chciałby od niej więcej, niż mogła mu dać. Jego słowa i gesty zabarwiały czuły podtekst oczekiwania. Ale z jej strony nie było na co czekać. Nigdy nie będzie. Nie czuła do niego nic poza życzliwością. I przyjaźnią. Miała nadzieję, że intuicja i tym razem jej nie zawiodła. Do tej pory zawsze mogła na nią liczyć.

[21] hol. Dupek!

[22] hol. Miłego dnia. I powodzenia.

Śledztwo i kolejne kłamstwa



Aurelia Kostrzewska błyskawicznie odnalazła adres emerytowanej lekarki z zakładu psychiatrycznego. Uciekła się co prawda do podstępu, a raczej małego oszustwa, ale nie miała żadnych skrupułów. Musiała w końcu poznać prawdę. W urzędzie gminy pracowała jej dawna przyjaciółka z podstawówki. Aurelia na oczekaniu wymyśliła bajkę o poszukiwaniach starej znajomej, z którą pilnie (sprawa życia lub śmierci) musi się skontaktować. Wystarczyła bombonierka i oczy pełne łez, a już trzymała kartkę z danymi Marii Grodnickiej. Lekarka mieszkała na obrzeżach miasta, przy Kamienistej, w starej i niegdyś prestiżowej dzielnicy pełnej przedwojennych willi. Znowu musiała okłamać Witolda, tym razem, że ma pilną konsultację u dentysty, ale nie chciała, żeby ktokolwiek, nawet własny mąż, wiedział o jej śledztwie. Najpierw sama musiała wszystko ustalić.

Postanowiła udać się do Grodnickiej późnym popołudniem. Nie sądziła, żeby emerytowana lekarka w podeszłym wieku prowadziła nazbyt ożywione życie towarzyskie, ale wolała nie pojawiać się u niej rano. Godzina siedemnasta wydawała się idealną porą na niezapowiedziane wizyty. O ile niezapowiedziana wizyta mogła usprawiedliwić jakąkolwiek porę.

Aurelia cztery razy zmieniała outfit, żaden nie wydawał się dostatecznie nobliwy, aż w końcu zdecydowała się na sukienkę za kolano. Bezpieczna „królewska” długość. Musnęła pudrem brązującym policzki i próbowała uszminkować usta, ale ręce drżały jej tak, że cały czas wychodziła poza ich kontur. Jednym zdecydowanym ruchem wytarła tłustą pomadkę z warg. W lustrze patrzyły na nią oczy matki.

Córcia, nie mam wyjścia. Musisz mnie poprzeć i przekonać ją, żeby podpisała zgodę na przyjęcie do szpitala psychiatrycznego. To dla jej dobra. Ze mną nie chce rozmawiać. Jej zaburzenia świadomości są coraz częstsze. Nie mogę stać spokojnie obok. Inaczej stracę córkę, a ty siostrę. Jeżeli naprawdę kochasz Emilię, zrobisz to dla niej. Rozumiesz? Dla niej.

Taksówka zatrzymała się na samym początku Kamienistej. Aurelia zapłaciła kierowcy i wyskoczyła z auta. Wołała przejść te kilkanaście metrów piechotą. Nad jej głową wisiały stalowoszare chmury. Kilka kropel deszczu rozprysnęło się na jej policzkach. Poprawiła pasek torebki na ramieniu i ruszyła naprzód. Po obu stronach ulicy za równo przystrzyżonymi żywopłotami ukrywały się piękne przedwojenne budynki. Kiedyś mieszkała tu śmietanka kulturalna i towarzyska miasta. Większość willi o przybrudzonych i poobijanych fasadach ze stiukowymi kwiatowymi ornamentami mieściła teraz mieszkania komunalne. Niektóre miały datę budowy widniejącą w ozdobnym kartuszu na szczycie. Na ulicy nie było żywego ducha. Z otwartych szeroko okien dobiegał monotony dźwięk telewizorów. W niektórych mieszkaniach słychać było pokrzykiwania dzieci. Aurelia, rozglądając się, w końcu zatrzymała się przed wciśniętą pomiędzy ścianę zieleni miniaturową furtką. Ktoś przybił na niej krzywo numer posesji. Dwadzieścia osiem. Szybko zerknęła na wyciągniętą z kieszeni kartkę. Tak, to tutaj mieszkała Grodnicka. Kostrzewska pchnęła zmurszałe nieco deski. Furtka zaskrzypiała przeciągle. Po obu stronach kamiennej ścieżki prowadzącej do drzwi wejściowych rosły wybujałe chwasty. Ktoś całkiem niedawno próbował je wyrwać, na ścieżce widniały bowiem świeże ślady brunatnej ziemi, ale gęszcz perzu przerósł śmiałka, który chciał go wylewić.

Aurelia przeszła powoli, stąpając uważnie pomiędzy wystającymi kamieniami, i wkroczyła na betonowe schody. Firanka w oknie na parterze drgnęła. Najwidoczniej ktoś stał za nią i obserwował uważnie nieproszonego gościa. Kostrzewska nacisnęła na dzwonek zwisający z grubego kabla przymocowanego nieudolnie do ściany. Nie rozległ się żaden dźwięk. Przyłożyła ucho do szorstkich drzwi, a po kilku sekundach zapukała w nie mocno.

– Proszę otworzyć! – zawołała. – Wiem, że jest pani w domu. Potrzebuję pani pomocy – dodała desperacko.

Odpowiedziała jej cisza, a potem za drzwiami rozległ się dziwny szmer. Tak jakby ktoś z trudem wkładał klucz do zamka. Mechanizm szczęknął i drzwi powoli się uchyliły. W progu stała przeraźliwie szczupła, wyprostowana jak struna starsza pani z rozwianymi włosami. Na jej długim, szpiczastym, przypominającym nieco bociani dziób nosie chwiały się okrągłe druczane okulary.

– Co się dzieje? Co to za alarm? – mruknęła i zmrużyła oczy, wpatrując się podejrzliwie w stojącą przed nią elegancko odzianą nieznajomą.

– Pani Maria Grodnicka?

– Od urodzenia! A co to, powszechny spis ludności? – Parsknęła z ironią. – A może sprzedaż cudownych garnków, które same ugotują, posprzątają i podadzą do stołu?

– Nic z tych rzeczy. Czy mogę wejść? – zapytała Aurelia. – Chciałabym z panią porozmawiać.

– Doprawdy? Już od dwudziestu lat nikt ze mną nie chciał rozmawiać. Mogę wiedzieć w jakiej sprawie? – Wyblakłe oczy staruszki błysnęły. – I jaką mam gwarancję, że po wpuszczeniu pani do mieszkania nie posieka mnie pani na kawałki, dybiąc na moje rodowe klejnoty tudzież drogocenną porcelanę? Od razu lojalnie uprzedzam, że nie jestem w posiadaniu niczego, co można łatwo spieniężyć. A moja cienka emerytura leży w banku. Także proszę się dwa razy zastanowić, czy mordowanie mnie dla łupu ma jakikolwiek sens.

Aurelia zacisnęła mocno dłonie na pasku torebki.

– Dobrze, w takim razie możemy porozmawiać tutaj – odparła. – Ma pani rację, nie powinnam pani nachodzić. Obecnie każdy może być potencjalnym przestępcą. Lepiej nie wpuszczać nieznajomych do domu.

Staruszka łypnęła na nią spod byka i nagle jej pomarszczone jak zeschnięte jabłko rysy wypogodziły się nieco.

– Zawsze miałam nosa do ludzi. Dlatego jest taki długi! – Mówiąc to, dotknęła dumnie jego czubka nieco zakrzywionym artretyzmem palcem. – Dobrze pani z oczu patrzy, moje dziecko. Zapraszam.

Aurelia weszła za Grodnicką do środka. W korytarzu pachniało kurzem i naftaliną. Wysokie stropy ozdabiała fantazyjna sztukateria szczelnie opleciona siatką cieniutkich pajęczyn. Na końcu korytarza znajdowały się przepiękne podwójne drzwi pokryte łuszczącą się nieco przy klamce białą farbą olejną. Grodnicka pchnęła jedno skrzydło i weszły do przestronnego jasnego salonu. Na środku stał solidny okrągły stół nakryty nicianą serwetą. W rogu pomieszczenia królował bogato zdobiony piec kaflowy w kolorze butelkowej zieleni. Aurelia pamiętała identyczny z domu dziadków pod Krzeszowicami. Miał takie same ażurowe żeliwne drzwiczki, półfilary z motywami kobiecych głów i środkowy kafel przedstawiający jakąś scenę historyczną.

– Już od dawna stoi nieużywany. – Grodnicka zauważyła, czemu przygląda się jej gość. – Nie mam już siły męczyć się z drewnem i popiołem. Ogrzewam dom kotłem gazowym.

Proszę, niech pani usiądzie. – Odsunęła z trudem jedno z masywnych krzeseł przy stole.

Na blacie leżała gruba książka ze stronicami założonymi kawałkiem papieru wydartego ze środka gazety. Obok niej stygła herbata w cienkiej szklance z metalowym koszyczkiem.

– Słucham... – Grodnicka podniosła na Aurelię zmęczone oczy i zakaszła krótko.

Kostrzewska splotła ukryte pod stołem dłonie.

– Przed paroma dniami byłam przejazdem w Świętej Urszuli... – zaczęła niepewnym głosem.

Staruszka zmarszczyła brwi.

– Zakład psychiatryczny jest zamknięty – rzuciła. – Podobno mieli jakiś pożar. Zawsze powtarzałam, że ośrodek jest prowadzony nieudolnie, bez żadnej kontroli. Doigrali się. A pani niech mi powie prawdę, bez ściemy, jak to teraz mówią młodzi. Po co pani przyszła? Pogadać o Urszuli? To przedpotopowe dzieje.

– Podobno pracowała tam pani aż do emerytury.

Staruszka machnęła ręką.

– Bzdura. Do emerytury nie dotrwałam – wyznała i siorbnęła nieco przestygłej herbaty. – Mówiąc dyplomatycznie, mój sposób pracy kłócił się nieco z futurystycznymi wizjami ówczesnego kierownika. Ostatecznie poróżniła nas diagnoza dotycząca jednej z pacjentek, ale to długa historia.

Aurelia uważnie słuchała staruszki. Na zewnątrz próbowała zachować spokój, ale tak naprawdę w środku była rozedrgana jak mała zagubiona dziewczynka.

– Czy kojarzy pani Emilię Dobrzycką...? Leczyła się u was pół roku. – Odważyła się w końcu przejść do meritum. – Cierpiała na depresję nerwicową. Zaraz pokażę pani jej stare zdjęcie...

Aurelia otworzyła torebkę. Koperta z jedną z niewielu fotografii Emilii tkwiła pomiędzy saszetką z dokumentami a portfelem.

Twarz Grodnickiej stężała.

– Nie musi mi pani nic pokazywać – powiedziała głucho. – Doskonale ją pamiętam. To właśnie z jej powodu pożegnałam się z pracą w Świętej Urszuli. Kim jest dla pani Emilia?

– Była – sprostowała Aurelia. – Zmarła niedawno na emigracji. To moja siostra. Po tym jak wyszła ze szpitala, nie miałyśmy praktycznie żadnego kontaktu. Dlatego... teraz szukam informacji o tym, co się wtedy tak właściwie wydarzyło. Wiem, minęło już wiele lat, ale to dla mnie cały czas niezwykle ważna sprawa. Proszę mi pomóc...

Grodnicka milczała. Skubała skraj serwety i patrzyła gdzieś ponad głowę Aurelii na oplecioną zielenią okienną framugę.

– Emilia nie wyszła ze szpitala – odpowiedziała w końcu. – Ona z niego uciekła. I ja jej w tym pomogłam.

ROZDZIAŁ 44

Niezwykłe odkrycie



Rzymskokatolicki cmentarz Heilige Lebuïnus znajdował się przy leżącej na przedmieściach miasta ulicy Ceintuurbaan. Otoczony żywopłotem, z kutą w esy-floresy bramą, broniącą dostępu do nekropolii, stanowił oazę spokoju i refleksji w pełnym życia i energii Deventer. Nina pojechała tam pierwszy raz z Evelien, która pokazała jej, w której części pochowano Emmę. Kupiły wtedy w jednej z największych kwiaciarni w mieście ukochane kwiaty cioci – białe lilie. Emma nazywała je liliami świętego Józefa. Lubiła powtarzać, że dla chrześcijan są symbolem czystości duchowej i zmartwychwstania.

Nina przypięła rower do metalowego stojaka tuż przed wejściem na cmentarz. W dni powszednie koło osiemnastej nie było tutaj, *nomen omen*, żywego ducha. Cała Holandia zasiadała o tej porze do obiadu. Nina nie lubiła objadać się na wieczór, dlatego zadowalała się jakimś owocem albo kubeczkim jogurtu. Może gdyby i ona miała własną rodzinę, dzieci, to kto wie, czy również nie kultywowałaby tej tradycji. Na razie w domu nikt na nią nie czekał i miało to również swoje dobre strony. Choć wieczorami brakowało jej przyjaznej duszy do pogadania. Nie mogła non stop obarczać sobą Evelien, ona i tak poświęcała jej mnóstwo czasu. Gdyby tak fatalnie nie rozegrała ich ostatniej rozmowy, mogłaby zaprosić na pogaduszki Romea. To był naprawdę dobry materiał na kompana. Jedynie na kompana. Niczego mu nie obiecywała, ale i tak targały nią wyrzuty sumienia. Nawet nie miała się kogo poradzić ani jak skonfrontować swoich odczuć i obaw.

Po raz kolejny uświadomiła sobie, że tak naprawdę cholernie i z całej siły tęskniła za Manianą. Zaledwie przedwczoraj po raz pierwszy przyrządziła (sama!) ich ukochaną potrawę – makaron z krewetkami. Zajadały się zawsze do oporu, zapijając kluchy białym wytrawnym

chablis, i śmiały do rozpuku. Danie wyglądało spektakularnie, ale brakowało najważniejszego składnika... Nina bez namysłu wystukała na klawiaturze numer przyjaciółki. Odpowiedział jej bezosobowy głos automatu, informujący, że abonent jest czasowo niedostępny. Co się z nią działo? Dosyć tych fochów! Musiała położyć kres tej zimnej wojnie, inaczej skończą jak matka i Emilia. Zmarnują czas, którego nikt nigdy im nie zwróci. Musiała przemyśleć, jak się do tego mądrze zabrać. Na razie ruszyła w głąb cmentarza, zapinając aż pod samą szyję grubą bawełnianą bluzę. Niebo nad miastem pokryła gruba warstwa ciemnych chmur. Wszystko wskazywało na to, że za moment zacznie padać. Nina rozejrzała się uważnie. Doskonałą orientację w terenie odziedziczyła po ojcu. To gdzieś tutaj, w tym sektorze, znajdował się grób cioci.

Niewielka płyta nagrobna z wyrytymi w kamieniu prostymi literami nie wyróżniała się niczym pośród setek identycznych nagrobków. Wszystkie były ascetyczne. Lars posadził tuż obok grobu przepiękny jałowiec płożący, którego zielononiebieskie wiotkie gałęzie pokładały się pięknie na płycie. I właśnie po jałowcu Nina rozpoznała grób Emmy. Podeszła do tablicy i położyła na niej dłoń. Wokół rozbrzmiewały wysokie tony ptasich treli. Dziewczyna zerknęła na nagrobek. W rogu, tuż ponad imieniem i nazwiskiem Emmy, widniała miniaturka malinowej kamienicy. Ciocia tak bardzo wierzyła, że Nina przejmie prowadzenie Bombonierki, że nie zostanie tutaj tylko na rok, ale na dłużej zapanuje korzenie w Deventer. A ona cały czas się wahała. Nie potrafiła do końca oswoić nowego kraju i pomimo że pokochała już malinową kamienicę i czekoladę, to reszta cały czas była dla niej obca. I obawiała się, że tak już zostanie.

– Wybaczysz mi, jeżeli cię zawiodę i wrócę do Polski, Emilio? – szepnęła. – Tak żałuję, że nigdy nie mogłam z tobą porozmawiać... Ale jedno mogę ci obiecać: zrobię wszystko, żeby Bombonierka nadal istniała. Ludzie kochają nasze pralinki, wiesz? Dlatego nie sprzedam jej nikomu, kto będzie chciał przerobić to miejsce na coś innego. Nie pozwolę na to, słyszysz? Wiem, że słyszysz.

Nagle Nina dostrzegła kątem oka znajomą postać. Odwróciła głowę i przymrużyła oczy. Alejką kroczył Valentijn Jeurissen. Miał na sobie jasne džinsy i pasiastą bluzę z kapturem głęboko nasuniętym na czoło. Niósł przepiękny bukiet krwistoczerwonych tulipanów. Nina zmartwiała. Jej największy i bezwzględny konkurent w tym miejscu? Musiała wiedzieć, co robił na cmentarzu. Pogładziła raz jeszcze zimny marmur i ruszyła przed siebie. Uważnie stąpając pomiędzy grobami, ruszyła w stronę kolumbarium, ale z drugiej strony niż Valentijn. Okrążyła kilka kwater i ostrożnie podeszła do granitowej ściany mieszczącej urny z prochami

zmarłych. Pomiędzy kamiennymi rzeźbami dostrzegła w końcu pasiastą bluzę Jeurissena. Zatrzymała się i wyteńczyła wzrok. Nagle jej twarz pobieliała. Nie mogła wręcz uwierzyć w to, co widzi. Valentijn patrzył na ukrytą w granitowej niszy tablicę, a po jego policzkach płynęły łzy. Nina zmartwiała. Jeszcze przez dłuższą chwilę nie mogła się ruszyć. Jej łydki zdrętwiały boleśnie.

Valentijn położył bukiet pod tablicą, poprawił opadającą główkę jednego z tulipanów i przetarł obiema dłońmi zaczerwienioną twarz. Po chwili odszedł, nie oglądając się za siebie ani razu. Nina roztarła palcami łydkę. Nieprzyjemny skurecz powoli mijał. Kulejąc nieco, postanowiła podejść do granitowej ściany. Czerwone tulipany od razu przyciągnęły jej wzrok. Jak krwawa plama na pełnej cierpienia szarej płycie. Nina delikatnie rozsunęła ogromne kielichy kwiatów i zasłoniła usta ręką.

Nasi najukochańsi Rodzice

Vera i Mark Jeurissen

Zginęli tragicznie w katastrofie samolotu Malaysia Airlines 17 lipca 2014 roku.

Nie stójcie nad naszym grobem i nie płaczcie.

Nas tam nie ma.

Jesteśmy w wietrze, deszczu, miłości,

Codziennych pocałunkach i małych radościach,

Waszych myślach i wspomnieniach.

Wystarczy, że wypowiedzie głośno nasze imię,

A będziemy z Wami już na zawsze.



– Nina! „Croissanty” zrobiły promocję! *Twee halen één betalen*[\[23\]](#). Chyba nie możemy pozostać im dłużni. Ninaaa, mówię do ciebie! Wracaj z zaświatów! – Chuda jak paluszek Isa Hoes próbowała wybudzić swoją szefową z przedpołudniowego letargu. Skoro konkurencja działała pełną parą, im także wypadałoby zrobić jakąś reklamę. Tak podpowiadała Isie intuicja handlowca, ale musiała oczywiście skonsultować to z Niną. – Może przy zakupie dwóch dużych pudełek czekoladek pistacjowych damy cappuccino i maślane ciasteczko gratis? Albo

lemoniadę cytrynową własnej roboty, która bije ostatnio rekordy popularności? Najważniejsze, żeby klient miał poczucie, że dostaje coś w prezencie. A któż nie kocha prezentów?

Przeceny i akcje promocyjne były ulubionym sportem każdego pragmatycznego Holendra. Odziedziczyli gen handlowca po żeglujących na wszystkich morzach i oceanach świata przodkach. Nawet najlepszy jakościowo towar w regularnej cenie nie przyciągał tak bardzo jak gratisy. Nina nauczyła się już dodawać zawsze do zamówionych i wybranych przez klienta czekoladek słodką niespodziankę oraz organizować przynajmniej dwa razy w miesiącu ukochaną akcję każdego tubylca, czyli płacisz za jedno, dostajesz dwa. Do tej pory prześcigali się w wymyślaniu najróżniejszych promocji z Jeurissenami – u nich lody i kawa, w Bombonierce gorąca czekolada i pralinki, tam maślana bułeczka i herbata earl grey, tutaj lemoniada i rozplywający się w ustach nugatowy wafelek. Jednak dziś Nina nie wykazywała żadnych chęci przyciągnięcia dodatkowych klientów. Ba, wyglądała, jakby kompletnie jej to nie interesowało. Zero inwencji i woli walki. Isa, popatrując z powątpiewaniem na normalnie pełną werwy szefową, czym prędzej pobiegła na zaplecze. Z wiszącej na drzwiach torebki błyskawicznie wyciągnęła telefon.

– Evelien? Przychodź jak najszybciej do Bombonierki – szepnęła konfidencjonalnie do słuchawki. – Tak, wiem, że masz dzisiaj wolne, ale z Niną coś nie tak... Nie wiem, ale wygląda na mocno przejętą. Może stało się coś poważnego? Tylko ty potrafisz wyciągnąć z niej całą prawdę... Tak? Świetnie, czekamy!

Nie minął kwadrans, a Evelien pojawiła się w Bombonierce. Miała zaaferowaną twarz. Isa, udając niewiniątko, układała nową porcję czekoladek w gablocie.

– Skąd się tu wzięłaś? – Nina momentalnie się ożywiła i łypnęła podejrzliwie na Isę.

Ta jak gdyby nigdy nic wzruszyła ramionami i wróciła do swojej pracy. Prawdziwa Mata Hari!

– Przechodziłam przypadkiem i postanowiłam wstąpić... – skłamała gładko Evelien. – Chodź na kawę na taras, przyda ci się chwila wytchnienia. Isa, *schat*, podaj nam dwa mazagrany.

Isa chyżo podskoczyła do ekspresu. Bombonierka miała od niedawna w ofercie oprócz kawowego koktajlu, mazagranu z alkoholem i standardowych espresso czy cappuccino także egzotyczne w okolicy włoskie romano ze skórką cytrynową czy mocne zniewalające ristretto o głębokim, błyskawicznie stawiającym na nogi aromacie. Nosilo zabawną nazwę, wymyśloną oczywiście przez właścicielkę – „Ulga i ukojenie”. Idealną po intensywnym zabawowym weekendzie.

– O tej porze? Alkohol? – zdziwiła się Nina, ale nie zamierzała protestować.

– Malutka porcyjka rumu i kawki nikomu jeszcze nie zaszkodziła. A ty podobno całą noc stałaś przy konszy. Masz podkrążone oczy.

– Przed tobą nic się tutaj nie ukryje. Dobrze, chodźmy na taras. Wypróbujesz moje nowe dziecko? Pralinka o smaku anyżowym. Podobno w Holandii kochacie anyż? I przyprawy korzenne?

– Prawie tak samo jak śledzie! – Roześmiała się.

– Sugerujesz pralinę śledziową? Z posypką z cebuli?

Chichocząc, podeszły do stolika w rogu. Tuż obok siedziała postawna krótko obcięta dziewczyna w dżinsowej kurtce. Bębniła palcami po blacie stolika i wpatrywała się w ekran swojego smartfona. Przed nią stała porcelanowa filiżanka z czekoladą. Nina zmarszczyła czoło. Nawet nie pamiętała, że ta dziewczyna wchodziła do środka. Jej głowę zajmowało zupełnie coś innego. A raczej... ktoś inny.

– W końcu trochę się ożywiłaś, Ninaatje... – zaczęła Evelien. Wiedziała, że dziewczyna lubi, kiedy nazywano ją tym czułym zdrobnieniem. – Co się dzieje? Tęsknisz za domem, tak?

Nina zerknęła na nią poważnym wzrokiem.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że Romeo i Valentijn stracili rodziców w katastrofie samolotu?

Evelien drgnęła.

– Byłam przekonana, że o tym wiesz. To żadna tajemnica. Żyło tym swego czasu całe Deventer. Romeo ci nie mówił?

– Nie zdążył... Pokłóciliśmy się... Choć może słowo „kłótnia” nie jest zbyt trafnym określeniem... – Nina zawiesiła głos. – Bałam się, że może sobie pomyśleć... czułam... a właściwie wiedziałam... – Nina plątała się w zeznaniach. – Cholera, on się chyba we mnie zakochał! – wypaliła w końcu i zakończyła wypowiedź rodzimym przekleństwem: – Kurwa.

Dziewczyna siedząca obok podniosła głowę znad ściskanego kurczowo smartfona.

– Nic dziwnego – odparła Evelien. – Jesteś piękna, mądra, masz poukładane w głowie, ciężko pracujesz. Dajesz radę, *schatje*... Romeo bardzo cię przypomina. Valentijn jest twardszy... – Evelien się zamyśliła. – Znałam dobrze jego matkę. Od zawsze oczekiwała od niego, że będzie głową rodziny i zaopiekuje się bratem, gdy ich zabraknie. Nie przypuszczała tylko, że stanie się to tak szybko. Valentijn zrobi wszystko, żeby utrzymać się na powierzchni. *Troublemaker*. Wiem, że drzecie koty, choć to zupełnie niepotrzebne. Oboje kochacie być liderami.

– Tylko że on gra fałszywymi kartami – powiedziała bez przekonania Nina. Bez tej złości, która pobrzmiwała w jej głosie jeszcze tak niedawno.

Cały czas nie mogła wymazać z pamięci widoku Valentijna płaczącego przed grobem swoich rodziców. Ten obraz wdarł się pod jej powieki i ciągle tam był.

– To jak z tym Romeem? – zapytała w końcu ciepło Evelien. – Jest dla was jakaś szansa? A może... – Urwała, bo w drzwiach prowadzących do Bombonierki pojawiła się Isa, niosąc mazagrany.

Spłoszona Evelien spojrzała na zegarek.

– Dziewczyny, muszę was zostawić! – zawołała nagle. – Na śmierć zapomniałam, że za kwadrans umówiłam się do fryzjera. Czekałam na wizytę prawie miesiąc, a moje włosy krzyczą już rozpaczliwie: „Chcemy nożyczek!”.

Nina została sama z dwiema szklanicami kawowego koktajlu. Postanowiła, że jutro rano pójdzie do croissanterii pogadać z chłopakami. Najwyższa pora zakopać topór wojenny.

– Przepraszam panią? Długo już pani mieszka w Deventer? – odezwał się nagle z boku kobiecy głos. W dodatku po polsku.

Nina o mały włos nie spadła z krzesła. Polacy nie byli co prawda w Holandii żadnym kuriozum, codziennie słyszała na ulicy, szczególnie w supermarketach, ojczystą mowę, ale nie spodziewała się, że ktoś z kraju zawita i do jej Bombonierki.

– Zaledwie od kilku miesięcy. Skąd pani wie, że jestem z Polski? – Roześmiała się i uczyniła gest zapraszający do jej stolika.

Dziewczyna w dżinsowej kurtce błyskawicznie przesiadła się na wskazane miejsce i uśmiechnęła szeroko, ukazując rząd równych drobnych zębów.

– Usłyszałam rodzime przekleństwo, to mnie naprowadziło na dobry trop. – Zachichotała. – Niestety nie mówię jeszcze po holendersku. Może dlatego tak trudno znaleźć mi tutaj pracę... A tak w ogóle jestem Marta. – Dziewczyna wyciągnęła nad białem dłoń z obciętymi krótko, po męsku paznokciami.

– Nina. Bardzo mi miło. Jak to mówią tubylcy – *aangenaam!* I jak ci się podoba w kraju tulipanów i wiatraków?

– Bardzo! – przyznała dziewczyna. – Przyjechałam na wakacje, a ponieważ w Polsce zlikwidowano moją firmę, próbuję zaczepić się gdzieś tutaj. Mam jeszcze pieniądze z odpawy, w końcu może szczęście się do mnie uśmiechnie. Na razie dysponuję dachem nad głową i sezonową robotą. Zobaczymy, co będzie dalej...

– Bardzo mi przykro. Z autopsji wiem, co znaczy upadły biznes. – Nina pokiwała głową. – A co się stało z twoją firmą?

– Fabryka powstała na początku lat sześćdziesiątych – zaczęła Marta. – To było rodzinne przedsiębiorstwo. W szczytowym okresie pracowało tam pięćdziesiąt osób. Jednak firma nie poradziła sobie z konkurencją ze strony dużych zakładów.

– Co produkowaliście? – zapytała Nina i chwyciła szklankę z kawowym koktajlem.

– Z początku mało wówczas jeszcze popularną zdrową żywność, a potem rozszerzono asortyment o czekoladę. – Marta wyprostowała się na krześle. – Najpierw pracowałam jako zwykła pakowaczka, a potem zatrudniono mnie przy taśmie. Ozdabiałam ręcznie pralinki. Szefowa zauważyła, że mam artystyczne zacięcie. Dlatego tutaj wpadłam, żeby trochę popodglądać holenderskich mistrzów czekolady. – Dziewczyna mrugnęła filuternie.

Nina o mały włos nie zakrztusiła się mazagranem, po czym spojrzała z nagłym zainteresowaniem na Martę.

– I co sądzisz o Malinowej Bombonierce? – zapytała pozornie lekko.

Marta rozejrzała się wokół taksującym wzrokiem.

– Jest ogromny wybór – przyznała. – Szczególnie pralinki nugatowe zasługują na uwagę. Mają fajny posmak, bez sztuczności, której teraz wszędzie pełno. – Skrzywiła się bezwiednie. – Ale...

– Ale? – Zaskoczona Nina uniosła brwi.

– Ale brak tutaj oryginalności. Świeżości. Czegoś, co wyróżniałoby to miejsce spośród innych.

– Słucham? – Ninę zamurowało. Ktoś śmiał krytykować jej Bombonierkę! Czowała jednocześnie złość, ale i zaciekawienie. – Co masz na myśli?

– W tej branży trzeba umieć zaskakiwać i zaciekawiać. Nie bać się eksperymentować i unikać schematów – wyliczała cierpliwie Marta. – Dużo czytałam na ten temat. W ogóle kocham czytać – dodała, jakby zawstydzona. – Jesteśmy przyzwyczajeni do starych, utartych ścieżek. A tyle jest jeszcze smaków do odkrycia. Tyle nieprzetartych kulinarnych szlaków! Jadłaś kiedyś suszone pomidory w czekoladzie? Nie musisz odpowiadać. Widzę po twojej minie, że nigdy. A czekoladę z kozim serem i pieprzem? Z bazylią? Mówię ci, połączenie białych pralinek i ziół daje niesamowity, bardzo orzeźwiający smak. Tak samo zielona herbata. Gwarantuję, że sam kolor przyciągnie klienta. A tak w ogóle czekolada to afrodyzjak. Chcesz zdobyć faceta? Zadaj mu lubczyku, jak mawiała moja babcia. Pralinki z pistacjami

i lubczykiem na stół i każdy facet jest twój. Spróbujesz? – W jej oczach migotały diabelskie chochliki.

Nina jak zaczarowana patrzyła na Martę.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – wyjąkała. Marta kupiła ją całą. Do ostatniego włosa na głowie.

– Mówię przecież, że od babci! A tak w ogóle oglądałaś może kiedyś film *Czekolada* z Juliette Binoche? Ona dodawała do swoich pralinek ognistego chili. Słodki i ostry smak! Wyborne! Kto się oprze takiemu połączeniu?

Nina postanowiła kuć żelazo, póki gorące. Dopiła pośpiesznie swój koktajl, a drugą szklanicę przesunęła zdecydowanie w kierunku Marty.

– Spróbuj! – poleciła stanowczo. – Jest pyszny, chociaż klasyczny, bez żadnych niespodzianek. I obiecaj mi jedno, Marta. Że już nie będziesz szukać pracy.

– Słucham? – Dziewczyna zerknęła na nią osłupiała. – Jak to nie będę?

– Ponieważ właśnie ją znalazłaś – zakomunikowała uroczyście Nina. – Jestem właścicielką Bombonierki i zrobię wszystko, żeby mieć cię w naszym zespole.

[23] hol. Dwa w cenie jednego.

Sexy, libido i piri-piri



– Słyszałaś już? – Dyrektorowa Mies Smit nachyliła swoją siwą wyondulowaną głowę do ucha swojej wieloletniej przyjaciółki, mecenasowej Janiny Klundert. – To niewiarygodne!

– Ale co?! – zakrzyknęła Janina, gmerając przy swojej cienkiej jak szczypiorek talii. Ten cholerny aparat słuchowy, podobno najnowszej generacji, automatycznie wybierał poziom głośności po włączeniu, ale Janina wołała sama podkręcać sobie decybele. Na pohybel technice!

– Cicho, bo wszystkie gołębie na placu de Brink przepłoszysz! – Mies rozejrzała się trwożliwie, jakby właśnie przeprowadzała interes stulecia. – O tych... pralinkach, co to niby działają na... no wiesz, co... – Mies spłonęła rumieńcem jak dzierlatka.

– Nie mam pojęcia i nie gadaj do mnie jakimiś półsłówkami! – prychnęła Janina. – Na co działają? Na podagrę?

Mies przewróciła oczami i ujęła przyjaciółkę mocniej pod ramię.

– Na LIBIDO! – syknęła. – Kiedy ostatnio pod pierzyną z Antonem leżałaś? No, przyznaj się. Ha, nie musisz, bo ja to doskonale wiem! Za czasów świętej pamięci królowej Wilhelminy!

Janina stuknęła laską o kamienny trotuar.

– A ty co, statystyki pożycia małżeńskiego prowadzisz, czy jak? Lepiej własną pierzyną i własnym mężem się zajmij!

– Właśnie zamierzam to zrobić. – Dyrektorowa wypięła mikrą pierś okrytą koronkowym żabotem. – I dlatego idziemy do Malinowej Bombonierki. Jeszcze mi podziękujesz za złote rady, które ci właśnie sprzedałam.

Eleganckie matrony stały właśnie przed fasadą chocolaterii. Uformowała się tutaj już niemała kolejka. Dominowały głównie panie w średnim wieku, choć z tyłu chichotało również kilka nastolatek. Mies syknęła ostrzegawczo i pociągnęła Janinę za rękaw.

– A tam z prawej, tu przy drzwiach, to nie czasem zastępca burmistrza? Popatrz, popatrz, nawet władza swoje potrzeby ma i nie wstydzi się tego przed wyborcami, a ty nosem kręcisz.

Tymczasem w środku Bombonierki Marta uwijała się za ladą niczym pracowita pszczołka. Wystrojona w śnieżnobiały fartuszek, z uśmiechem od ucha do ucha, cierpliwie odpowiadała na każde, nawet najbardziej niedorzeczne pytanie. Odzianą w bawełnianą rękawiczkę dłonią raz po raz pakowała do pudełek nowe pralinki. Tuż przed nią stała właśnie właścicielka salonu piękności przy Lange Bisschopsstraat, *mevrouw* Lubbers.

– Tak, szanowna pani – objaśniała Marta. – Zgadza się, oczywiście, że w naszym asortymencie nie mogło zabraknąć peruwiańskiego żeń-szenia. To inaczej korzeń maca. Dodajemy go do ganaszu i całość oblewamy szlachetną ciemną czekoladą. Sprowadzamy ją z francuskiej manufaktury Morin. Proszę tylko spróbować. – Marta sprawnie rozkroiła podłużną pralinę. – Czuje pani na języku cytrusy? To smak Madagaskaru, skąd pochodzą ziarna kakaowca. Ze szczyptą maca tworzy wyjątkowy duet. Idealny na wzmocnienie kondycji i poprawę libido.

– Zapakuje je pani również i dla mnie? – rozległ się męski głos tuż za *mevrouw* Lubbers. – Tak z dziesięć sztuk. I te z papryczką... Zapomniałem nazwy. Moja żona kupowała je przedwczoraj. Cały tuzin.

– Papryczka piri-piri – błyskawicznie odparła Marta. – Jest bardzo ostra i przyjemnie rozgrzewa podniebienie. I nie tylko podniebienie... – Marta mrugnęła w kierunku mężczyzny.

– Chwileczkę, drogi panie, niech pan czeka na swoją kolej! Jeszcze nie skończyłam zamawiać! – zagrzmiała *mevrouw* Lubbers. – Dla mnie też pani zapakuje te piri-piri – poleciała teatralnym szeptem i nachyliła się nad gablotą. – A te tam... okrągłe zielone? – Wskazała upięścienionym palcem piramidkę lśniących kwadratowych czekoladek. – Dobre?

– Wyśmienite! – potwierdziła ochoczo Marta. – To pralinki z lubczykiem i pistacjami. Są jak feromony. Żaden mężczyzna się pani nie oprze. Lubczyk to naturalny afrodyzjak.

– Lubczyk, czyli po naszymu *fenegriek*. Wezmę dwa pudełka. I proszę zapakować na prezent.

Nina obserwowała z zaplecza swoją nową pracownicę. Całą kuchnię wypełniały zapachy, wśród których królowały zioła i egzotyczne przyprawy. Isa pilnie studiowała przepisy nowych

ganaszy. Ciągłe musiała uważać na proporcje. Pierwszy krem oczywiście się zważył, ale Marta miała na to receptę.

– Nie musisz niczego wyrzucać – pocieszyła Ise. – Przygotujemy szybko kąpiel wodną i ustawimy miskę nad garnkiem. Para ją ociepli, a ty w tym czasie mieszaj bardzo energicznie całą masę, aż wszystkie składniki się połączą. Jak mawiała moja szefowa: ciepło i mieszanie to najlepszy ratunek.

Rzeczywiście ganasz udało się ocalić. Isa z uznaniem kiwała głową. Nina znalazła prawdziwego fachowca, który zaczarował już całą chokolaterię. Któż by się spodziewał, że Marta w tak krótkim czasie wywróci Bombonierkę do góry nogami. Ledwo nadażały z produkcją, dlatego Nina postanowiła zatrudnić jeszcze jedną pomocnicę i rozbudować nieco przyciasną kuchnię. Nie mogła się już doczekać tego nowego projektu. Lars van Haasteren po pobieżnych oględzinach ostrzegł, że najprawdopodobniej Nina będzie musiała poświęcić spory kawałek przylegającego do kuchni korytarza, ale nawet on sam stwierdził, że to potrzebny i bardzo przemyślany ruch. Na samą myśl, że ukochana Bombonierka Emmy tętni życiem, radowało się jego serce.



Tymczasem natężony ruch w chokolaterii Niny nie uszedł oczywiście uwadze czujnych oczu Jeurissenów. A raczej jednego z nich. Valentijn nie mógł co prawda narzekać na brak klienteli, ale jak zwykle musiał być liderem, a tymczasem Nina odbierała mu palmę pierwszeństwa. Co ona znowu wymyśliła? Tak po cichu, oczywiście nie przyznając się nawet przed sobą samym, podziwiał jej inwencję i kreatywność. Jemu już ich brakowało, a Romeo jak zwykle nie kwapił się do działania w sprawach promocji. Znowu siedział na zapleczu, w papierzykach. Prawie nie rozmawiali. To też wina tej dziewczuchy!

W tym momencie zadźwięczał dzwoneczek przy drzwiach. Do środka wtoczyła się postawna matrona z przewieszonym przez masywne ramię plecakiem i, a jakże, firmową białą torbą z logo Malinowej Bombonierki. Valentijn łypnął na kobietę spod byka, po czym uśmiechnął się z trudem.

– Osiem croissantów – sapnęła klientka. – Tylko żeby były świeże! I chrupiące!

– Innych tutaj nie mamy. – Valentijn ze wszystkich sił starał się być grzeczny. – Widzę, że już pani zrobiła słodkie zakupy w zaprzyjaźnionej z nami chokolaterii – łgał jak z nut – ale może skusi się pani również i na nasze wyroby. Prosto z Belgii, z jednej z najlepszych rodzinnych manufaktur, Neuhaus. Proszę tylko zerknąć na te pralinki. – Z pietyzmem otworzył

przepiękne stylizowane na staromodny kufer pudełko wypełnione łakociami. – Czekoladę trzeba wachać – pouczył. – Jej zapach wpływa na nasze emocje. Proszę mi powiedzieć, co czuje pani teraz? Radość, ekscytację? A może ciekawość?

– Poirytowanie – burknęła matrona. – Przyszłam tutaj po wypieki, a pan wciska mi jakieś neuhausy. Zapewne z typowym nudnym nadzieniem z nugatów. Żadna rewelacja, proszę pana. Ja tu mam dopiero prawdziwe cuda! – Z dumą uniosła papierową torbę. – W tej niepozornej tutaj kryje się skarb, buzdyganek naziemny! Słyszał pan kiedykolwiek o takiej roślinie?

Valentijn zdębiał. Chyba po raz pierwszy z życia zabrakło mu języka w gębie. Co to, do diabła, jest buzdyganek naziemny?! Ta nazwa brzmiała jak z podręcznika dla szarlatanów. Nina wytaczała bez pardonu najcięższe zielarskie działa.

– Ha, nie wie pan! Tak myślałam – perorowała dalej matrona. – Na razie wygląda pan na jurnego, ale latka lecą, mój miły, i ani się obejrzyysz, a to i owo opadnie – postraszyła. – Niech pan leci w te pędy do Bombonierki i zakupi kilka czekoladek, z dobrego serca radzę. I koniecznie te pralinki ze sproszkowanym buzdygankiem. Pana białogłowa nie będzie nigdy narzekać w cieniu alkowy, gwarantuję. – Zarechotała jak żaba. – A teraz proszę mi pakować te kurosanty, śpieszę się!

„Buzdyganek-sranek” – pomyślał z irytacją Val, kiedy za klientką zamknęły się w końcu drzwi. Zerknął przez szybę na gwarną jak zwykle o tej porze ulicę. Prawie co drugi przechodzień taszczył te przekłete torby z Bombonierki. Co jeszcze szykowała Nina? Chyba pora w końcu ruszyć dupy, bo jak tak dalej pójdzie, wykurzy ich z Walstraat. Valentijn rzucił wściekłe spojrzenie w kierunku biura.

– Bas, zastąp mnie teraz, muszę porozmawiać z bratem – polecił władczo układającemu bułki w koszykach pracownikowi i zdecydowanym krokiem ruszył na zaplecze.

– Twoja przyjaciółka niczym średniowieczna szeptunka obmyśla teraz w swoim bombonierkowym kotle tajemne mikstury – warknął i posłał spojrzenie bazyliuszka ukrytemu za srebrnym laptopem Romeowi. – *Godverdomme*, nawet na potencję wystawia czekoladowe recepty! Baby mi tu najarane jak po *space cakes* radzą, żebym jak najprędzej zakupy u niej robił! Może powinna zmienić nazwę przybytku na „Sex, Coffee & Chocolate”? To bardziej pasuje do jej asortymentu niż jakieś idiotyczne bombonierki.

Zniecierpliwiony Romeo wychynął zza komputera.

– Nina nie jest żadną moją przyjaciółką – odparł. – Postanowiliśmy – skłamał gładko – że już się nie będziemy spotykać. Dla dobra nas wszystkich.

– A to ci nowina! – Valentijn klapnął na krzesło stojące pod ścianą. – Czyli nici z wielkiej miłości? I cukierniczej fuzji polsko-holenderskiej?

– Nigdy jej nie było. – Romeo wzruszył ramionami. – Nina jest wolna i może robić, co chce. Tak naprawdę, to nigdy nie mogło się udać. Zbyt wiele nas różni... – Romeo urwał, żeby nabrać oddechu. Nigdy by się nie podejrzewał o takie zdolności do marnego aktorstwa.

Valentijn łypał na niego podejrzliwie. Znał brata nie od dziś i podskórnie czuł, że ten coś kręci.

– Ej, *broertje*, mnie nie oszukasz. Ta sprytna Polka złamała ci serce. Kobiety! Mnie możesz wyznać jak na spowiedzi... – Chciał być poważny, ale wyszło jak zwykle, prześmiewczo i sarkastycznie.

Romeo spojrzał na niego hardo. Musiał doprowadzić to przedstawienie do końca.

– Z moim sercem wszystko w porządku, Val. Tak samo jak z moją kreatywnością. I właśnie wymyśliłem, jak możemy sprytnie odbić piłeczkę na stronę Niny. Będziemy serwować czekoladowe lunche! Co powiesz na zupę z kalmara z czekoladą albo czekoladowy hot dog z bitą śmietaną? Ha! Po twojej głupkowatej minie wnoszę, że nigdy o czymś takim nie słyszałeś! *Wie het laatst licht, licht het best*^[24].

^[24] hol. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Przeszłość lubi deptać po piętach



– Przepraszam cię, tatku, ale mamy tyle pracy, że nie wiem, jak się nazywam – Nina przytrzymała ramieniem telefon i pośpiesznie przeglądała posegregowane paczki ziaren prosto z Meksyku.

Zaledwie przedwczoraj nawiązała nowy kontakt, z właścicielami plantacji w Ameryce Środkowej. Miała nadzieję, że już niedługo uda się jej tam pojechać. Może nawet razem z Martą? Nie wyobrażała już sobie Bombonierki bez znajomej z Polski. Była prawdziwą skarbnicą wiedzy, sypała pomysłami jak z rękawa, a poza tym klienci ją uwielbiali. Nina zastanawiała się czasem, czy to nie sprawka Emmy, która z zaświatów podesłała jej nową pracownicę niczym dobrego anioła. Marta śmiała się, że do anioła jej daleko, a pod włosami ukrywa rogi, ale rzeczywiście, dziewczyny doskonale się uzupełniały. To dzięki Marcie Nina odkryła w sobie zdolności plastyczne. Kiedy opowiedziała o meksykańskiej plantacji i pomyśle ze współpracą, Marta wymyśliła na tę okazję nową, wytrawną czekoladkę o ciemnym charakterze, głębi smaku, aromacie jeżyn i czerwonych owoców. Nazwały ją jednogłośnie „Meksyk”. Nina po pierwszym kęsie momentalnie chwyciła za kredki i naprędce rozrysowała projekt nowego opakowania pralinek.

– To papuga ara! Masz świetną kreskę – stwierdziła z podziwem Marta, przyglądając się trochę krzywemu rysunkowi. – I to skojarzenie! Papuga i Meksyk, genialne.

Głowa ptaka miała intensywny zielony kolor, a kark, skrzydła i fragment ogona turkusowoniebieskie umaszczenie. Żółte pióra porastały obficie brzuch. Ta feeria żywych barw w zderzeniu z głębokim brązem czekoladek dawała piorunujący i zaskakujący efekt.

– Same będziemy projektować opakowania! – wykrzyknęła Nina. – Myślałam o tym już od jakiegoś czasu, ale chyba nie ma na co czekać. Nikt inny w okolicy nie będzie miał tak świetnego designu! Muszę tylko znaleźć podobnych zapaleńców do nas, którzy nam to profesjonalnie wyrysują i ogarną. Ja sama nie złapię wszystkich srok za ogon.

– Papug, kochana. Papug, a nie srok. – Marta się roześmiała. – I nie jesteś już sama. Teraz masz mnie!

To prawda, czas samotności minął. Miała w końcu na obczyźnie bratnią polską duszę. Emma musiała za tym stać!

– Nino, mówię do ciebie! Czy ty mnie w ogóle jeszcze słuchasz? – po drugiej stronie telefonu rozległ się poirytowany głos ojca.

Nina odłożyła naprędce paczkę z ziarnem.

– Tak, tatku, jestem już cała twoja. Coś się stało? – Przysiadła na miniaturowym taborecie i jęknęła cichutko. Już od kilku dni poboływały ją plecy.

– Nie chcę cię martwić, ale chyba tak – sapnął Kostrzewski. – Twoja matka zachowuje się co najmniej dziwnie. Zauważyłem te niepokojące symptomy już dużo wcześniej, nawet rozmawiałem o tym z Eugenią, ale oczywiście mnie wyśmiała, jak to ona.

– Co masz na myśli, mówiąc „dziwnie”? – Nina zmarszczyła brwi.

– Popadła w jakąś apatię, nie wiem... przygnębienie? Poza tym, to wydaje mi się najbardziej podejrzane, grasuje w nocy po domu niczym duch w zakrystii. Nawet bym o tym nie wiedział, bo normalnie śpię jak zabity, ale wczoraj obudziły mnie jakieś dziwne odgłosy. Zszedłem do salonu, a tam twoja matka, stojąc przy oknie, rozmawiała z kimś, ba, odniosłem wrażenie, że nawet się kłóciła. Tylko że nikogo oprócz niej nie było w pokoju.

– Spytałeś ją o to? Na pewno musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie tych nocnych... hm... dialogów mamy.

– Oczywiście zapytałem, ale zbyła mnie jakąś rzewną historyjką o koszmarach. Podobno oglądała jakiś horror i za bardzo się przejęła fabułą. Tylko że twoja matka nie ogląda horrorów. Nienawidzi filmów grozy! Boję się, że to może być jakaś choroba. W końcu nie ona pierwsza w tej rodzinie ma problemy psychiczne. Emilia również leczyła się w szpitalu dla obłąkanych. W Świętej Urszuli, tutaj niedaleko.

– Słucham?! Dlaczego ja nic o tym nie wiem?! Emma była w psychiatryku? Nigdy nie słyszałam o żadnej Świętej Urszuli.

Witold oprzytomniał nagle, tak jakby ktoś chlusnął mu w twarz lodowatą wodą. Cholera, ale z niego papla. Gdyby Aurelia to słyszała, udusiłaby go gołymi rękami. Nikt z ich bliskich

ani dalszych znajomych nie wiedział, że Emilia leczyła się w przeszłości na depresję nerwicową. Dlatego przebywała w zakładzie zamkniętym. Jego teściowa ukrywała to przez całe lata, bojąc się ludzkich języków i poruty.

– A co to ma za znaczenie?! – Nieudolnie próbował odwrócić kota ogonem. – W końcu rozmawiamy o twojej matce, a nie ciotce! Co ona ma do tego?!

Myśli Niny pędziły na oślep z prędkością światła. To niewiarygodne! Kolejny sekret! Kolejna rodzinna tajemnica, o której nie miała pojęcia! Co jeszcze kryło się w ich rodzinnych annałach? I jak to możliwe, że matka zataiła przed nią również i to? A co, jeżeli Aurelia odziedziczyła w genach tę chorobę? Musiała jak najszybciej odkryć prawdę.

– Tato, nie martw się. – Starła się, żeby jej głos brzmiał spokojnie. – Zadzwoń do mamy i porozmawiam z nią, a nawet przyjadę, jeżeli będzie trzeba. Zostaw to mnie. Tylko nie spuszczaaj jej z oka, bardzo cię proszę.



Richard van Toorn miał przed sobą ogromnie trudne zadanie, ale piętrzące się ze wszystkich stron trudności tylko dopingowały go do działania. Z zasięgniętych u ekspertów z zakresu prawa spadkowego opinii (ogłosił jego rachunek bankowy z tysięcy euro!) wynikało, że aby wydać wiążące orzeczenie o ewentualnej niepoczytalności spadkodawcy, należy najpierw wnikliwie zbadać dokumentację medyczną i zeznania świadków mogących potwierdzić jego teorię. To było najtrudniejsze zadanie, ponieważ jedyni świadkowie obecni przy zmianie ostatniej woli Emmy to ta wariatka Evelien i ten stary cap Lars. Przecież to jasne, że byli stronniczy. W dodatku według prawa to właśnie notariusz był zobowiązany zadbać o to, żeby osoba składająca oświadczenie woli działała swobodnie i bez przymusu. Już widział Larsa w roli bezstronnego obserwatora! Przecież ta starucha zawsze tańczyła tak, jak on jej zagrał. Spali ze sobą od wieków, jeszcze za życia jego ojca rogacza, a teraz śmiali się w kułak z jego syna idioty, bez złamanego centa przy duszy. Emma rechotała co prawda już z zaświatów, ale ta figurantka, która zgarnęła jego pieniądze, nie kryła się z pogardą do niego, van Thoorna, potomka dumnych holenderskich kolonistów!

Richard z zaczerwienioną od złości i wysiłku twarzą właśnie zakończył popołudniowy jogging. Wbiegł jeszcze z rozpędu na plac de Brink, po czym zatrzymał się tuż u wylotu Walstraat. Już z daleka dostrzegł ożywiony ruch na zazwyczaj spokojnej o tej porze uliczce. Naciągnął głęboko kaptur na czoło i szybkim krokiem ruszył naprzód. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przed JEGO kamienicą stała kolejka. Drzwi co rusz zamykały się i otwierały.

Nie czekając na swoją kolej, wepchnął się pomiędzy ludzi i, nie zważając na ich pomrukiwania niezadowolenia, wślizgnął do środka.

– Dostanę tutaj kawę? – rzucił w kierunku młodej kelnerki

– *I don't speak Dutch.* – Uśmiechnęła się przepraszająco znad zastawionej pudełeczkami lady.

Richard zgrzytnął zębami. Do czego to doszło, żeby w swoim własnym kraju nie mógł porozumieć się po holendersku. Cholerni obcoplemieńcy!

– Podwójne espresso! Proszę podać na taras, usiądę pod parasolką. Byle szybko! – szczechnął krótko niczym pitbull.

– Hola, hola, drogi panie! Nie dość, że wepchnął się pan przed innymi, to jeszcze fochy stroi! Elementarne podstawy kindersztuby się kłaniają! – huknął na niego przysadzisty mężczyzna w zdecydowanie zbyt obcisłym T-shircie. – Wszyscy tu grzecznie czekamy.

– Nie twój interes, pilnuj własnego nosa! – odgryzł się Richard.

Tłumek przy drzwiach zafalował złowieszczo. Co za tupet!

– Moja koleżanka zaraz panu poda kawę – łagodziła sytuację kelnerka. – Niech pan już idzie do ogródka.

„I trochę ochłoń, gburze” – dodała w myślach.

Richard fuknął pod nosem i ruszył w głąb Bombonierki. Za szklanymi drzwiami prowadzącymi na taras widniała ściana zieleni poprzecinana plamami kolorowych parasolek. Van Toorn skierował się ku miniaturowemu stolikowi w lewej części tarasu. Usiadł ciężko na białym ażurowym krześle i rozejrzał się chmurnie dokoła. Musiał niestety przyznać, że to miejsce urządzone ze smakiem i dbałością o detale. W każdym rogu stały drewniane doniczki z najróżniejszym kwieciem. Czerwone pelargonie, fioletowa lawenda oraz ogromne kule bladioróżowych hortensji. Wszędzie unosił się zapach doskonałej jakości kawy. Na murze wisiały powiększone fotografie retro, przedstawiające wnętrza starych manufaktur czekolady, w tym kilka fotek z nieistniejącej już legendarnej fabryki Van Houten pod Amsterdamem. Ze zdjęć uśmiechali się ludzie w staromodnych fryzurach i białych fartuchach, stojący nad konszami pełnymi czekolady. „Zaiste stylowo i w klimacie” – pomyślał z nutą ironii. Miał ochotę na dobre kubańskie cygaro Trinidad (innych nie palił), ale zapomniał ich zabrać z mieszkania.

Nagle doszedł go znajomo brzmiący damski głos. Zerknął dyskretnie na stół za swoimi plecami i twarz mu zmartwiała. Siedziała tam z poważną miną ta przeklęta posługaczka Emmy. Zaraz... jak jej było? Evelien! Evelien Smit! Szeptała teraz coś do dziewczyny

o długich jasnych włosach spiętych na czubku głowy w gruby węzeł. Wyglądała jak młoda Emma w czasach, kiedy ojciec w jednej kiece sprowadził ją do Holandii. Ciekawe, skąd van Haasteren wytrzasnął tę Polkę? Trzymała tę budę w ryzach, ale pilotował ją finansowo pan notariusz. *Het is makkelijk om andermans geld uit te geven*^[25]. Gdyby jemu tak sypał kasą, z każdej tancbudy zrobiłby knajpę na poziomie.

Evelien wypowiedziała nagle imię Emmy. Richard nadstawił ucha. Od dzieciaka miał doskonały słuch. Przekręcił się sprytnie na krześle, tak że kątem oka mógł teraz obserwować siedzące za nim kobiety.

– Nigdy nie chciała o tym mówić. – Evelien nerwowo mieszała łyżeczką w filiżance z kawą. – Emma nie była osobą, która lubiła się zwierzać. Powtarzała zawsze, że przeszłość trzeba zostawić za zamkniętymi drzwiami.

– Czyli nic o tym nie wiedziałaś? – dopytywała Nina. – Nie obraż się, Eve, ale mam wrażenie, że nie chcesz rozmawiać ze mną na ten temat. Unikasz go jak ognia.

– To nie tak, że nie chcę, Ninaatje – westchnęła Evelien. – Po prostu znam tę historię wybiórczo, opowiedzianą tylko z punktu widzenia Emmy. Nie chce mi się wierzyć, żeby trafiła do zakładu psychiatrycznego...

Richard drgnął. Krew odpłynęła z jego twarzy. Psychiatra! A jednak przeczucie go nie myliło – Emma była niepoczytalna!

– Proszę pana, kawa. – Nad Richardem stanęła uśmiechnięta dziewczyna z tacą.

Richard zerwał się na równe nogi.

– Rozmyśliłem się! – rzucił. – To nienormalne, że każecie klientom tak długo czekać na zamówienie.

Głosy z tyłu umilkły jak nożem uciął. Dziewczyna spojrzała skonsternowana w kierunku szefowej.

– Przepraszam pana... starałam się jak najszybciej, ale mamy duży ruch...

– Zaraz się tym zajmę, Iso – powiedziała Nina i wstała od stolika.

Richard nie czekał na jej interwencję. Ruszył naprzód i, nie oglądając się za siebie, dał drapak. Niepotrzebnie zrobił raban. W ostatniej chwili udało mu się zapobiec konfrontacji. Evelien od razu by go rozpoznała.

Najważniejsze, że wiedział teraz o czymś, co być może ułatwi mu zdobycie należnej po Emmie schedy!

[25] hol. Łatwo wydawać cudze pieniądze.

Oliwa nie zawsze sprawiedliwa



– Syneczku, nie marudź, wkładaj szybciotko buciki! – Maniana, spoglądając nerwowo na zegarek, niestarannie upychała do plecaka leżące na kanapie ubrania.

– Dokąd jedziemy, mamusiu? – zapytał Benio, wkładając lewą tenisówkę na prawą nóżkę. Na jego dziecięcej buzi malowały się ciekawość i ekscytacja. – Tatusz z nami nie jedzie? Dlaczego na niego nie poczekamy? – Mały uważnie wpatrywał się w matkę oczami Iwa.

– Tatusz dołączy do nas, kochanie. Ale później – skłamała gładko i ściągnęła mocno troczki na kłapie plecaka.

– Pokłóciliście się wczoraj – stwierdził z rozbijającą szczerością Beniamin. – Nie podsłuchiwałem! Tatusz głośno krzychał... Mamusiu, co to znaczy „głupia dziwka”?

Maniana odwróciła twarz. Z trudem powstrzymywała dławiące w gardle łzy. Benio nigdy nie powinien być świadkiem ich przepychanek i kłótni. Zawsze starała się łagodzić wybuchy swojego męża, ale wczoraj miarka się przebrała...



Od rana chodził nadąsany, jakby to była jej wina, że konkurencja sprzątnęła jego pracowni duży projekt sprzed nosa.

– Iwo... Chcę kupić małemu nowy inhalator – odważyła się w końcu odezwać. – Jego lekarka prowadząca mówiła, że podobno na rynek wprowadzono jakiś nowy model, z czipami.

Iwo spojrział na nią oburzony.

– Nie możesz cały czas prowadzić Beniamina za rączkę. – W jego głosie pobrzmiewała tak znana Manianie wyższość. – Powinien się nauczyć, jak właściwie używać inhalatora. Te twoje czipy! Może niedługo czujniki dupę mu będą musiały podcierać?

– Co ty bredzisz?! Nie można już z tobą o niczym normalnie porozmawiać! Od razu wybuchasz i atakujesz na oślepie!

Iwo przybliżył do niej twarz. Poczowała zapach wina i cygaretów. Znowu zaczął palić. Nawet nie próbował się z tym kryć.

– Może dlatego, że haruję na twoje zachcianki! I czasem mam już dość tego pierdolenia! Skoro chcesz wychowywać nasze dziecko w luksusach, to sama na nie zapracuj!

Maniana pochyliła nisko głowę. Od jakiegoś czasu coraz chętniej ją upokarzał. Miała nieodparte wrażenie, że sprawia mu to niekłamana przyjemność.

– Staram się coś znaleźć – powiedziała cicho. – Ale sam wiesz, jak ciężko jest z pracą...

– Niepotrzebnie władowałaś tyle kasy i energii w ten dumny księgarski biznes. – Parsknął i podszedł do lodówki. W dolnej szufladzie chłodziła się cała bateria drogiego piwa, Berliner Weisse.

– Nina wszystko mi oddała – zaprotestowała, podnosząc nieco głos. – Sprzedała swój samochód, żeby spłacić dług. Jesteśmy kwita.

Iwo zaczął się ironicznie śmiać.

– Oddała, zesrała! – przedrzeźnił ją. – Gdyby nie ja, zawinęłaby się z całą kasą, głupia dziwka! Na szczęście w porę interweniowałem.

– O czym ty mówisz? – Maniana zbladła gwałtownie.

Iwo nie śpieszył się z odpowiedzią. Przytknął butelkę do ust, pociągnął kilka głębokich łyków, po czym otarł usta wierzchem dłoni.

– A co, nie poskarżyła się na mnie najlepszej przyjaciółce? A to nieładnie! – Skrzywił się teatralnie. – Poprosiłem ją grzecznie, żeby zamknęła tę nieszczęsną księgarnię i dała ci spokój. Raz na zawsze. I oddała MOJE pieniądze!

Maniana poczuła narastający tępy ból w całej czaszce.

– To były moje pieniądze, Iwo! Sama je zaoszczędziłam. Nie dołożyłeś ani złotówki. I jakim prawem...

Iwo z całej siły strzelił ją otwartą dłonią w twarz. Siła uderzenia odrzuciła ją do tyłu i Maniana upadła na rząd szafek, zahaczając boleśnie głową o kant jednej z nich.

Iwo podszedł do lodówki i wyciągnął kolejną butelkę. Na białe podłogowe kafle spomiędzy włosów Maniany spłynęła krew.

– Sprzątnij to! – polecił władczo, patrząc z obrzydzeniem na czerwone plamy. – Tylko do tego się nadajesz.



– Mamusiu, boli? – Ciepły dotyk pulchnych rączek Benia wyrwał ją z macek ponurych myśli. Mały gładził ją delikatnie po stłuczonym policzku.

– Już wszystko w porządku, syneczku. – Zaciśnęła z całej siły zęby i szybko ściągnęła źle założone trampki ze stóp chłopca. – No już, zbieramy się! Czekają nas ważne zadanie. Pomożesz mi, kochanie? – Starła się, żeby jej głos brzmiał pogodnie, ale jej dusza płakała.

– We wszystkim ci pomogę! – Mały podskoczył na stołeczku i wyprężył odziane w błękitną bluzę ramionka. – A co będziemy robić?

– Musimy odnaleźć ciocię Ninę, skarbie. Najprędzej jak tylko się da.

ROZDZIAŁ 48

Żuraw i czapla



Nina postanowiła pierwsza wyciągnąć rękę na zgodę. Co prawda nadal zgrzytała zębami na samą myśl o wyczynach starszego z braci, ale ponieważ wyrzuty sumienia ciągle gryzły ją w stosunku do młodszego, bilans wychodził na plus. Czyli na zgodę. Poza tym wciąż myślała o spotkaniu na cmentarzu. Ktoś, kto płakał przy grobie rodziców, nie mógł być złym człowiekiem...

Na blacie za ladą stały już przygotowane w dwóch pudełeczkach pralinki miłości, jak nazywała je żartobliwie Marta. Jedno z nich zamówił dla swojej narzeczonej właściciel DAVO, miejscowych browarów, *meneer* Jolink. Isa przyczepiła do kartoników miękkie czerwone piórka. Nina po namyśle zerwała piórko z jednego z pudełek. Valentijn, widząc ten romantyczny dodatek, na pewno by ją wyśmiał.

W tym momencie do środka wkroczyła elegancka starsza pani w fikuśnym fascynatorze na głowie.

– Młoda damo, mogę prosić o twoją uwagę? – oznajmiła modulowanym głosem. Jej oksfordzki angielski zdradzał, że pobierała nauki w brytyjskich szkołach.

Nina odwróciła się z szerokim uśmiechem. Właśnie po tym akcencie ją rozpoznała. Mecenasowa Janina Klundert, jak twierdziła Evelien, to od ponad czterdziestu lat stały element miejscowego krajobrazu. Janina знаła tu wszystkich i każdego z osobna. Bezkompromisowa i kapryśna klientka Bombonierki od czasów jej otwarcia.

– Dzień dobry pani, w czym mogę pomóc? – Nina poprawiła wymykające się spod opaski włosy.

Mecenasowa rozejrzała się wokół. Nieprzypadkowo wstąpiła na Walstraat koło trzynastej. Zbliżała się pora lunchu, więc jak zwykle o tej godzinie w Bombonierce panował mniejszy ruch. I właśnie o to jej chodziło.

– Zapakuj mi, dziecko, tych pralinek z lubczykiem. Od razu cały kilogram. Chyba że macie więcej, to biorę wszystko!

Nina ze zdumienia przetarła oczy.

– Zaraz sprawdzę, ale obawiam się, że nie mam aż takiej ilości tych czekoladek. Produkuje się zwykle funt na dzień, nie więcej. Mogę wiedzieć... – Nina bezwiednie ściszyła głos. – ...dlaczego potrzebuje ich pani aż tylu. Czyżby jakieś czekoladowe party?

– Raczej czekoladowa orgia! Nie będę ukrywać, w końcu żadna z nas panienką już nie jest i doskonale wie, jak funkcjonuje mężczyzna. A raczej jego klejnoty. – Mecenasowa filuternie zmrużyła oko. – Mój Anton od lat takiej werwy pod pierzyną nie miał jak po tych waszych lubczykach! Trzeba kuć żelazo póki gorące! Dziś rano nawet kupiłam w hunkemöller [\[26\]](#) koronkowe *lingerie* z... hm... jak to się wyraziła ekspedientka... seksownymi paskami na biodrach. Józefie w niebiesiach! Błedego pojęcia nie miałam, że moje biodra będą jeszcze miały dla Antona jakiegokolwiek znaczenie... Pakuj, dziecko, co masz! – poleciała. – Biorę całą partię!

Nina, widząc oczami wyobraźni Janinę Klundert w koronkach pod pierzyną, już nie mogła się doczekać, żeby opowiedzieć o wszystkim Marcie. Ochoczo zabrała się do pracy. Starsza pani ogołociła całą gablotę ze słodczy. To się porobiło!

Po dobrym kwadransie obładowana afrodyzjakami mecenasowa dziarsko chwyciła za klamkę. Do środka Bombonierki wdarł się silny powiew wiatru. Podmuch zatoczył koło, świsnął tuż nad ladą i zerwał czerwone piórko z pudełka z zamówionymi przez *meneera* Jolinkę czekoladkami. Skonsternowana Nina podniosła ozdobę z podłogi i przygryzła wargę. Piórko przyklejone było do pierwszego pudełeczka z lewej... Hm... nie, z prawej! Tak, na pewno z prawej! Nina przymocowała starannie delikatną ozdobę i ruszyła na zaplecze, do kuchni, gdzie uwijała się Isa.

– Kochana, zastąp mnie na moment. Marta powinna być lada chwila. Obawiam się, że czeka nas pracowite popołudnie – dodała, chichocząc. – Sprzedałam już wszystkie *fenegrieki*.

– Nie do wiary! Dopiero co nową partię do gabloty wyłożyłam! – Isa otarła czoło kantem dłoni. – Kto tym razem? Mecenasowa czy dyrektorowa?

– Na razie ta pierwsza, ale jak znam życie, druga pojawi się u nas jeszcze dzisiaj. Przecież nie może być gorsza od przyjaciółki. Czekoladki dla Jolinkę stoją na ladzie. Powinien je zaraz

odebrać.

Nina, podśpiewując pod nosem, wybiegła z Bombonierki. Na ulicy pachniało latem i różami. Stary Peter z antykwariatu Pod Białym Jeleniem wystawił przed wejściem zabytkowe zabawki, a Jolene z malutkiej pracowni jubilerskiej Błękitny Kamień układała z pietyzmem na stoliczku nakrytym aksamitną narzutą nowe naszyjniki z nieregularnych niebieskich jak niebo lapis-lazuli.

Walstraat była taka piękna! Brukowany trotuar, kolorowe, wąskie jak wstążeczki, strzeliste kamienice, oplecione pnącą różą fasady i mnóstwo uroczych sklepików ze starociami, porcelaną i książkami. Nina uwielbiała buszować wśród zakurzonych półek uginających się od francuskiej literatury pięknej. Właścicielka antykwariatu pochodziła z Bretanii, z Nantes nad Loarą. Sąsiedzi nazywali ją Madame Antoinette. Wszyscy znali jej słabość do Juliusza Verne'a, który również urodził się w Nantes. Madame mówiła po niderlandzku z silnym akcentem. Jej słowa naszpikowane były wibrującym francuskim r i charczącym gardłowym g, typowym dla holenderskiej mowy.

– *Bonjour!* – Nina zamachała w kierunku obleczonej w powiewające jedwabie antykwariuszki.

Madame Antoinette obdarzyła ją zamyślnym, nieobecnym uśmiechem i delikatnie uniosła lewą dłoń. Nina postanowiła podesłać jej czekoladki z nadzieniem z truflii francuskich. Z sąsiadami należało żyć w zgodzie. Szczególnie w Deventer.

A tymczasem w witrynie cukierni Jeurissenów widniała nowa tajemnicza grafika z hasłem: *Wejdz do nas i daj się zaskoczyć.* Nina z nieukrywaną ciekawością pchnęła drzwi. Za ladą stał uśmiechnięty od ucha do ucha Romeo i pakował do papierowych toreb... niemożliwe... oblane czekoladą brokuły. Intensywna zieleń w połączeniu z głębokim czekoladowym brązem dawała zaskakujący kolorystyczny efekt. Nina nigdy wcześniej nie próbowała takiej mieszanki.

– Ależ to piękne! – zakrzyknęła.

Romeo drgnął, ale uśmiech ani na moment nie znikł z jego twarzy.

– Wymyśliłem sobie nietypowe lunche – powiedział, tak jakby rozstali się wczoraj w jak najlepszej komitywie i jakby te dni pełne milczenia nigdy nie miały miejsca. – Oprócz brokuła mamy bekon w nugacie z kolorową posypką i nasz hit... tylko się nie śmieje... ziemniaczane babeczki z czekoladą. Schodzą jak świeże croissanty!

– Nie zamierzam się śmiać – zapewniła solennie Nina. – Jesteś bardzo kreatywny, Romeo. Ja... przyszedłam tu z gałązką oliwną. – Wyciągnęła przed siebie pudełeczko z pralinkami. – Na

szczęście jadalną, własnej produkcji. – Roześmiała się i dodała nieco ciszej: – Nie chcę, żeby między nami panował... taki chłód, Romeo. Bardzo cię lubię i jeszcze raz przepraszam.

– Za nic nie przepraszaj, Nino. – Romeo odłożył wypełnioną czekoladowymi brokułami torbę. – Miałaś rację. Ta przerwa była nam potrzebna. Musieliśmy w końcu zrozumieć, że możemy koegzystować ze sobą w zgodzie, a nie bezsensownie walczyć. A poza tym chciałbym ci podziękować.

– Za co?

– Wprowadziłaś w ten nasz zakurzony i zastały holenderski świątek trochę świeżości. Dzięki tobie chce nam się być kreatywnymi. To fajne. Inspirujące. Sama zobacz te brokuły.

– Uwierz mi, Romeo, w życiu nie wpadłabym na pomysł zanurzenia tego warzywa w czekoladzie, ale bardzo mi miło, że tak o mnie myślisz.

– Nie tylko ja!

– Ooo, czyżby twój brat również? – Nina zabawnie przekrzywiła głowę.

– Uwierz mi, jest pod całkowitą kontrolą! – Romeo mrugnął łobuzersko.

Roześmiali się oboje. Ninie spadł kamień z serca.

– Musisz jak najszybciej do nas wpaść. Mam nową współpracownicę. Tworzy prawdziwe cuda. Spróbuj tych pralinek, a sam zobaczysz. Są czarodziejskie i pomagają... na miłość.

– Słyszałem już co nieco o działaniach czarownic z Bombonierki, na Walstraat nic się nie ukryje, ale chętnie sam poddam się tej waszej magii. – Patrzył na nią ciepło.

Nina postawiła na blacie pudełko.

– Pójdę już i... *tot ziens*^[27]. Naprawdę cieszę się, że wszystko sobie w końcu wyjaśniliśmy.

– Ja też. *Tot gauw*^[28], Ninaatje! – Pomachał jej przyjaźnie.

Kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi, od razu zaciekawiony sięgnął do pudełka. W nozdrza uderzył go frapujący, nieoczywisty aromat ziół i czekolady. Na spodniej stronie wieczka, na samym jego środku, królował kremowy bilecik. Romeo rozerwał papier i przebiegł wzrokiem tekst. A potem drugi raz. I trzeci... Jego ciemne oczy zalśniły. Nie mógł w to uwierzyć. To... czary! A jednak od początku się nie mylił! Nawet nie zdążył spróbować tej czekolady, a już działała cuda!

[26] Popularna holenderska sieć sklepów z bielizną.

[27] hol. Do zobaczenia.

[28] hol. Do szybkiego.

ROZDZIAŁ 49

Dary losu



– Dobrze, że mnie znalazłaś, moje dziecko. Przyznam szczerze, że w życiu bym cię nie poznała. Wydoroślałaś. Jesteś już dorosłą kobietą, a ja cały czas pamiętam małą dziewczynkę w opadających podkolanówkach i kokardach wplecionych w cienkie warkocze.

Maria Grodnicka spoglądała dobrotliwie na siedzącą po drugiej stronie stołu i ściskającą nerwowo dłonie Mariannę. Tuż obok niej, nad ogromnym porcelanowym talerzem pełnym pomidorowej z ryżem, posapywał z lubością Benio. Zajadał już trzecią dokładkę zupy. Jego blade policzki zaróżowiły się zdrowo. Mały rozglądał się z ciekawością po obcym, ale jakże ciekawym wnętrzu. Jeszcze nigdy nie widział takich staromodnych mebli. A ten zegar... Miał nadzieję, że jest z kukułką i że starsza pani zgodzi się, żeby ją pogłaskał. Babcia Luscia nigdy mu na to nie pozwalała.

– Nawet nie wie pani, jaka jestem wdzięczna za okazaną pomoc. – Maniana pochyliła nisko głowę. – Musiałam gdzieś zgubić portfel. – Jej twarz przepełniała bezradność. – Najprawdopodobniej zostawiłam go w domu. Wychodziliśmy w pośpiechu... Zorientowałam się dopiero na dworcu, przy kasie... Nie mogłam już wrócić... nie dałam rady. On... mój mąż...

Urwała i zerknęła znacząco na siorbiącego beztrósco zupę Benia. Był jeszcze taki mały, taki bezbronny. Zrobiłaby dla niego wszystko.

– Nie musisz się tłumaczyć, Mania. – Wyblakłe błękitne oczy Marii, zatopione w siateczce drobniutkich zmarszczek, przepełniało zrozumienie. – Porozmawiamy później – szepnęła znacząco. – Jak tam, mój dzielny kawalerze?! – zakrzyknęła gromko do chłopca. – Smakuje ci

moje popisowe danie? To recepta przekazywana kobietom z rodu Grodnickich z pokolenia na pokolenie! Ma już ponad sto lat!

Benio kiwał z przejęciem umorusaną pomidorami brodą.

– Jest bardzo dobra – sapnął. – Prawie tak dobra jak mojej mamusi. A pani jest taka stara jak ten zegar? Czy jak kukułka?

– Benio! – Maniana zmarszczyła groźnie brwi. – To niegrzeczne pytać kobietę o wiek. Bądź dżentelmenem.

– Daj mu spokój! – zaprotestowała Maria. – Nigdy nie ukrywałam swojej daty urodzin, bo uważam, że wiek to powód do dumy, a nie wstydu. Mam osiemdziesiąt lat, kochanie – zwróciła się do małego.

– Ojej, to jest pani baaardzo stara... Ale to nie szkodzi, bo i tak bardzo panią lubię – powiedział i ziewnął rozzdzierająco. Z trudem powstrzymał się przed zamknięciem powiek.

– Zgrywa bohatera, ale śpi, biedaczysko, na siedząco. Połóż go w małym pokoju na górze – poleciła Maria. – A ja w tym czasie zrobię nam mocną herbatę z malinami.

Maniana z synkiem w ramionach wyszła z pokoju. Wdrapała się po skrzypiących niemilosernie schodach. Benio pochrapywał już cicho z głową opartą ufnie o jej pierś. Najchętniej zasnęłaby razem z synkiem, przytulona do jego ciepłego ciała, ale wiedziała, że musi najpierw poważnie pomówić z gościnną panią Grodnicką. Ta rozmowa nie mogła czekać. Marianna bała się nawet pomyśleć, co by było, gdyby dawna sąsiadka nie udzieliła jej schronienia. Nie mogła pojechać do rodziców. Po pierwsze, to tam właśnie szukałby jej Iwo, a po drugie... najzwyczajniej w świecie po prostu się wstydziła. Swojej bezradności. Naiwności. I głupoty.

Tymczasem Maria poczłapała do kuchni. Zagotowała wodę w wielkim żeliwnym czajniku, pamiętającym jeszcze czasy międzywojnia, i wyjęła z szafki dwie szklanki w metalowych koszyczkach. Do pomieszczenia wsunęła się niepostrzeżenie jak cień Maniana. Grodnicka bez słowa wskazała brodą obszerną zaścieloną kocem ławę pod oknem, a potem podeszła do stołu i postawiła na nim szklankę z ciemną, mocno zabarwioną rubinem malin herbatą.

– Co teraz zamierzasz, dziecko? – zapytała wprost.

Po policzkach Marianny popłynęły łzy. Grodnicka czekała spokojnie. Doskonale wiedziała, że czasem trzeba po prostu pomilczeć i dać się komuś wypłakać. A potem go wysłuchać. Łkanie dziewczyny stawało się coraz cichsze. W końcu Maniana otarła kantem dłoni oba policzki.

– Chciałabym odnaleźć przyjaciółkę... Ninę – wyszeptwała. – Mój mąż nas skłócił. Zaplanował sobie mistrzowską intrygę... – Pociągnęła głośno nosem. – Jak to on... Właściwie od zawsze traktował mnie jak swoją niewolnicę, kontrolował, pouczał, wyśmiewał... ale ja nie chciałam tego widzieć. Byłam ślepa. Nie, ja udawałam ślepa, bo tak naprawdę doskonale wiedziałam, że tak nie wygląda szczęśliwe, kochające się małżeństwo. Broniałam go, tłumaczyłam jego skandaliczne zachowanie przepracowaniem. Ale kiedy po raz kolejny podniósł na mnie rękę... – Głos jej drżał.

Maria uważnie obserwowała dziewczynę. Ile to już razy w swojej karierze psychiatrii słyszała o takich Mariannach i Iwach. Znała wszystkie mechanizmy uzależnienia ofiary od sprawcy, idealizowanie przemocy, upokorzeń, bólu. Iwo był typowym manipulatem, praczem mózgu swojej żony. To, że w końcu wyrwała się z domu, graniczyło z cudem. Ale to dopiero początek drogi, najtrudniejsze i najboleśniejsze decyzje były jeszcze przed nią. Sprawca nigdy łatwo nie odpuszczał.

Maria wyciągnęła z kieszeni złożoną starannie chusteczkę. Marianna chwyciła ją obiema dłońmi i po chwili wahania wysmarkała bulgoczący nos. Kto jeszcze w dzisiejszych czasach jednorazówek używał kraciastych bawełnianych chustek?!

– Dlaczego po prostu do niej nie pójdziesz i nie wyjaśnisz całej sprawy? – Grodnicka siorbnęła łyk herbaty i skrzywiła się niepostrzeżenie. Gorący napój poparzył jej usta.

– Nina wyjechała z kraju – odpowiedziała głucho Maniana. – Już od jakiegoś czasu próbuję się z nią skontaktować, ale ma wyłączony telefon. Prosiłam jej ojca o pomoc... ale kazał mi dać swojej córce spokój. Podobno zaczęła w Holandii nowe życie i z tym starym nie chce mieć już nic wspólnego. Będę szczerą... Nie wierzę w to. Nina może się gniewa, ale na pewno nie skreśliłaby mnie tak łatwo. Pomimo że... ja to zrobiłam z nią. Nie dałam jej żadnej szansy...

– Nie możesz cały czas obwiniać się o wszystko.

– Wie pani, gdyby nie Iwo, nadal prowadziłybyśmy razem naszą księgarnię. Nina nigdzie by wtedy nie wyjechała. Kocha książki tak samo jak ja, a chyba nawet bardziej. Od kiedy pamiętam, angażowała się w każdy projekt do samego dna serca. Nie umie inaczej.

Maria zmarszczyła długi zakrzywiony nieco u nasady nos.

– Księgarnię? Tę przy Bukowej? – zapytała.

Marianna błyskawicznie się ożywiła.

– Tak! Bywała pani u nas?

– Nie, kochanie – zaprzeczyła „Filomena”. – Mam w tym domu ponad dwadzieścia tysięcy woluminów. Po mężu bibliofilu. Ale dobrze znam budynek, w którym mieściła się ta księgarnia. W latach sześćdziesiątych prowadziłam tam swoją praktykę jako młody i pełen ideałów psychiatra.

– Nie uwierzy pani... ale ja ciągle widzę panią sprzed lat, z surowym błyskiem w oku, w okrągłych drucianych okularach, dźwigającą wielką skórzaną torbę wypchaną książkami. Wtedy myślałam, że pracuje pani w bibliotece.

– To prawda, mój kręgosłup do dziś odczuwa ciężary, które tak beztróska wieszałam sobie na ramieniu. – Grodnicka się roześmiała. – Byłam nadambitna. Taka jak twoja Nina. Ale wracając do niej... Chyba będę mogła ci pomóc – zapowiedziała tajemniczo. – No nie patrz na mnie jak na ducha. Znam kogoś, kto wie, gdzie mieszka teraz twoja przyjaciółka. I ten ktoś ma u mnie dług wdzięczności. To jej matka.

Impertynent i kalambury



W niedzielę Nina chadzała najchętniej do Rijsterborgherpark, parku położonego dokładnie pomiędzy stacją kolejową a śródmieściem. Zwykle zabierała ze sobą książkę. Tym razem schowała do plecaka pożyczoną od Madame *Michała Strogowa* Verne'a. Co prawda nie rozumiała ani słowa, gdyż powieść wydano po holendersku, ale jej nowa francuska znajoma twierdziła, że czytanie książek w obcym języku to najlepszy sposób na jego naukę. Nina błyskawicznie przyswajała obce słówka, jak gąbka chłonęła mentalność i holenderskie zwyczaje, ale tak naprawdę w głębi duszy ciągle jeszcze nie wiedziała, czy chce zostać w Deventer na dłużej. Cały czas tęskniła za swoimi miejscami w Polsce, za porzuconymi pośpiesznie niezrealizowanymi marzeniami, za rodziną (nawet za ciotką Eugenią!), swoim mieszkaniem, twaróżkiem ze szczypiorkiem na leniwe śniadania i... za Manianą.

W ciągu tych kilku miesięcy na obczyźnie zadzwoniła do przyjaciółki dwa razy (przezornie z zastrzeżonego numeru), rano i późnym popołudniem, kiedy według jej obliczeń Iwo powinien być w pracy. To jednak właśnie on odebrał telefon. Po usłyszeniu jego „halo”, które brzmiało jak szcęknięcie, natychmiast się rozłączała. Nie ze strachu, ten pajac nie mógł jej nic zrobić, ale z obawy przed konsekwencjami, które mogła za te próby kontaktu ponieść Mańka. W końcu Nina wymieniła w smartfonie polską kartę na holenderski prepaid. Zamierzała co jakiś czas kontrolować polski numer, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie zapodziała ten przeklęty miniaturowy kartonik. W końcu machnęła na to ręką po kolejnych bezowocnych poszukiwaniach. Diabeł ogonem nakrył – jak mawiała Eugenia. A jeżeli ktoś z polskich znajomych będzie chciał ją namierzyć, na pewno znajdzie na to sposób. Chociażby przez Aurelię i Witolda.

Tak rozmyślając, Nina maszerowała wśród zielonych połaci malowniczego miejskiego parku. Minęła stylizowany na japoński romantyczny mostek nad kanałem, a potem ptaszarnię, z której rozlegały się pogruchiwanie gołębi i posykiwanie bażanta złocistego. W końcu rozłożyła koc na miękkim trawniku tuż przy sadzawce, obok długich poplątanych włosów płaczącej wierzby. Rozpościerał się stąd przepiękny widok na tłoczące się po drugiej stronie srebrzystego pasma wody secesyjne kamienice przy Singel.

Zzula z ulgą trampki i wyciągnęła ramiona na gryzącym trochę skórę kocu. Już miała sięgnąć po książkę i butelkę wody, gdy nagle z lewej strony nadleciała łaciata piłka i boleśnie trzasnęła ją w skroń. Nina wrzasnęła wystraszona i złapała się za głowę. Nad kocem rozlał się długi cień.

– *Sorry, neem me niet kwalijk*[\[29\]](#) – odezwał się niepewnie głos tuż nad nią. – To naprawdę niechcący...

– Park to nie miejsce na futbol! – warknęła Nina i uniosła wzrok.

Jej przepełnione złością oczy napotkały skruszone spojrzenie... Valentijna Jeurissena! Wydawał się tak samo zaskoczony jak ona, wręcz skruszony, ale po chwili w jego oczach pojawił się typowy sarkazm. I drwina.

– Park to jak najbardziej miejsce na futbol – odparował. – Tym bardziej że rozłożyłaś się ze swoim kocykiem tuż obok naszego boiska. – Mówiąc to, machnął w kierunku zielonej połaci za swoimi plecami.

– Doprawdy? Twój tupet jest porażający! A więc to moja wina, że niemalże dostałam wstrząśnienia mózgu?! – huknęła Nina.

– To ty to powiedziałaś! – Jeurissen skłonił się przesadnie. – Ale nie mógłbym ująć tego lepiej. Nawet tupet się zgadza. A teraz wybac, ale kumple czekają. Dopiero zaczęliśmy grać. Wygląda na to, że zważywszy na bliską odległość od sadzawki, tylko dybiemy na biedne zagraniczne nimfy wodne z... – Zerknął na leżącą tuż obok czubka jego buta książkę. – Verne?! – Przewrócił teatralnie oczami. – Na litość boską, ty jesteś jakąś skamieliną. Dlaczego nie czytasz thrillerów Ilse Ruijters albo Suzanne Vermeer[\[30\]](#)?

Nina zerwała się z koca. Przed jej oczami wirowały czarne mroczki.

– Czy ty nie możesz chociaż raz zachować się jak normalny dorosły człowiek?! Czy zawsze musisz być taki cyniczny?! To cholernie męczące...

Nina nie dokończyła, gdyż nagle zrobiło jej się niedobrze. Zachwiała się i o mały włos nie runęła jak długa na trawnik. Valentijn w ostatniej chwili doskoczył do dziewczyny i złapał ją mocno w ramiona. Oparła się ciężko na jego piersi. Oddychała płytko, z trudem. Przez

moment wdychała kwiatowo-drzewny aromat jakichś dobrych męskich perfum. Długi, lekko wilgotny kosmyk włosów Valentijna połaskotał ją w nos. Kichnęła i otworzyła oczy. Valentijn patrzył na nią z troską. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Wzrok obojga złagodniał nieco. Po czym czar prysł. – Nina szarpnęła się i wyrwała z ramion Vala.

– Powinien cię obejrzeć lekarz. Zawiozę cię – powiedział.

– Chyba ciebie! Daj mi spokój! Nic mi nie jest, tatusiu! – parsknęła i zamarła, wsłuchując się w siebie uważnie.

Karuzela w głowie na szczęście ustała. Nina schyliła się po książkę, wrzuciła ją do plecaka i zaczęła zwijać koc. Val stał obok ze zmarszczonym czołem.

– Długo będziesz tu sterczał? Wracaj do swoich kolegów. I ćwiczcie pilnie przed kolejnymi mistrzostwami. Może uda wam się uświetnić Dzień Buraka w Rijssen! Która liga? Czwarta? – zakpiła. Z premedytacją.

– *Je bent me er eentje*^[31]. – Mrugnął do Niny i zerknął na pokrzykujących już niecierpliwie przyjaciół z boiska. – I zadzwoń, gdyby coś się działo. Nadal twierdzę, że powinien cię zobaczyć lekarz. Mój numer jest bardzo łatwy do zapamiętania. Zero sześć, jak wszystkie holenderskie komórki, i data urodzin van Gogha.

„Którego na pewno nie znasz” – chciał już zgryźliwie dorzucić, ale ugryzł się w język. Jak nie on.

„Wsadź sobie w dupę swoje kalambury” – pomyślała mściwie Nina i poprawiła wpijający się w ramiona pasek plecaka. Ten impertynent zepsuł jej leniwie zapowiadające się przedpołudnie. Nie zaszczycając Vala nawet jednym spojrzeniem, bez słowa pożegnania ruszyła w kierunku miasta.

Jej popłątane włosy opadały miękką falą na ramiona i plecy. Miała zgrabne nogi. I świetny tyłek. Ale była wariatką. I czarownicą. Pomimo tego patrzył za nią tak długo, aż jej sylwetka rozplynęła się na cieniutkiej zielonej wstążce horyzontu.

[29] hol. Przepraszam, wybacz mi.

[30] Popularne pisarki holenderskie.

[31] hol. Jesteś niepoprawna.

Kolejna łamigłówka



Romeo bardzo długo myślał nad prezentem dla Niny. Chciał, żeby jego podarunek był wyjątkowy. I niepowtarzalny. Jak ona sama. Tak naprawdę to nic o niej nie wiedział. Na pewno kochała czekoladę. I książki. Madame rozpowiadała wszem i wobec, że w końcu znalazła bratnią duszę i kogoś, kto docenia klasyków światowej literatury. Często siadały razem na seledynowej ławeczce tuż przed drzwiami antykwariatu Francuzki. Wejście do środka było tak niskie, że co bardziej rośli klienci musieli zginać się wpół, żeby znaleźć się w ciemnym i wąskim korytarzyku prowadzącym do księgarni.

Chodził do Madame jeszcze z rodzicami, jako beztrioski dzieciak, wierzący, że bezgraniczna miłość matki i ojca uchroni go przed całym złem tego świata. *Pa* z cierpliwością, którą odziedziczył po nim jedynie młodszy syn, wyszukiwał u Madame stare mapy z czasów Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, a *ma* wyciągała z zakurzonych regałów przedwojenne księgi kucharskie. Tak właśnie wyszperała legendarną *Haagsche kookboek*^[32] z 1895 roku. On sam siedział pod wąskim okienkiem i, machając nogami, przeglądał książeczki dla dzieci o przygodach rudego kocura Dikkiego Dika. Co robił wtedy Val? Ha! Hultaj zaczytywał się w Verne'em, szczególnie w jego powieściach awanturniczych. Potem udawał, że nigdy nie emocjonował się przygodami kapitana Granta, ale w kufrze na strychu w domu rodziców przez długie lata leżały namacalne dowody jego matactwa. Ciekawe, co z nimi zrobił po sprzedaży domu przy Kapjeswelle? Na pewno ich nie wyrzucił, ale schował tak, że nikt, nawet on sam, nie umiał ich znaleźć.

Spoglądając raz po raz na rozświetlone niebo, Romeo surfował po necie, szukając inspiracji. Z placu de Brink dochodził go harmider i pokrzykiwania bawiących się dzieci. Fundacja Spelen op de Brink co niedzielę organizowała zabawy na świeżym powietrzu dla najmłodszych mieszkańców miasta. Romeo przez kilka lat pracował jako wolontariusz w fundacji, nawet sprezentował kilka czerwonych hulajnóg dla kilkulatków oraz cotygodniową dostawę zdrowej lemoniady. Lubił czuć się potrzebny. Przydatny. Bo doskonale pamiętał, że nie zawsze tak było.

Po przejrzeniu kilkudziesięciu stron internetowych Romeo w końcu podjął decyzję. Miał nadzieję, że Nina będzie zaskoczona. Szczęśliwa. I wyszepta mu na ucho to wszystko, co napisała w liściku. Na samą myśl poczuł rozlewające się po podbrzuszu przyjemne ciepło. To obezwładniające uczucie spełnienia i radości znali wszyscy już od prawieków. Nazywało się szczęście.



Tej nocy Nina spała wyjątkowo dobrze. Zawroty głowy z parku już się nie powtórzyły. Jedynym niepokojącym i niecodziennym objawem był nadmierny apetyt. Nina zjadła na kolację całą miskę makaronu ze świeżym tuńczykiem. Danie miało jej wystarczyć na dwa dni, a zaledwie po godzinie biesiadowania garnek świecił pustkami. Objedzona jak bąk zaległa na kanapie. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zadzwonić po Martę. Mogłyby otworzyć jej ulubione czerwone wino, Cabernet Sauvignon, i poplotkować.

Sięgnęła po telefon. Niestety komórka Marty nie odpowiadała. Szybko wystukała na klawiaturze krótką wiadomość z zaproszeniem na Walstraat i usadowiła się wygodniej na miękkich poduszkach. Rzadko przebywała w tym podobno ulubionym pokoju cici. A jeżeli już, trwało to tylko krótką chwilę. Salonik Emmy, pomimo że przytulny, z klimatycznymi szprosowymi oknami wychodzącymi na dachy sąsiednich kamienic, wywoływał u niej nostalgię i smutek. W pomieszczeniu nadal unosiła się delikatna mgiełka ulubionych perfum cici. Zetlały już aromat mirry, goździka i bursztynu, którymi pachniały również jej długie aksamitne sukienki, przypominał boleśnie, że Emma już nigdy nie zasiądzie na swojej ukochanej kanapie i nigdy nie uśmiechnie się tak, jak z portretu, który ozdabiał centralną ścianę salonu. Nina lubiła wchodzić do pokoju nawet kilka razy w ciągu dnia tylko po to, żeby popatrzeć na to zdjęcie. Spoglądały na nią z niego jej własne, a przecież obce oczy. Nina nigdy nie miała w swoich tyle czułości i dobra. I smutku. A może tęsknoty. Za czymś, czego nigdy nie dane jej było zaznać.

Krzywiąc się nieco, ponownie poprawiła się na sofie. Coś cały czas uwierało ją boleśnie w plecy. Sięgnęła na oślep i zanurkowała dłonią pod poduszkę. Jej długie palce natrafiły na twarde prostokątny przedmiot. Zaciekawiona odwróciła się i sięgnęła po niego. Trzymała teraz gruby brulion w skórzanej okładce. Zaintrygowana zerknęła do środka. Na pierwszej stronie widniał napis:

Emilia Dobrzycka vel Emma van Toorn

Dagboek[\[33\]](#)

1978–2018

Starannie ponumerowane stronice wypełniały szpiczaste, pochyle literki. Spomiędzy pośliskłych nieco kartek wypadł nagle cieniutki jak kruchy pergamin zasuszony liść kasztanowca. Najpiękniejsze kasztany rosły przed domem babci i dziadka w Otmuchowie. Nina jak przez mgłę pamiętała wizyty w domu rodzinnym mamy, tam gdzie zawsze na przykrytym śnieżnobiałym obrusem stole w porcelanowych talerzach podawano domowy rosół z kluseczkami.

Nina pochyliła się nad starannie wykaligrafowanymi literkami. Niektóre układały się w nieznanne jej słowa, bo Emma część pisała po holendersku. Jej krótkie notatki ozdabiała rysunki kwiatów. Pod koniec pamiętnika pismo było już coraz mniej staranne. Ostatnią stronę zapełniały pełne kleksów trudne do odczytania kulfony. Nina delikatnie pogładziła opuszką palca twarde, chropowaty papier. Pamiętnik kończył wpis po polsku. Na policzki dziewczyny wypełzły wypieki.

Czekam na nią bardzo.

Jest moją ostatnią nadzieją.

E.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Nina syknęła zniecierpliwiona. To na pewno Marta, a jej przeszła już ochota na babskie pogaduszki. Najchętniej zostałaby teraz sama z Emmą. Postanowiła zignorować dzwonek, ale kiedy rozległ się ponownie, poczuła wyrzuty sumienia i z trudem zwlokła się z kanapy. Zeszła na dół po skrzypiących niemiłosiernie schodach i szarpnęła za klamkę. W wejściu stał posłaniec z firmy kurierskiej. Trzymał przed sobą opakowaną w elegancki błyszczący papier ogromną przesyłkę.

– Proszę pokwitować. – Ostrożnie postawił paczkę na żeliwnej wycieracze.

Nina spojrzała na niego skonsternowana.

– Mogę wiedzieć, kto jest nadawcą? – zapytała.

– Wszystko jest w liście. *Fijne dag verder*^[34] – odpowiedział pośpiesznie kurier i już go nie było.

Nina wyjrzała na ulicę. Spacerowały po niej roześmiane grupki niedzielnych turystów. Wyteżyła wzrok, ale nie dostrzegła nikogo znajomego. Cofnęła się do kamienicy i, patrząc podejrzliwie na paczkę, tak jakby ta za moment miała wybuchnąć, w końcu rozerwała papier. Wokół niej rozpląnął się słodki, gęsty, głęboki, tak znany jej aromat. Z pięknej donicy wychylały się zalotnie kępy pierzastych liści. Pomiedzy nimi wyrastały aksamitne grube płatki o głębokiej ciemnoczerwonej, niemal czarnej barwie. Kwiaty wydzielaly intensywny zapach czekolady i wanilii, tak jakby ktoś ukrył pod nimi najpyszniejsze na świecie śmietankowe pralinki. Nina nigdy przedtem nie widziała tak egzotycznej rośliny. Z ciekawością sięgnęła po przyklejoną do donicy kopertę.

Cześć, Nina,

Nazywam się Kosmos czekoladowy. Jestem egzotyczną byliną. Tak jak Ty pochodzę z obcego kraju. Wiem, że uwielbiasz czekoladki i kwiaty, dlatego właśnie do Ciebie trafiłem. Drogę do Twojego domu wskazał mi ktoś, kto ostatnio trochę nabroił, ale mam nadzieję, że mu wybaczysz. Jestem przekonany, że tak będzie!

A teraz zajmij się mną troskliwie i znajdź mi miejsce w swoim świecie. Lubię słońce, ciepło i wilgoć. I czułość. Więc tak po prostu mnie kochaj.

Twój Kosmek

Kosmek! Nina już dawno nie śmiała się w głos tak jak teraz. Nieszczęsny piłkarz z parku... A jednak miał trochę klasy. I inwencji twórczej. Kto by przypuszczał? Pan buc romantykiem!

Nina nigdy wcześniej nie dostała tak nietypowego prezentu, ale nie zamierzała mu za niego dziękować. Val powinien należycie odpokutować za ten piekielny futbol.

[32] Książka kucharska.

[33] hol. dziennik

[34] hol. Miłego dnia.

Skrzypce i awantura



Symetrycznie rozmieszczone wśród zielonych podmiejskich pól pawilony należały do rozległego kompleksu hospicjum De Winde. Znajdowało się ono na obrzeżach miasta, otoczone starannie przyciętym żywopłotem, z dala od ludzkich oczu, zatopione w ciszy przerywanej od czasu do czasu ptasimi trelami. Na uliczkę przed głównym wejściem do kompleksu zajechał właśnie mały sportowy samochód z lśniąca karoserią. Po kilku sekundach wyskoczył z niego ubrany z nonszalancką elegancją wysoki przystojny mężczyzna. Popatrzył przez chwilę na prześwitujące pomiędzy koronami drzew wyjątkowo błękitne jak na Holandię niebo i sięgnął do bagażnika samochodu. Wyciągnął z niego ostrożnie ukryte w kolorowym futerale skrzypce. Rozsunął nieco suwak i delikatnie pogładził gładkie pudło rezonansowe. Grywał tylko okazjonalnie, właściwie od kilku dobrych lat prawie wcale, ale nadeszła pora, żeby odświeżyć nieco swoje umiejętności.

Zatrzasnął bagażnik, włączył alarm w aucie i, przyglądając opadające na czoło długie, lekko wijące się włosy, skierował się do wejścia do hospicjum. W progu stała już uśmiechnięta dyrektorka, okrągła jak ciasteczko i zawsze rozpromieniona Loretta Simons.

– *Dag*[\[35\]](#), Loretto. – Mężczyzna się skłonił i błysnął w szerokim uśmiechu pięknymi równymi zębami. – Jak widać, posłuchałem twojej rady i oto jest – zakomunikował, z dumą unosząc instrument. – Mój wyrwany z objęć kurzu pamiętającego jeszcze przedpotopowe czasy Karl Höfner. Mam nadzieję, że potrafię jeszcze prawidłowo trzymać smyczek. Jeżeli nic z tego nie wyjdzie, to będzie wyłącznie twoja wina. Ty mnie do tego namówiłaś.

– Nie mam nawet cienia wątpliwości, że doskonale sobie poradzisz, mój kochany. Sama przekonałam twoją matkę, żeby posłała cię na naukę gry. Pamiętam, jak żartowała, że instrument trochę utemperował twój charakter, ale nie na tyle, na ile by chciała.

Przez twarz mężczyzny przebiegł cień.

– A wzięłeś ze sobą kostium? – zapytała Loretta i uśmiechnęła się ciepło. W jej pulchnych policzkach pojawiły się dołeczki.

– Tak, leży w torbie na tylnym siedzeniu samochodu. Zaraz po niego pójde – oznajmił. – Chciałbym najpierw zainstalować dekoracje w salce. Jeżeli oczywiście pozwolisz.

– Ależ naturalnie, cóż to w ogóle za pytanie! – obruszyła się Loretta. – Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna, że zgodziłeś się na ten koncert. I za to, że tak nam pomagasz. Dzieciaki będą zachwycone. Szczególnie mała Anne. Już od kilku dni o ciebie pyta. Jest tobą całkowicie zauroczona. Jak widać, żadna kobieta nie potrafi ci się oprzeć. – Zachichotała i poklepała go po barczystym ramieniu.

Uśmiechnął się blado.

– To ja jestem ci wdzięczny, Loretto, że dałaś mi tę szansę – powiedział szybko. – Gdyby nie ty... mógłbym źle skończyć. To ty mnie wyciągnęłaś z tego gówna. Dlatego już chyba do końca życia będę twoim dłużnikiem.



Nina, Isa, Nora i Evelien tłoczyły się na zapleczu Bombonierki. Wszystkie miały grobowe miny.

– Naprawdę z mężem Kristen jest aż tak źle? – zapytała zatroskanym głosem Nina. – Cały czas miałam nadzieję, że z tego wyjdzie. Co teraz? Jak możemy jej... im pomóc?

– Musimy po prostu być przy niej. I ją wspierać... – szepnęła Evelien. – Nic innego nam nie pozostało.

– Henk jest w domu czy jeszcze w szpitalu? – Isa ścisnęła w dłoniach najmniejszą poplamioną czekoladą foremkę na praliny. Zawsze kiedy była zdenerwowana, musiała zająć czymś ręce.

– Przedwczoraj przenieśli go do hospicjum przy Hermelijn – oznajmiła ze ściągniętą twarzą Evelien. – Chorzy mają tam doskonałą opiekę. W przypadku Henka lekarze wyczerpali już wszelkie formy leczenia. Kristen nie chciała więcej eksperymentów. Jej mąż tyle już wycierpiał. To ona zdecydowała, że zainstalują go już na stałe w De Winde. Jest przy nim cały czas.

– Czy mogę ich odwiedzić? – Nina spojrzała błagalnie na twarze swoich holenderskich przyjaciółek.

Po prawie roku pobytu w kraju tulipanów i wiatraków tak właśnie o nich myślała. Przyjaciółki. Dzięki nim udało się jej podołać wszelkim emigracyjnym przeciwnościom losu.

– Oczywiście – potaknęła Eve. – Kiedy tylko chcesz. Kristen bardzo za wami wszystkimi tęskni. Potrzeba jej teraz trochę normalności. Beztroski. Czegoś innego niż kroplówki, leki i zapach środków odkażających.

– Zapakuję jej całą torbę naszych nowych pralinek. Jeszcze ich nie próbowała – oznajmiła Nina. – Kiedy odchodziła, nie miała pojęcia, że wróci do całkiem innej Bombonierki. Bo ona wróci, prawda?

Odpowiedziała jej cisza. Eve, Isa i Nora bały się teraz na siebie spojrzeć.

– Uważam, że to skandal! A tak mi was reklamowano! – doszedł je nagle wzburzony męski głos. – Ja tego tak nie zostawię!

Wszystkie głowy dziewczyn zwróciły się jak na komendę w kierunku sklepu. Nina zerknęła na zegarek. Do otwarcia Bombonierki pozostało jeszcze pół godziny, ale najwidoczniej Marta wpuściła pierwszego, plującego jadem klienta, z którym musiała się teraz użerać.

– Co się tam dzieje? – zaniepokoiła się Evelien. – Może to znowu ten marudny Bert, któremu ciągle coś nie pasuje. Ostatnio domagał się świątecznych czekoladek *speculaas* w maju. Tym razem miarka się przebrała! Mam dość jego krzyków i hysterii! Cały czas wymusza na nas jakieś gratisy jako rekompensatę za urojone mankamenty! – Evelien była w bojowym nastroju. – Basta!

– Zostań tu, Eve, nie denerwuj się. Sama pójdę, zobaczę, co się stało – zdecydowała szybko Nina, mocniej ściągnęła poły śnieżnobiałego fartucha i wkroczyła bojowo do chocolaterii.

Na środku sklepu stał elegancko ubrany jegomość z wykrzywioną złością twarzą. Miał na sobie błękitną koszulę w prążki i materiałowe spodnie zaprasowane na ostry kant. Nina, przygotowana na widok małego, grubiutkiego jak baryłka Berta z rozwianym włosom, na moment zaniemówiła.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zreflektowała się po kilku sekundach. – Nazywam się Nina Kostrzewska i jestem właścicielką Bombonierki. Co się stało, panie...?

– Jolink. Norbert Jolink! – oznajmił władczo. – Dyrektor browarów DAVO.

Nina skrzywiła się nieznacznie. Rozwścieczony klient podkreślił swój status społeczny, tak jakby piastowana przez niego funkcja miała tutaj jakiekolwiek znaczenie.

– Panie Jolink, może przejdziemy do ogródka? – zaproponowała, starając się, żeby jej głos brzmiał neutralnie. – Marta zrobi nam kawy i spokojnie porozmawiamy. Chętnie się dowiem, co jest powodem pana złości.

– Kawa jest zbędna! – rzucił Jolink. – I wątpię, żeby mogła pani kiedykolwiek naprawić ten haniebny błąd. Zepsuła mi pani zaręczyny! Przygotowywałem wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Od pół roku! I karygodne zaniedbanie ze strony pracowników pani firmy wszystko zepsuło!

– *Met alle respect, meneer Jolink, wat is hier aan de hand?*^[36] – Do sklepiku wsunęła się zaczerwieniona aż po nasadę włosów Isa. – To ja przygotowałam dla pańskiej narzeczonej pudełko z niespodzianką. Zrobiłam wszystko ściśle według pańskich wskazówek! Dlatego, nie bardzo pojmuję, skąd ta awantura!

Jolink nabzdyczył się jak indor.

– Skoro tak pilnie studiowała pani moje wytyczne, gdzie w takim razie podział się mój liścik?! W którym wyznawałem mojej narzeczonej miłość?! Miał być *clou* całego wieczoru!

– Bilecik włożyłam do środka pudełka – oznajmiła stanowczo Isa. – Doskonale to pamiętam. Kaligrafowałam pańskie wyznanie cały wieczór. Mogę nawet wyrecytować treść! *Od zawsze byliśmy sobie przeznaczeni, liefje. Wierzę, że od teraz czeka nas wspólna droga. Powiedz, że i Ty tego chcesz. Kocham cię! N.*

– W rzeczy samej! To moje słowa! – potwierdził Jolink. – W momencie, kiedy miała je czytać, pragnąłem jej wręczyć pierścionek zaręczynowy. Białe złoto i diament. Wykonany na specjalne zamówienie przez jubilera z Amsterdamu.

– To oświadczył się pan w końcu czy nie? – zainteresowała się milcząca dotąd Marta.

– Nie! Brakło najważniejszego narzędzia! – zakrzyknął pan dyrektor. – I to wasza wina! Ale skoro tak uparcie twierdzicie, że bilecik został dołączony do czekoladek, to co, do cholery, się z nim stało?!

Zatroskane miny stojących obok niego kobiet jasno dowodziły, że one same także chciałyby to wiedzieć.

^[35] hol. Witaj.

[36] hol. Z całym szacunkiem, panie Jolink, o co chodzi?

Prawnicze zgryzoty i rowerowa marmoladka



Lars van Haasteren ze zmarszczonymi surowo przyprószonymi siwizną brwiami siedział zatopiony w lekturze urzędowego pisma, które dosłownie przed kwadranssem wraz z codzienną porcją poczty dostarczyła mu sekretarka. Zwyczajowo o tej porze pił już trzecią filiżankę słabej kawy ze spienionym mlekiem, ale dziś nawet nie tknął jeszcze ulubionego napoju. Kiedy miał zgryzoty, nie potrafił przełknąć choćby jednego łyka.

Na długiej białej kopercie, którą trzymał, widniała pieczętka jednej z najstarszych kancelarii w Holandii, specjalizującej się w prawie spadkowym. Brenner Advocaten znani byli z niezwyklej skuteczności i dociekliwości, jeżeli chodziło o wszystkie sprawy związane z podważaniem testamentów. Lars do tej pory nie miał żadnych wątpliwości, że ostatnia wola zmarłej Emmy została sporządzona z należytą starannością. Był bardzo dobrym prawnikiem, zawsze baczył nawet na z pozoru niezwiązane ze sprawą detale. W ciągu swojej kariery nigdy nie zdarzyło mu się popełnić błędu. Tym razem jednak wszystko wskazywało na to, że przeoczył kluczowy szczegół, który mógł mieć istotny wpływ na ważność ostatniej woli jego przyjaciółki. Tylko skąd, u diabła, Richard van Toorn dowiedział się o tym incydencie sprzed kilkudziesięciu lat.

Lars sięgnął mechanicznie po stojącą obok zimną już kawę, skrzywił się niemiłosiernie i wykręcił numer sekretariatu.

– Połącz mnie, proszę, pilnie z Janem Brennerem z kancelarii notarialnej Brenner Advocaten – polecił krótko.

Po kilkunastu sekundach wypełnionych kantatami Jana Sebastiana Bacha Lars usłyszał w końcu ludzki głos.

– Met[37] Brenner – odezwał się słuźbiście jeden z najskuteczniejszych prawników w kraju. Podejmował się wyłącznie spraw skazanych na przegraną. Inne nie zaprzętały mu głowy. Swoją pracę traktował jak narkoman dragi. Zawsze musiał być na haju.

– Dzień dobry, Janie – odpowiedział Lars, siląc się na pogodny ton.

W rzeczywistości jego myśli tonęły w czarnych chmurach. Brenner nigdy nie przegrywał. Podobnie jak on sam. Tym razem któryś z nich musiał jednak polec w tej bitwie.

– Van Haasteren! Kopę lat! – Brenner się roześmiał. – Nigdy nie sądziłem, że po pamiętnym casusie van der Sterna nasze drogi ponownie się zejdą. A jednak! Jak się domyślam, otrzymałeś już pismo z mojej kancelarii. Nie ukrywam, że mojemu klientowi bardzo zależy na czasie. Ta sprawa zdecydowanie zbyt długo, przepraszam za agrarne wyrażenie, leżała odłogiem.

– Twój klient kilkakrotnie już się ze mną kontaktował. Niestety nie mogłem mu pomóc – odparł spokojnie Lars. – W tej sprawie nie ma niewiadomych. Wszystkie karty leżą na stole – zablefował. Z premedytacją, której nigdy by się po sobie nie spodziewał.

– I tu się mylisz, mój drogi. Dotarliśmy do informacji, że twoja klientka miała w przeszłości bardzo poważne problemy ze zdrowiem psychicznym. Pozwala to przypuszczać, że w ostatnich miesiącach życia mogła mieć nawrót choroby. Emma van Toorn w momencie zmiany testamentu była w agonii, która mogła pogłębić depresję.

– To tylko twoje przypuszczenia, Brenner. Niepoparte nawet jedną racjonalną tezą. W skrócie, nie masz żadnych dowodów. Emma pomimo wyniszczającej jej ciało ciężkiej choroby do końca była świadoma. Ale skąd twój klient ma o tym wiedzieć? Nie widział swojej macochy od wielu lat. Przypomniał sobie o niej dopiero, kiedy do drzwi jego rezydencji zapukał komornik.

– Daruj sobie ten sarkastyczny ton, van Haasteren. To do ciebie niepodobne – zgrabnie odbił piłeczkę Jan Brenner. – A o dowody się nie martw. Intensywnie nad nimi pracuję. Znasz mnie, nie lubię prostych dróg do sukcesu. Ta wydaje się wyboista, ale mam niezłe resory. To na razie wszystko. Reszty dowiesz się w najbliższym czasie. *Keep in touch!*

Na linii rozległ się dźwięk przerwane połączenia. Lars odłożył słuchawkę. Nie był zadowolony z tej rozmowy. Powinien powściągnąć emocje, a dał się sprowokować jak pierwszy lepszy sztubak. Przecież Brennerowi tylko o to chodziło. Jeden zero dla niego. Ale Lars nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Musiał teraz jak najszybciej skontaktować się z Niną. Od tego zależała przyszłość Bombonierki.



Nina po długich namysłach i konsultacjach z holenderskimi specjalistkami (Isa, Evelien i Nora) zakupiła w końcu swój pierwszy *fiets*. Miał być retro, z dużym koszykiem i koniecznie w kolorze malinowym. Amsterdamski cruiser Veloretti idealnie spełniał wszystkie wymagania. Miał piękne skórzane siodełko, fantazyjnie wygiętą ramę, grube białe opony i od razu uzyskał aprobatę całego zarządu Bombonierki.

– Emma miała podobny rower, ale oddała go jakiejś klientce – wspominała Evelien. – Ta kobieta przyszła do nas po drobne zakupy i zachwyliła się stojącym przed wejściem jednośladem. Podobno nigdy nie miała tak pięknego kobiecego roweru, gdyż jej mąż, jak to każdy praktyczny deventerczyk, stawiał na funkcjonalność, a nie urodę pojazdu.

– Jak to oddała? – zdumiała się Nina i czule pogładziła lśniąca nowością ramę.

– Zwyczajnie. – Eve wzruszyła ramionami. – Emma robiła mnóstwo zadziwiających rzeczy. Czasem nie umiałam za nią nadążyć. Powiedziała, że ten rower da więcej radości tej nieznamomej kobiecie, niż przynosi jej. A ona uwielbiała, kiedy ludzie byli szczęśliwi. Niedługo potem rower nie był jej już potrzebny. Nie miała sił i jeździła na scootmobielu... A do koszyka przypniemy kwiaty – zmieniła nagle temat. – Mam w domu przepiękne czerwone tulipany. Wyglądają jak żywe! – emocjonowała się sztucznie Eve.

Nina delikatnie położyła dłoń na jej ramieniu.

– Nie wstydź się o niej rozmawiać – szepnęła. – Potrzebujesz tego. I ja też... Bo wtedy wydaje mi się, jakbym ją znała, Eve...

Evelien pokiwała głową i uśmiechnęła się. Nina miała rację. Niepotrzebnie bała się mówić o Emmie. Ale to tylko dlatego, że cały czas ogromnie za nią tęskniła.

Z Bombonierki wyszła jak zawsze promienna Marta i podała Ninie obwiązany szeroką wstążką pakunek.

– Jadę do Kristen – objaśniła Nina, napotykając zaciekawione spojrzenie Eve. – Obiecałam, że przywiozę Henkowi nasze pyszności. *By the way*, Martuś, a jak rozwiązałyście problem Jolinka? Prawdę mówiąc, zupełnie o tym zapomniałam.

– Wszystko pod kontrolą, szefowo. – Marta zaszalutowała zabawnie do gołej głowy. – Cały czas zastanawiamy się, co mogło się stać z bilecikiem. Najprawdopodobniej wpadł pod ladę i ktoś go zamiótł albo odkurzył. Nora wpadła na genialny pomysł, żeby wysłać oblubienicy pana dyrektora ogromny bukiet kwiatów, a jemu kolejne pudełko miłosnych czekoladek, tym razem opatrzone bilecikiem. Sama go zamocowałam. Poza tym pan Jolink dostał voucher na gorącą czekoladę dla dwóch osób. Do konsumpcji już po ślubie... – Mrugnęła zawiadacko.

Nina i Eve zaczęły się śmiać. Jak to dobrze, że miały Martę! Jej entuzjazm i optymizm były zaraźliwe.

W Bombonierce rozległ się nagle dźwięk telefonu. Eve pośpieszyła do środka. Po chwili usłyszały jej cichy, spokojny głos. Rozmawiała z kimś po holendersku.

– Dzień dobry, szanownym paniom! Piękna ta wasza atrapa dla przyciągnięcia klientów! Bo przecież ta malinowa marmoladka w kształcie roweru nie jeździ, prawda?

Na środku ulicy stał z rękami w kieszeniach błękitnych dżinsów Valentijn Jeurissen. Zmrużył oczy, po czym nałożył na nos ciemne okulary pilotki i błysnął zębami w szerokim uśmiechu. Jego skóra miała ciemny odcień, jakby co najmniej przez tydzień wylegiwał się na hiszpańskiej plaży. To niemożliwe, żeby mieć taką opaleniznę w wiecznie zalanej deszczem Holandii.

– Wyobraź sobie, że jak najbardziej jeździ! To mój rower, a nie żadna marmoladka... złośliwy, spalony na wiór croissancie! – rzuciła Nina. Tym razem nie zamierzała gryźć się w język.

Marta spojrzała na nią rozbawiona.

Val w odpowiedzi pokazał uniesiony kciuk i, podśpiewując pod nosem, ruszył w kierunku placu de Brink.

– Kto to? – Marta zachichotała. – Nie wygląda na zeschłego, jak się dosadnie wyraziłaś, croissanta! Mogę go schrupać czy to twoje danie?

– Bierz go w całości! – zachnęła się Nina. – Tylko obawiam się, że po konsumpcji możesz dostać rozstroju żołądka. To Valentijn, właściciel piekarni, nasz konkurent z piekła rodem. Myślałam, że się uspokoił, ba, nawet przysłał mi kwiaty, ale najwyraźniej stary lis nadal nie pozbył się swoich nawyków. Nie cierpię go! – podkreśliła zawzięcie.

Marta z powątpiewaniem popatrywała na swoją szefową. Ten przystojny chłopak często się tu kręcił, ale skoro pracował niedaleko, może nie powinna upatrywać w tym fakcie niczego nadzwyczajnego. Chociaż jej czuła jak sejsmograf intuicja podpowiadała, że tych dwoje wbrew pozorom wcale nie darzy się aż taką niechęcią, jak się pozornie wydawało.

Nina związała długie włosy w zabawny kok na czubku głowy i chwyciła za kierownicę swojego veloretiego. W tym momencie w kieszeni jej spodni rozległ się sygnał przychodzącego esemesa.

Zapraszam Cię na kolację, Ninaatje.

Chyba wystarczająco długo się naczekałem?

Jak się czuje Kosmek?

R.

– To esemes od pana złośliwca? – Marta zajrzała jej przez ramię. – Szybki jest!

– To wiadomość od jego brata. Przyjaźnimy się – odburknęła Nina.

Pan Croissant nie omieszkął pochwalić się przed Romeem swoim prezentem. Gdyby nie to, że już zdążyła polubić czekoladowego Kosmka, po prostu by mu go odesłała. Co za plotkarz!

– Nic z tego nie rozumiem... – Marta zrobiła wielkie oczy. – Ale kiedyś mi wytłumaczysz tę operę mydlaną. A teraz lecę do kuchni. Jak to mówią tubylcy, *dag, schatje!*

– *Dag!* – odpowiedziała Nina i wskoczyła na rower.

„O cholera” – pomyślała, pedałując już po placu de Brink. „Z tego wszystkiego zapomniałam dzisiaj rano przejrzeć skrzynkę mailową. Trudno, poczta będzie musiała poczekać do wieczora”.

ROZDZIAŁ 54

Jak kamfora



Witold Kostrzewski właśnie utracił resztki cierpliwości. Od kilku dni jego żona snuła się po domu jak zjawa, narzekając na globus (tak naprawdę migrenę, ale wolał to staromodne określenie z ich ulubionego onegdaj filmu *Nad Niemnem*). To, że sam sobie robił śniadanie, a od wczoraj także i obiad (nadal te same kanapki ze śniadania!), zdawało się jeszcze, choć z trudem, do zaakceptowania. Ale dziś rano, kiedy po długich poszukiwaniach wyciągnął z brudów swoją ukochaną białą koszulę z monogramem, miarka się przebrała. Aurelia doskonale wiedziała, że po południu ma niezwykle ważne dla losów firmy spotkanie z klientem. Już ponad trzy tygodnie temu prosił ją o pieczołowite wyprasowanie tej właśnie koszuli. Od kilku lat przynosiła mu szczęście w negocjacjach i pomimo tego że nie był przesądny, w to akurat wierzył.

– Aureliaaaa! – krzyknął w kierunku schodów prowadzących na górę. – Zejdź, proszę, na dół, musimy poważnie porozmawiać.

Kiedy się pobrali, bez mała trzy dekady temu, Witold, pomimo że pochodził z bardzo tradycyjnej rodziny, gdzie ojciec zarabiał na dom, a matka go prowadziła, nie śmiał wymagać od młodej i pięknej małżonki, że poświęci się jedynie praniu mu skarpet. Aurelia miała swoją pracę i pasję, ale z biegiem lat okazało się, że może i – co najważniejsze – CHCE je umiejętnie łączyć z obowiązkami pani domu. Kiedy urodziła się Nina, zajmowała się nią z największym oddaniem. Nawet on, zatwardziały tradycjonalista, pomagał w składaniu pieluch i przygotowywaniu małej mleka, co przyprawiało jego siostrę o palpitanie serca z obawy, czy nie zwariował. Kiedy córka skończyła rok, Aurelia wyznała, że nie chce już wracać do biura.

„Lubię zajmować się wami” – powiedziała i Witold od tej pory przyjął deklarację żony za pewnik. Co było, jak widać, sporym błędem, którego skutki przyszło mu odczuć po latach.

– Aurelia, do diaska! Odezwij się chociaż!

Witold w końcu stracił cierpliwość i w kilku rącznych susach (miał wyjątkowo długie kończyny, po dziadku ułanie) pokonał schody i zajrzał do sypialni. Był przekonany, że Aurelia siedziała przed toaletką, wklepując w skórę twarzy jakieś swoje babskie mazidła, ale nie zastał jej przed lustrem. Zabębnił w drzwi łazienki, potem zerknął do starego pokoju Niny i do saloniku gościnnego, z rozpędu otworzył nawet ogromną szafę służącą Aurelii za garderobę, ale nigdzie jej nie było. Diabeł ogonem nakrył, jakby powiedziała Eugenia.

– To nie jest śmieszne – mruknął i szarpnął ponownie za drzwi prowadzące do ich wspólnej sypialni.

Obrzucił pomieszczenie uważnym wzrokiem, zwalczając przemożną pokusę zaglądnienia pod łóżko, i dopiero wtedy to zauważył. Na toalecie wśród dziesiątek szklanych słoiczków leżała złożona na pół kartka. Witold zdecydowanym krokiem wszedł do pomieszczenia i chwycił za papier.

Nie szukaj mnie. Muszę odpocząć. To ważne.

Resztę wyjaśnię po powrocie.

Aurelia

Witold jęknął głośno. Cóż to znowu za babskie fanaberie?! Bez namysłu wyszarpnął z kieszeni smartfon i wybrał numer żony. W głębi toaletki coś zawibrowało. Otworzył szufladę i ze zdumieniem dostrzegł, że Aurelia zostawiła swój telefon w domu! To już nie były przelewki.

Tym razem wyszukał numer siostry. Eugenia odebrała błyskawicznie, jakby nie robiła nic innego, tylko czatowała przy telefonie.

– Gienia! Gdzie, na litość boską, jest Aurelia? Ty na pewno COŚ WIESZ!

– Ha! W końcu się doigrałeś! – podsumowała siostrzyczka. – Mówiłam i ostrzegałam, nie traktuj jej jak konia roboczego, bo się znarowi. To masz! Toczka w toczkę tak jak przewidywałam!

– Daruj sobie tę stajnię i rumaki, tylko mów, gdzie, do diaska, jest moja żona!

– Nie mam pojęcia, Witek, naprawdę. – Głos Eugenii brzmiał szczerze. – Może Nina coś wie?

Witold sapnął ze złością. Na razie bowiem wołał się złościć niż martwić.

– No właśnie, Nina! – zakrzyknął. – Zostawiła nas tutaj na prawie rok, mało co się odzywa, właściwie praktycznie wcale do nas nie dzwoni! – grzmiał niczym Zeus na Olimpie. – Te wszystkie problemy zaczęły się, odkąd wyjechała. Nigdy nie powinienem się godzić na te holenderskie eskapady.

– Słuchaj... A może Aurelia pojechała do Niny? – zapytała Eugenia.

Witek zamarł. Bingo! Holandia! Że też sam na to nie wpadł! Tak, Aurelia z pewnością wyruszyła do córki marnotrawnej! To chyba jedyne rozsądne wytłumaczenie tego nagłego zniknięcia. Tylko dlaczego zrobiła z tej podróży tak wielką tajemnicę? Przecież równie dobrze mogli pojechać razem.

Witold pośpiesznie skończył połączenie i zbiegł na dół. Na pawlaczu brakowało ich skórzanej walizki. Bez namysłu chwycił torbę podróżną. Skoro Nina i Aurelia bawią się w konspirację, on również nie będzie zdradzał swoich planów. Nie bardzo wiedział, co powinien spakować, zawsze robiła to żona, ale nie takie przeszkody logistyczne zdarzało się mu pokonywać. Nie miał ani chwili do stracenia. Tylko najpierw trzeba wyłgać się jakoś od popołudniowego spotkania z klientem.



– I pamiętaj, Marianko, od razu po przyjeździe koniecznie do mnie zadzwoń. Wszystko wzięłaś? Kanapki masz w bocznej kieszeni plecaka. A dla Benia zapakowałam batoniki, jego ulubione, z karmelem.

Maria Grodnicka stała przy wielkim białym vanie należącym do jednego z największych lokalnych przewoźników. Wokół niego uwijało się dwóch rośliwych młodych kierowców, pakujących do bagażnika walizki podróżnych. Maria wyglądała wśród nich jak wiekowy krasnoludek. Miała na sobie pocerowaną szarą sukienkę i znoszone, powykrzywane buty. Maniana spojrzała na bladą twarz staruszki, pocięte siateczką czerwonych żyłek policzki, i ścisnęło ją za serce. Grodnicka sama ledwo wiązała koniec z końcem, a ona narażała ją na dodatkowe wydatki. Obiecała sobie, że gdy tylko stanie na nogi, odda emerytowanej lekarce cały dług. Z grubą nawiązką!

– Pani Mario... dziękuję pani za wszystko. Dam znać, kiedy dojadę do Deventer. Jest pani prawdziwym aniołem. Dla mnie i Benia.

– Ty mi już tak nie dziękuj. – Machnęła ręką, jakby odganiała się od natrętnej muchy. – A ze mnie taki anioł jak z koziej... nie będę używać brzydkich wyrazów przy dziecku. Wiesz,

jak mnie na mieście nazywają? I nie jest to bynajmniej anielska ksywka.

Maniana pokręciła przecząco głową i oblała się rumieńcem. Wypadło to raczej nieprzekonująco. Nigdy nie umiała kręcić.

– Filomena! Czyli zła czarownica. Podobno mam tak samo długi i spiczasty nochał jak ona. – Maria z powątpiewaniem pogładziła się po nosie. – Ale dosyć już o mnie! Wracając do twojej podróży... Kostrzewska co prawda nie podała mi dokładnego adresu córki, ale od czego jest ciocia Google.

– Chyba wujek?! – Benio zachichotał i ścisnął swojego ukochanego pluszowego słonia.

– Zobacz, do czego to doszło! Żeby niepełnoletnia młodzież poprawiała wiekową starszyznę! – oburzyła się Maria, ale oczy jej się śmiały. – Zapisalam ci adres tej cukierni czy jak tam cudacznie mówią, chocolaterii, o której wspominała Aurelia. Ma bardzo sympatyczną nazwę. Malinowa Bombonierka. Zapamiętaj ją dobrze, moje dziecko. A teraz już pójdę. Nogi mnie trochę bołą od tego stania. Szczęśliwej podróży!

Samochód ruszył w końcu wolno z zatłoczonego parkingu. Benio podskoczył na swoim siedzeniu. Nigdy wcześniej nie jechał aż tak daleko. Mamusia mówiła, że niedługo zobaczą wielkie wiatraki! Takie jak z książek! Tylko szkoda, że babcia Marysia nie jedzie z nimi. Polubił ją bardzo. Robiła najpyszniejsze naleśniki z konfiturą na świecie i nie bała się duchów. Nic a nic! Benio długo jeszcze machał jej przez zakurzoną nieco szybę busa, a potem zajął się zabawkami.

Marianna oparła się wygodnie na siedzeniu i przymknęła oczy. Ssące w żołądku uczucie niepokoju w końcu ustąpiło. Czuła teraz jedną wielką ekscytację z powodu tej szalonej i niespodziewanej eskapady. Czasem trzeba w życiu zaryzykować i po prostu pójść na całość. Zawsze się tego bała. Wysłała Ninie maila i cztery esemesy. Nawet jeżeli przyjaciółka nie włączy polskiej komórki, to na pewno odpali w końcu swoją pocztę. Robiła to codziennie, odkąd Mańka pamiętała. Nie przypuszczała, żeby na emigracji zrezygnowała z mailowego kontaktu ze światem. Nina nie zmieniała tak szybko swoich nawyków. Maniana miała tylko nadzieję, że przyjaciółka odczyta wiadomość, zanim się pojawią u niej z Beniem.

A teraz niech się dzieje, co chce! Byle z dala od Iwa!

ROZDZIAŁ 55

Klaun i skrzypce



Różne bywają rodzaje ciszy. Cisza, która koi, uspokaja lub sprawia, że czujemy się niezręcznie, i taka, która przeraża i zatrzymuje w biegu cały świat. Cisza panująca w hospicjum De Winde była zwykle bolesnym oczekiwaniem.

Nina starannie przypięła rower do metalowego stojaka, umieszczonego tuż przy wjeździe na niewielki parking dla personelu ośrodka. Pomimo że na zewnątrz panowała letnia temperatura, czuła przejmujący ją od środka chłód. Pośpiesznie narzuciła na ramiona cieniutki sweterek i wyjęła z koszyka pięknie opakowane czekoladki. Przez całą drogę do hospicjum zastanawiała się, co może powiedzieć, a jakich tematów unikać. Czy powinna się uśmiechać, mieć poważną minę, udawać, że wszystko jest w porządku, a może milczeć? W końcu zdecydowała, że będzie po prostu sobą. Bo cóż innego można zrobić w obliczu śmierci?

Tuż po wejściu do budynku (jej kroki odbijały się złowrogo zwielokrotnionym echem na marmurowej posadzce) rozejrzała się wokół. Za wygiętą w podkowę ladą recepcyjną siedziała ubrana w błękitny jak niezapominajki uniform przystrzyżona na pazia starsza kobieta.

– W czym mogę pomóc? – zapytała, uśmiechając się ciepło.

Nina zauważyła na jej policzku duże rozlane znamię o nieregularnym kształcie. W klapie uniformu miała wpiętą plakietkę z imieniem i nazwiskiem. Adriana Krook.

– Chciałam odwiedzić Henka Dekkersa. Jestem dobrą znajomą jego żony... – zaczęła Nina.

– Tak, oczywiście. Znam Kristen – ożywiła się Adriana. – Wszyscy ją tu znamy. To niezwykle energiczna osoba. Za chwilę zastąpi mnie w recepcji koleżanka, to zaprowadzę cię do sali Henka. Proszę, usiądź i poczekaj chwilę. Może napijesz się kawy?

Nina uśmiechnęła się szeroko i podziękowała za kawę. W Holandii piło się ją hektolitrami.

Nagle z głębi korytarza rozległ się dźwięk skrzypiec. Ktoś grał skoczną melodię, której nuty wypełniły pustą przestrzeń aż pod sam sufit. Nina spojrzała pytająco na Adrianę. Kobieta z tajemniczym uśmiechem wskazała dłonią kierunek, z którego dochodziła muzyka. Zaciekawiona Nina ruszyła powoli pomalowanym na pastelowe kolory korytarzem. W oknach stały tutaj barwne wazony z filcowymi tulipanami oraz doniczki z lawendą. Gdyby nie intensywny zapach środków odkażających i medykamentów, można by przypuszczać, że to przedszkole. Na ścianach wisiały wyrysowane kredkami świecowymi, oprawione w białe ramki dziecięce obrazki. Widniały na nich trzymające się za ręce osoby o rozpromienionych buziach. Na niektórych malunkach Nina dojrzała krowy i wiatraki na tle soczystej zieleni i błękitnego nieba.

Muzyka narastała z każdym jej krokiem. W końcu Nina zatrzymała się przed uchylonymi drzwiami, za którymi ktoś grał... Pchnęła je delikatnie i zajrzała do środka. Na podłodze w ciasnym kręgu siedziały maluchy. Niektóre miały na sobie normalne dzienne ubranka, inne bawełniane piżamki w jasnych kolorach. Tuż przed nimi stał wystrojony w czerwono-żółty kombinezon klaun. W prawej dłoni trzymał smyczek, którym przeciągał miarowo po strunach opartego o obojczyk i szyję instrumentu. Dzieci wpatrywały się w niego z zachwytem. Miał na sobie zabawną czapkę z pomponami i dzwoneczkami przy uszach. Jego grubo uszminekowane usta odznaczały się karminową plamą na tle upudrowanej bladej twarzy. Białe plamy wokół oczu obramowane konturem czarnej kreski i czerwona kulka z pianki przymocowana na nosie nadawały jego rysom wygląd dobrotliwego śmieszka.

Tuż przy cholewkach olbrzymich różowych butów klauna siedziała kilkuletnia dziewczynka z łysą głową. Do jej chudziutkiego jak gałązka ramienia przypięto kroplówkę. Kurczowo obejmowała nogę grajka. Dziewczynka miała zamknięte oczy i kołysała się miarowo w rytm granej przez niego na skrzypcach melodii. Drzwi pod naporem dotyku ręki Niny skrzypnęły cicho. Klaun zerknął w jej stronę, ale nie przerwał gry. Nina wpatrywała się jak urzeczona w obrazek chorego dziecka przytulonego do jego nogi. Mała chłonęła muzykę jak gąbka. Oczy Niny zwilgotniały. Wycofała się cichutko na korytarz. Tuż za nią niepostrzeżenie pojawiła się recepcjonistka Adriana.

– Prawda, że klaun Bassie to czarodziej? – szepnęła. – Maluchy za nim przepadają. Regularnie organizuje im koncerty na świeżym powietrzu. Niestety dziś kilkoro małych pacjentów nie czuło się najlepiej, więc postanowiliśmy, że zostaną w sali. To magia... bardzo im potrzebna w chorobie. Mamy wielu wolontariuszy, ale on jest wyjątkowy... No dobrze,

dosyć tego gadania! – upomniała samą siebie Adriana. – Chodź, zaprowadzę cię do twoich przyjaciół. Pacjent ucieszy się z wizyty tak pięknej panny – próbowała żartować, ale wypadło to blado.

Kiedy w końcu Nina dotarła do pokoju Henka, już w progu wpadła w ramiona Kristen, która na widok swojej młodej szefowej zaśmiała się, niezdarnie próbując ukryć wzruszenie. Za jej plecami stało wysokie metalowe łóżko na kółkach, z barierkami i wysięgnikiem. Na środku, na pasiastej poduszce leżał Henk. Miał wymizerowaną twarz i zamknięte powieki.

– Dopiero zasnął. Ale może to i lepiej... – szepnęła Kristen i pociągnęła Ninę za sweterek. – Chodź na taras, kochanie, napijemy się kawy. Mają tutaj straszną lurę, ale ja zawsze przynoszę swoją w termosie.

Kiedy usiadły w końcu przy solidnym drewnianym stole na wybetonowanym podwórku pomiędzy pachnącymi igliwiami świerkami, Kristen, jakby chcąc zapobiec pytaniu Niny o stan zdrowia jej męża, zagadała pierwsza:

– Wiesz już, kochanie, czy przejmiesz naszą Bombonierkę? Może jestem wścibska, ale bardzo chciałabym poznać twoją decyzję.

Nina zmrużyła oczy. Natarczywy promień słońca wpadł pomiędzy stojące na stole kubeczki z kawą, a potem skoczył prosto pomiędzy jej długie jasne pasma włosów.

– Tak, Kristen – powiedziała. – Po kilkunastu bezsennych nocach w końcu podjęłam decyzję. Wiem już, co zrobię z Bombonierką. A teraz powiedz mi, ale z ręką na sercu, jak mogę ci pomóc...



Kiedy godzinę później zegnały się przy wejściu do hospicjum, Kristen już nie próbowała ukrywać łez. Rozumiała jak nikt trudny wybór dziewczyny i zapewniła, że zawsze będzie jej kibicować.

Kiedy Nina podeszła do stojących w równym rzędzie jednośladow i odpięła swój rower ze stojaka, tuż obok niej śmignęło małe sportowe porsche. Tuman kurzu opadł na jej jasną sukienkę. Rozkaszała się gwałtownie i, plując na wszystkie strony żwirkiem z wysypanej kamyczkami ścieżki, przeklęła siarczyście pod nosem. Auto zatrzymało się gwałtownie, błyskając tylnymi światłami. Kierowca wrzucił wsteczny i samochód z wizgiem opon zawrócił. Ze środka wyskoczył Val Jeurissen. Na widok Niny uśmiechnął się krzywo.

– Panna Bombonierka! To chyba jednak przeznaczenie, że ZNOWU się spotykamy. Kto wie, dokąd nas skieruje przewrotny los kolejnym razem?

Nina przewróciła oczami. Znowu ten baran! On chyba ją śledził! Już miała puścić w jego kierunku soczystą wiązaną ciętą ripostę, gdy nagle zamarła. Przez szybę auta dostrzegła rozlewające się malowniczo na skórzanej tapicerce plamy kolorów. Czerwień i żółć... W głowie Niny rozbłysło światło. Podeszła do Valentijna. Dzielili ich teraz odległość oddechu. Poczwała duszący zapach pudru i lekarstw. Na jego szyi, tuż ponad kołnierzykiem koszuli, widniała czerwona pręga. Znamię skrzypka!

– Nie zmyłeś dokładnie makijażu... – szepnęła i odruchowo opuszką przejechała po pokrytym igielkami niewidzialnego zarostu policzku mężczyzny. Na jej palcu została biała plama tłustej pomady. – I gdzie ty się nauczyłeś tak grać, drogi Bassie? Pomiędzy croissantami na Walstraat? Czy pomiędzy obmyślaniami kolejnego przytyku, żeby mi dopiec?

Val roześmiał się tubalnie i złapał za dłoń Niny. Jej palce... były takie gładkie, miękkie. A może by tak... spróbować? Ta myśl przecięła jego umysł jak błyskawica. Po czym zgasła. „Nie przywiązuj się do nikogo, Val. I nie kochaj. Miłość boli. A ty nie udźwigniesz kolejnej straty” – przekonywał sam siebie.

Jego oczy pociemniały i postąpił krok w tył.

– Nie popadaj w sentymentalizm, Marmoladko! – rzucił. – Postarza cię! Sarkazm jest jak botoks, wypełnia zmarszczki jadem. Polecam!

Nina oniemiała. Chciała coś powiedzieć, ale w kieszeni swetra natarczywie zawibrowała jej komórka. Na wyświetlaczu widniał numer Larsa van Haasterena.

– Nina, nie wiem, gdzie jesteś, ale wracaj natychmiast do domu. – Usłyszała jego cichy, poważny głos. – Zarezerwowałem na dziś wieczór bilet na samolot z Amsterdamu do Warszawy. Zawiozę cię na Schiphol.

– Co się stało? – jęknęła przerażona.

– Musisz jak najszybciej lecieć do Polski. Od tego zależą dalsze losy naszej Bombonierki!



Nad miastem świtało. Bus wjechał pomiędzy pierwsze zabudowania Deventer. Maniana przeciągnęła ścierpnięte ramiona i delikatnie dotknęła głowy zaspanego synka.

– Wstawaj, Beniu. Za chwilę wysiadamy. I w końcu uściskamy naszą kochaną Ninę.

Po kilkunastu minutach biały van zaparkował na opustoszałym o tej porze placu de Brink.

– Na Walstraat obowiązuje zakaz wjazdu, psia krew! Typowe Wiatraki – mruknął kierowca. – Te kilka ostatnich metrów przejdzie pani piechotą. Pomogę z bagażami... – zaproponował spontanicznie, widząc mikrą posturę pasażerki.

– Nie trzeba, poradzę sobie – zaprotestowała Mańka. – Chodź, synku, musimy iść.

Benio z zadartą głową obserwował mijane kamieniczki.

– Ta jest najładniejsza – stwierdził, stając w końcu przed wysokim wąskim budynkiem w kolorze malinowym.

Przed kamienicą, na wypchanej skórzanej torbie, siedział wysoki mężczyzna. Mańka krzyknęła.

– A co pani tu robi? – wydukał Kostrzewski i zmarszczył groźnie brwi.

– Przyjechałam do mojej przyjaciółki – powiedziała i mocno objęła zapatrzzonego w witrynę z czekoladkami synka. – Tego mi pan nie może zabronić.

– Zaiste, nie mogę. Ale ma pani pecha. Tak jak i ja! – sarknął. – Nina wczoraj wieczorem poleciała do Warszawy. A ja nadal nie wiem, gdzie jest moja żona...



Aurelia z ulgą wysiadła z zatłoczonego pociągu. Nie zamówiła taksówki. Chciała się przejść i odetchnąć w końcu czystym przesączonym jodem powietrzem. Już kilkanaście metrów od stacji w końcu go poczuła. Słony zapach wody przemieszany z żywicą rosnących na wydmach sosen. Przynosił nadzieję. I wiarę. Że w końcu po tylu latach odkryje prawdę.

Koniec części pierwszej

PODZIĘKOWANIA



Pomysł na ciepłą czekoladową holenderską historię Niny Kostrzewskiej przyszedł mi do głowy w momencie, kiedy kilkanaście lat temu zamieszkałam w malowniczym Deventer. Za każdym razem, gdy błądziłam w wąskich uliczkach starego miasta, moim drogowskazem w drodze do domu była malinowa kamienica z czekoladkami na wystawie. Nazywałam ją... Bombonierką. Wtedy jeszcze nawet nie marzyłam o tym, że w przyszłości będę pisać książki! Los okazał się przewrotny i po tylu latach wracam do Bombonierki na kartach tej powieści. Chyba warto było czekać...

Dziękuję z całego serca wszystkim tym, którzy dopingowali mnie podczas pisania tej historii. Mojej rodzinie, mamie, przyjaciółom, największemu łasuchowi na ziemi, a przy okazji mężowi – Wilkowi oraz mojemu niezawodnemu „duetowi wsparcia” – Magdzie Witkiewicz i Ani Seweryn. To właśnie Wam dedykuję tę czekoladową opowieść.

Agnieszka

SPIS TREŚCI



[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Cytaty](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1. Kłątwa Karolci](#)

[ROZDZIAŁ 2. Rodzinne wsparcie to podstawa](#)

[ROZDZIAŁ 3. Wyrodek i zapasy na czarną godzinę](#)

[ROZDZIAŁ 4. Przyjaźń aż po grób](#)

[ROZDZIAŁ 5. Smutki w czekoladowej polewie](#)

[ROZDZIAŁ 6. Dobra energia czyni cuda](#)

[ROZDZIAŁ 7. Co się polepszy, to się...](#)

[ROZDZIAŁ 8. Ślepy zaułek](#)

[ROZDZIAŁ 9. Rodzinne tajemnice mocniejsze niż kiepskie wino](#)

[ROZDZIAŁ 10. Nowa królowa zacofanego kraju](#)

[ROZDZIAŁ 11. Niespodziana zbrodnia i nieoczekiwana pomoc](#)

[ROZDZIAŁ 12. Papryka i nowe znajomości](#)

[ROZDZIAŁ 13. Nieplanowany przystanek w drodze ku przeznaczeniu](#)

[ROZDZIAŁ 14. Światelko w tunelu](#)

[ROZDZIAŁ 15. Kobiety na traktory](#)

[ROZDZIAŁ 16. Po burzy wstaje nowy dzień](#)

[ROZDZIAŁ 17. Nocne harce białej damy](#)

[ROZDZIAŁ 18. Cukiernik bez wyboru](#)

[ROZDZIAŁ 19. Niespodzianka zza grobu](#)

[ROZDZIAŁ 20. Wesołe kumoszki z Deventer](#)
[ROZDZIAŁ 21. Wóz albo przewóz](#)
[ROZDZIAŁ 22. Braterskie potyczki](#)
[ROZDZIAŁ 23. Zaczniemy od pudełka czekoladek](#)
[ROZDZIAŁ 24. Za późno na żal](#)
[ROZDZIAŁ 25. Rękawy zakasane, pora do pracy!](#)
[ROZDZIAŁ 26. Plan prawie idealny](#)
[ROZDZIAŁ 27. Tyranozaur w składzie porcelany](#)
[ROZDZIAŁ 28. Złość matką kreatywności](#)
[ROZDZIAŁ 29. Sakramencka sierota i *Pan Tadeusz*](#)
[ROZDZIAŁ 30. Lifting, krewetki i Amsterdam](#)
[ROZDZIAŁ 31. Pierwsze kłody pod nogami](#)
[ROZDZIAŁ 32. Braterskie knowania](#)
[ROZDZIAŁ 33. Miasto odurzonych kamienic](#)
[ROZDZIAŁ 34. Góra z górą](#)
[ROZDZIAŁ 35. Zguba na ulicy](#)
[ROZDZIAŁ 36. Duchy z przeszłości](#)
[ROZDZIAŁ 37. Biesiady i obietnice](#)
[ROZDZIAŁ 38. Wielkie otwarcie i jeszcze większa kłótnia](#)
[ROZDZIAŁ 39. Gorczy sukcesu](#)
[ROZDZIAŁ 40. Kiedy rozum śpi...](#)
[ROZDZIAŁ 41. Duchy ze starej szafy](#)
[ROZDZIAŁ 42. Afera szpiegowska](#)
[ROZDZIAŁ 43. Śledztwo i kolejne kłamstwa](#)
[ROZDZIAŁ 44. Niezwykłe odkrycie](#)
[ROZDZIAŁ 45. Sexy, libido i piri-piri](#)
[ROZDZIAŁ 46. Przeszłość lubi deptać po piętach](#)
[ROZDZIAŁ 47. Oliwa nie zawsze sprawiedliwa](#)
[ROZDZIAŁ 48. Żuraw i czapla](#)
[ROZDZIAŁ 49. Dary losu](#)
[ROZDZIAŁ 50. Impertynent i kalambury](#)
[ROZDZIAŁ 51. Kolejna łamigłówka](#)
[ROZDZIAŁ 52. Skrzypce i awantura](#)
[ROZDZIAŁ 53. Prawnicze zgryzoty i rowerowa marmoladka](#)
[ROZDZIAŁ 54. Jak kamfora](#)
[ROZDZIAŁ 55. Klaun i skrzypce](#)
[PODZIĘKOWANIA](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Agnieszka Zakrzewska, 2021

Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: Anna Wiraszka

Zdjęcia na okładce: © Marina Bagrova/iStock

© Magone/iStock

Redakcja: Anna Seweryn-Sakiewicz

Korekta: „DARKHART”, Jarosław Lipski

Skład i łamanie: „DARKHART”

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-087-6

FILIA

Wydawnictwo Filia

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.